



M I C H A Ł L A R E K

CHIRURG

Oficynka

M I C H A Ł L A R E K

CHIRURG



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

Spis treści:

Karta tytułowa

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Część druga

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Część trzecia

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Część czwarta

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Od autora

Karta redakcyjna

*Patrz! gala w Nocy lśni salonach –
Od dawnych, smutnych lat
Strojnych aniołów chór w zasłonach,
Ze łzami w oczach siadł –
Niby w teatrze siadł – i patrzy
Na dramat łez i krwi!
Orkiestra zaś w tron najbogatszy,
Melodyą sfer im brzmi.*

Edgar Allan Poe, *Robak zdobywca*
(przeł. Antoni Lange)

CZEŚĆ

PIERWSZA

Nagle zahaczył o coś nogą. Syknął gniewnie, ale utrzymał równowagę. Wyciągnął z kieszeni spodni chustkę i wytarł nią spocone czoło. Mimo jesiennego chłodu, było mu bardzo gorąco. Ze zdziwieniem zorientował się, że jest zdyszany. Biegłem – pomyślał. Ale dlaczego?

Schował mokrą chustkę i rozejrzał się wokół siebie. Miał wrażenie, że ktoś dla makabrycznego żartu uspił go podstępnie, a potem wyrzucił w jakimś dziwnym i pogrążonym w ciemnościach miejscu.

Przetarł oczy. zdezorientowany Nie miał bladego pojęcia, gdzie się znajduje.

Gdy wytężył wzrok, dostrzegł tłące się gdzieś świątełka. Zaintrygowany ruszył przed siebie, żeby po chwili ze zdziwieniem stwierdzić, że źródłem tych wątych światełek są... znicze ustawione na nagrobkach.

Przystanął.

Gdy doszło w końcu do niego, że znajduje się na cmentarzu, cofnął się o krok. Wtedy na szyi poczuł muśnięcie. Odwrócił się gwałtownie, czując, że oblewa go fala gorąca.

To była gałązka jakiegoś krzewu.

Pokręcił głową i omiół wzrokiem okolicę. Powoli przyzwyczajał się do ciemności, którą próbował przejrzeć na wylot. Zobaczywszy znajomy zarys kapliczki oświetlonej mizernym światłem lekko wygiętej lampy, uprzytomnił sobie, że jest na swoim ulubionym naramowickim cmentarzu.

– Co ja tu robię? – szepnął, odzyskując jednocześnie wewnętrzny spokój.

Sięgnął do kieszeni skórzanego płaszcza i wydobyl z niej latarkę. Zapaliwszy ją,

ponownie ruszył przed siebie. W trakcie niespiesznego marszu zaczął udzielać się mu całkiem przyjemny nastój. Gdy minął kapliczkę i wkroczył w jedną z alejek, zanucił *Kawiarenki*.

Szedł coraz pewniejszym krokiem, oświetlając z zainteresowaniem mijane obiekty. W końcu zatrzymał się przy nagrobku położonym pod wysokim rozłożystym drzewem. Wbił wzrok w marmurową płytę, do której przytwierdzono wizerunek uśmiechniętej dziewczyny.

Przyklęknął, przeżegnał się, zmówił *Ojcze nasz*.

Przez chwilę trwał w bezruchu, skupiając się na czarno-białych migawkach, przelatujących mu pospiesznie przez głowę. Ponownie przeniósł się do tego smutnego piątku sprzed niemal dwudziestu lat. Kondukt, matka ubrana na czarno, szlochający ojciec, grabarze o brzydkich kartoflanych twarzach, stare zawodzące baby. No i Joasia, jego starsza siostra, ułożona w trumnie jak do snu, ze złożonymi rękami, w których tkwił czerwony różaniec. Błada, nieruchoma, czarnowłosa piękność. Dopiero po jej śmierci mógł się w nią wpatrywać do woli.

Przyglądając się tym obrazom, czuł dziwny, niczym niezmacony spokój. Tak jakby oglądał po raz kolejny doskonale znany mu film w telewizji, którego akcja osadzona była w bardzo miłym, zacisznym miejscu. Bo czyż jest coś miłszego niż cmentarz? Oddzielona od gwaru ulicy, zamknięta przestrzeń, w której można odetchnąć, ukoić skołatane nerwy.

Przeżegnał się raz jeszcze, wstał i otrzepał energicznie spodnie. Podmuch wiatru sprawił, że zapiął kurtkę pod samą szyję.

W oddali zaskrzeczało jakieś ptaszysko.

Rozglądając się wokoło, czuł, że podnosi mu się ciśnienie. Parę metrów dalej dostrzegł grób, ozdobiony szczodrze kwiatami i dogasającymi już zniczami.

– Świeżynka – szepnął i wysunął lekko język.

Wziął duży oddech i po chwili poczuł delikatny zapach roznoszonego przez wiatr dymu, który uwielbiał. Przez jego ciało przeszedł dreszcz. Przymknął na chwilę oczy i przypomniał sobie nagie kobiece ciało. Martwe ciało. To, które wykradł w lutowy piątek z tutejszej kapliczki.

Westchnął, otworzył oczy i zerknął na skrzynkę tkwiącą pod ławką przy grobie siostry. Wyciągnął z niej składaną saperkę własnej roboty, zagwizdał raz jeszcze *Kawiarenki* i podszedł do nowego grobu. Miał wielką nadzieję, że spoczywa tam jakaś kobieta.

Wbił wzrok w tabliczkę przytwierdzoną do krzyża i uśmiechnął się nieznacznie. Tak, to była kobieta, a właściwie młoda dziewczyna.

– Wioletta Amberska, urodzona w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku – odczytał szeptem i natychmiast uzmysłowił sobie, że właśnie wtedy w Jeziorze Bytyńskim utonęła jego Joasia. Westchnął, potarł nos i doczytał w myślach: „Zmarła 25 października 1982 roku”.

Przez chwilę trwał w bezruchu. Potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, żeby się upewnić, że jest w niej scyzoryk myśliwski, którego zawsze używał do tej roboty. Był. Krew zaczęła szybciej krążyć w jego ciele.

Rozłożył saperkę, rozejrzał się nieuważnie wokoło i wbił ją w usypany spulchniony kopiec. Kiedy odrzucił pierwszą ziemię, zaczęło mu dzwonić w uszach.

Przymrużył oczy i zaczął pospiesznie rozkopywać grób, oddając się całkowicie tej ekscytującej czynności. Napędzała go myśl, że już za chwilę wyciągnie nieboszczkę, rozbierze ją, dotknie czule, a potem wydobędzie scyzoryk i wytnie ulubione, ukochane kawałki...

Ale dokładnie w chwili, w której przyłożył ostrze do dużej zimnej piersi, rozległ się jakiś straszliwy krzyk, a jego oczy zostały zaatakowane przez agresywny strumień światła.

Przerażony wypuścił z ręki saperkę.

Nocną ciszę zakłócił wściekły ryk:

– Stój, popierdoleńcu!

– Gleba, gleba!

– Zostaw ją!

Przerażony zamknął powieki i zakrył rękoma twarz, czekając na bolesne ciosy. Strach ścisnął go za gardło tak mocno, że osunął się bezwładnie na ziemię. Zapadła ciemność, którą po jakimś czasie zaczęły zakłócać znane mu pijackie nawoływania.

Poruszył się na łóżku. Był cały spocony.

Gdy zorientował się, że śnił, spojrzął na uchylone okno wychodzące na ulicę. Przetarł oczy i usiadł.

Doszedłszy do siebie po tym wstrząsającym śnie, poczuł żal. Jeszcze parę sekund wcześniej był przecież o krok od wielkiej rozkoszy, przyglądał się martwemu ciału, które miał niebawem pozbawić dwóch dużych piersi i jeszcze czegoś, co jest najcudowniejsze na świecie. Na myśl o tym poczuł silny ucisk w podbrzuszu.

Wstał z łóżka, wzuł laczki, narzucił na siebie sweter, który wisiał na krześle, i skierował się ku drzwiom. Wyszedł na korytarz, skręcił do kuchni, usiadł przy stole, na którym leżała blacha pełna jabłecznika. Ukroił sobie kawałek i zaczął jeść, rozkoszując się jego niepowtarzalnym smakiem.

Potem poczłapał do toalety. Ściągnął spodnie, usiadł na plastikowej zimnej klapie i oparł się o zbiornik spłuczki. Po raz kolejny wrócił do sceny sprzed lat, od której wszystko się zaczęło. Uwielbiał ją odtwarzać w myślach.

Doszedł, charcząc jak zwierzę. Wytarł się, wyszedł z łazienki i poszedł do kuchni. Wypił parę łyków kranówki i stanął przed kalendarzem ściennym. Zerwał kartkę i przyjrzał się nowej.

– Dwudziesty dziewiąty października – odczytał na głos datę, po czym zgniótł kartkę w dłoniach. – Jutro mamy piątek. To dobrze.

Ziewnął i ruszył z powrotem do sypialni. Lubił piątki, dobrze mu się kojarzyły. Z końcem tygodnia, ze specjalnymi mszami, takimi jak droga krzyżowa, z kinem, z czasem dla siebie. Gdy nacisnął kłamkę, wiedział już, że po pracy pójdzie na cmentarz i znajdzie sobie jakieś dobre, świeże ciało.

Cmoknął z zadowoleniem i po chwili ułożył się na łóżku. Po paru sekundach zasnął głębokim snem i zaczął dziarsko pochrapywać.

Śniło mu się, że stoi w prezbiterium wśród ministrantów, patrzy na wiernych i jednocześnie wsłuchuje się w znakomicie wygłoszone kazanie arcybiskupa. Uwielbiał go słuchać, czuł wówczas, że świat, w tym on sam, jest otoczony opieką i mimo wszystkich złych rzeczy, jakie mają miejsce na ziemi, można sobie dalej skromnie żyć.

2

– Jesteś moim najpiękniejszym urodzinowym prezentem – szepnęła Martynka, zbliżając swoją roześmianą twarz do króliczego pyszczka. – Nazwę cię... nazwę cię...

Zamyśliła się.

– Nazwę cię... Kruszynkiem... Bo ty chyba chłopiec jesteś, prawda? – spojrzała na niego wnikliwie. – Tak przynajmniej twierdzi tata.

Odstawiła swojego nowego pupilka do kartonu wypełnionego słomą i pogłaskała go czule. Była w wyśmienitym humorze. O króliku marzyła od przeszło dwóch lat. Rodzice ciągle wynajdywali jakieś problemy – mówili, że jest za mała, że szybko jej przejdzie ochota na opiekowanie się zwierzęciem, że to zbyt odpowiedzialne, i tak dalej, i tak dalej. W końcu gdy zwątpiła, że zostanie szczęśliwą posiadaczką stworzenia o dumnej łacińskiej nazwie *Oryctolagus cuniculus*, którą poznała na lekcji przyrody, nastąpił zwrot akcji. Oto w dniu urodzin, gdy otworzyła po przebudzeniu oczy, zobaczyła, że po kołdrze kica sobie jak gdyby nigdy nic królik. A gdy wydała z siebie dziki okrzyk radości, w progu stanęli uśmiechnięci rodzicie. „Wszystkiego najlepszego, Kwiatuszku” – powiedzieli. A ona wtedy zerwała się z piskiem z łóżka i wyściskała ich za wszystkie czasy.

– Pewnie jesteś głodny, prezenciku – stwierdziła i spojrzała na zegar zawieszony nad jej biurkiem. Paręnaście minut temu minęła szesnasta.

Podeszła do tornistra, wyjęła z niego frotkę i zawiązała swoje długie jasne włosy w końską kitkę.

– Pójdę na łąkę i narwę ci trawy, Kruszynusiu – rzuciła wesoło i wybiegła

z pokoju.

Gdy zakładała w korytarzu czerwoną kurtkę, usłyszała głos mamy dobiegający z głębi mieszkania. Założyła kozaki i poszła do kuchni.

– Wołałaś mnie?

Mama uśmiechnęła się promiennie i wskazała głową stół, na którym stał piękny, kolorowy tort ze świeczkami.

– Ciocia przed chwilą przyniosła – oznajmiła.

Martynka podbiegła do stołu i przez chwilę przyglądała się zachwycona cukierniczemu arcydziełu.

– Piękny, prawda?

– Przepiękny! – wykrzyknęła dziewczynka. – Ciocia jest genialna!

Mama przytaknęła głową.

– Liczba świeczek się zgadza? – zagadnęła.

Martynka zmrużyła oczy i bezgłośnie policzyła świeczki.

– Zgadza się – odparła. – Dwanaście.

– W takim razie zabieram się za naleśniki – powiedziała mama, po czym schowała tort do lodówki. – Wychodzisz z domu? – zapytała jeszcze, wyciągając z szafy dużą patelnię.

– Idę narwać trawy dla Kruszynka!

– Dla Kruszynka?

– Tak nazwałam królika!

Mama zaśmiała się.

– No tak. Pasuje do niego doskonale. Ten zwierzak jest tak milutki.

– Prawda?

– Martynuś, tylko wróć szybko. Za godzinę zaczynamy twoje urodziny. Goście zaczną się niebawem schodzić.

Martynka chwyciła jabłko z drewnianej miski, ugryzła i z pełną buzią zapytała, czy naleśniki będą z dżemem truskawkowym.

– Będą, jeśli w drodze powrotnej wstąpisz do babci i weźmiesz od niej słoik – to

powiedziawszy, mama pogłośniła radio, z którego głośników zaczęły wydobywać się pierwsze takty *Kawiarenek*.

– Idziesz na łąkę przy cmentarzu?

– Tak.

– W takim razie zerknij na grób dziadka i sprawdź, czy nie trzeba wymienić kwiatów.

– Dobrze, mamusiu!

– Tylko nie zapomnij o tym dzemie!

– Nie zapomnę, za bardzo go lubię! – Martynka zamlaskała głośno, zachichotała i wybiegła na korytarz. Po chwili trzasnęły drzwi wyjściowe.

Mama, nucąc ulubioną piosenkę Ireny Jarockiej, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Po chwili dostrzegła córkę, która rozmawiała z Maksem, jej siedemnastoletnim kuzynem, mieszkającym na równoległej ulicy.

Ale ona wyrosła – przeszło jej przez myśl. – Gdybym jej nie znała, pomyślałabym, że to czternastoletnia albo piętnastoletnia pannica. Dzieci teraz szybciej dojrzewają. Ja w jej wieku wyglądałam jak niewinny szczypiorek.

Uśmiechnęła się bezwiednie, odprowadzając dzieci wzrokiem. Gdy zniknęli jej z oczu, zerknęła na zegarek. Czasu do imprezy urodzinowej było coraz mniej. Zestresowała się tym trochę.

– Coś mnie ominęło? – usłyszała nagle. Kiedy się odwróciła, zobaczyła męża i obdarzyła go zagadkowym spojrzeniem.

– O tak – odparła. – Przegapiłeś ważny moment w życiu Kruszyńka.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– A kim jest Kruszynek?

– Królikiem, którym zapewne przebiłeś wszystkie prezenty, jakie dzisiaj zostaną wręczone twojej córce.

Podszedł do niej i objął w pasie.

– Jesteś zazdrosna? – szepnął i wyszczerzył zęby.

Kobieta prychnęła.

– Chciałbyś!

– Mogę kupić ci dwa, jeśli chcesz.

– Nie chcę.

– A czego chcesz od swojego męża? – zapytał, całując ją po szyi.

– Żebyś dał mi teraz spokój, chłopie – odepchnęła go delikatnie. – Muszę zabrać się za naleśniki.

– A będą z dżemem truskawkowym?

Roześmiała się w głos i sięgnęła po ścierkę zawieszoną na uchwycie kuchenki.

– To bardzo prawdopodobne.

– Zapowiada się cudowny piątek!

– Zamiast się cieszyć jak głupi do sera, przygotowałbyś stół w salonie – rzuciła, przybierając surową minę. – Zaczniźże zanosić talerze, sztucce, co?

Zasalutował.

– Tak jest, pani generał – ominął wyłożone na podłodze blachy oraz formy do ciast i podszedł do sterty talerzy, które stały na krześle.

– A gdzie jest nasza cudowna dwunastolatka? – zapytał.

– Poszła narwać trawy dla Kruszynka.

Podniósł talerze, zrobił parę kroków i zatrzymał się w progu kuchni.

– Też miałem kiedyś królika – rzucił nagle.

Zaśmiała się.

– Jak się nazywał?

– Uszatek.

– Uszatek?

– No bo miał długie uszy.

– Myślałam, że uszatek to miś.

– No cóż, mój uszatek był królikiem, kochanie.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Czy jest jeszcze coś, czego nie wiem o twojej szalonej przeszłości? – zapytała rozbawiona.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi. Zabrzęczał dzwonek u drzwi i jej mąż, uśmiechnąwszy się, wyszedł na korytarz.

– No to wracam do naleśników – skwitowała i wydobyla jajka z lodówki. Ubijając jajka, nuciła piosenkę opowiadającą o „miłości jak wino” Eleni, którą właśnie usłyszała z głośników.

Pędził jak szalony. Narastające podniecenie wywoływało w nim złość, którą próbował rozładowywać, pedałuąc coraz szybciej i szybciej. Najchętniej rozjechałby kogoś na miazgę. W głowie kotłowały mu się obrazy, które ujrzał we śnie.

Ciemność, rozkopywanie grobu, martwe kobiece ciało, gwałtowny atak na niego.

Przymrużył oczy, wysunął brodę do przodu i wyobraził sobie, że dotyka nagich, dużych zimnych piersi. Zadrżał.

Zatrzymał się przy bramie i oparł rower o drzewo. Wyjął z siatki kwiaty i położył ją na bagażniku. Spojrzał na zegarek, dobiegała siedemnasta. Uprzytomnił sobie wtedy, że robi się powoli coraz ciemniej. Rozejrzał się wokoło.

Z cmentarza wychodziła jakaś grupka staruszek, które rozmawiały ze sobą o czymś z przejęciem. Do jego uszu dochodziły strzępki zdań: „Pani to rozumie? Wczoraj byliśmy razem z nią w kościele, a dzisiaj ja się dowiaduję, że...”, „Z kolei ona dostała jakiegoś...”, „Pani kochana, ja mam przeszło osiemdziesiąt lat...”.

Podszedł do tablicy z ogłoszeniami i przebiegł po niej wzrokiem. Gdy zobaczył klepsydrę młodej dziewczyny, której grób mu się przyśnił, poczuł, że coś mu piknęło w sercu. Zacisnął szczęki.

Wioletta, Wiola, Wiolunia...

Przepełniało go narastające pożądanie, które musiał jak najszybciej zaspokoić. Poprawił beret na głowie, wbił ręce w kieszenie jesionki. Przymknął oczy, przypominając sobie dziewczynę, którą udało mu się wykraść w lutym. Młodą, cudownie zimną, nieruchomą, posłuszną wszystkim jego zachciankom. Owszem,

najadł się przy tym dużo strachu, ale warto było.

Po jego ciele rozlało się przyjemne ciepło. Szkoda, że to takie stresujące – westchnął w myślach. – Świat jest niesprawiedliwy.

– Ma pan ognia, szefie? – nagle jakiś zachrypnięty głos wytrącił go z rozkosznego odrętwienia.

Wzdrygnął się i spojrzał na intruza.

Był to niski zaniedbany mężczyzna w kufajce i kaloszach. Śmierdziało od niego alkoholem, chyba denaturatem.

– Nie mam.

– Pitolisz pan – oburzył się nieznajomy.

– Sam pan pitolisz – burknął i ruszył w stronę głównej bramy wejściowej.

– Jednego, panie, co panu szkodzi? – usłyszał za plecami.

W odpowiedzi machnął zirytowany ręką. Kiedy przekraczał bramę, poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić.

Ruszył energicznie w stronę kapliczki. Doszedłszy do niej, przeżegnał się. Spojrzał na zegarek. Było parę minut po siedemnastej.

Poszedł na grób siostry, włożył kwiaty do wazonu, uklęknął na jedno kolano i pomodlił się. Stał jeszcze parę minut i potem zaczął krążyć po cmentarzu w poszukiwaniu grobu Wioletty. W końcu go odnalazł. Okazało się, że był usytuowany w zupełnie innym miejscu niż to sugerował jego sen.

Przymknął oczy i przez chwilę oddawał się rozkosznym fantazjom z młodym martwym ciałem. Przerwała je nagle zimna kropla, która spadła z gałęzi poruszonej przez powiew wiatru. Dokładnie wtedy, gdy włożył penisa między zimne piersi.

Otworzył oczy i westchnął. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić tu w nocy i nie rozkopać grobu, ale ostatecznie stwierdził, że jest dzisiaj na to zbyt zmęczony.

Opuściwszy teren cmentarza, usiadł na ławce, sprawdził, czy nigdzie nie ma penera w kufajce, wyciągnął paczkę klubowych i zapalił. Zaciągnął się mocno. Wypuszczając dym, zerknął w prawą stronę, gdzie majaczyła linia niewielkiego

lasku, który stanowił obrzeże rezerwatu przyrody.

Jak on się nazywa? – zastanowił się. Żurawiniec chyba. Zamyślił się.

Migawka z przeszłości znowu go pobudziła. Nerwowo dopalił papierosa, a niedopałek rzucił na ziemię. Wstał i przydeptał go. Czuł, że serce wali mu jak młotem. Spojrzał na swoje ręce – drżały. Zerknął na lasek.

Oczyma wyobraźni widział, jak podniecony, dyszący, z ogniem w oczach targa martwe ciało kobiety w jego stronę.

Co robić? Co robić?

Nagle odniósł wrażenie, że lasek przywołuje go do siebie i jednocześnie obiecuje ponowne spełnienie jego sekretnych marzeń, których nikt nie rozumiał. Wiedział, że nie może się wezwaniu oprzeć. Po prostu musi się tam znaleźć.

Ciężko oddychając, wsiadł na rower i po chwili znalazł się na ścieżce. Zerknął na zegarek, zbliżało się wpół do szóstej. Gdy wystartował energicznie, minął wysokiego rosnącego mężczyznę w czarnym płaszczu, a chwilę potem młodą dziewczynę spacerującą z psem. Spojrzał na nią łakomie, ale jechał dalej. Żywe kobiety mają w sobie jakiś feler. Są zbyt swobodne, nie można się z nimi dogadać, robią co, chcą. Mają gdzieś człowieka. Wymagają, żeby za nimi biegać, spełniać ich dziwaczne zachcianki. Zamiast się położyć i leżeć nieruchomo, ciągle gdzieś łążą, gadają bzdurne rzeczy, nie można za nimi nadążyć. Przyspieszył. Pedalujące stopy same niosły go w stronę lasku. Gdy znalazł się na łące i poczuł powiew wiatru, coś zgrzytnęło. Zwolnił, spojrzał w dół.

Boże święty – zasępił się, widząc, że spadł łańcuch. Dlaczego ja mam zawsze pecha? – jęknął w duchu. Dlaczego zawsze coś mi się głupiego przytrafia? Co ja takiego i komu zrobiłem?

Zatrzymał się niepokieszony, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Wyciągnął klubowe, wsunął papierosa w kącik ust i zabrał się za naprawę.

– Może pomóc? – usłyszał, gdy po krótkiej szamotaninie udało mu się wreszcie założyć łańcuch.

Drgnął i spojrzał ponuro na intruza, którym był wysoki, szczupły, długowłosy nastolatek. Twarz miał pokrytą paskudnymi krostami, na które żał było patrzeć.

– Już sobie poradziłem, dzięki – burknął.

Chłopak uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Mnie też ciągle spada łańcuch – rzucił. Najwyraźniej miał ochotę na pogawędkę.

– Muszę lecieć, przepraszam.

– Do lasku? – zdziwił się nastolatek. – O tej porze?

Zignorował to pytanie, wsiadł na rower i wymamrotał, że musi jechać. Z wielkim impetem ruszył w stronę lasku, który coraz mocniej przyciągał go do siebie obietnicą rozkoszy. Wielkiej, choć grzesznej i zakazanej rozkoszy.

Janek, piętnastoletni licealista, drapiąc się po twarzy, patrzył przez chwilę na odjeżdżającego pospiesznie mężczyznę. Był ciekaw, czy czasem łańcuch znowu mu nie spadnie. Według niego mężczyzna jechał za szybko i za nerwowo. Gdy zniknął mu z oczu, wzruszył ramionami i skierował się w stronę cmentarza.

Myślami wrócił do jutrzejszego wyjazdu do Hiszpanii na całe trzy tygodnie. Wkrótce całkowicie zapomniał o rowerzyście w jesionce i rozbieganym wzroku. Wyobraził sobie, że biegnie po gorącym piasku w stronę błękitnego morza wyglądającego jak wycięte z turystycznego folderu. W tym wyobrażeniu był chłopakiem bez ani jednego wstrętnego pryszcza. Ale co ważniejszego – przykuwał uwagę grupki młodziutkich dziewcząt, które stały po kolana w ciepłej wodzie i co chwilę wybuchały śmiechem, zerkając na niego z ciekawością.

Ładne sarniątka – pomyślał. Chętnie bym je upolował. Usiadł na ławce przy cmentarzu i przypomniał sobie dyskotekę szkolną, na którą poszedł jakieś trzy tygodnie temu. Przymknął oczy.

Wyobraźnia podsunęła mu scenkę, w której tańczył przytulańca z Kingą do jakiejś amerykańskiej pościelowy. Dziewczyna miała na sobie miniówkę, koszulkę z dużym dekoltem oraz czarne kozaki do kolan. Była ciepła i lekko spocona. Na karku czuł jej oddech. W pewnym momencie zrobiło mu się tak błogo, że rękoma zjechał na jej pośladki. Nie odepchnęła ich, ale wkrótce piosenka się skończyła i więcej nie miał okazji z nią zatańczyć. Podobno ktoś widział ją, jak całowała się pod koniec imprezy z jakimś chłopakiem z wyższej klasy. Przez tydzień chodził jak struty. Pragnienie dotknięcia ładnej dziewczyny coraz mocniej go prześladowało.

Czasami wydawało mu się, że nie wytrzyma i rzuci się na którąś z koleżanek i dobierze się do jej piersi. Marzył o tym, żeby w końcu popatrzeć sobie do woli na dziewczęce piersi, dotknąć ich, pocałować.

Zerwał się wiatr i głośno zamknął bramkę cmentarną. Janek otworzył oczy i spojrzał na przechodzące obok niego dwie starsze panie.

– Brakuje mi go – powiedziała jedna. – Kiedy żył, strasznie mnie irytował. Ale teraz nie mogę bez niego dojść do ładu.

– Miałam tak samo, moja droga. Ale dziś już mi jego nieobecność tak nie doskwiera.

– To dobrze.

– Czas leczy rany.

Odprowadził je wzrokiem, westchnął, przejechał ostrożnie dłonią po krostach i ruszył do domu.

Dagmara Madej, porucznik Dagmara Madej z nowo powstałego Wydziału Zabójstw Komendy Miejskiej w Poznaniu, wytarła wilgotne oczy, wbiła ręce w kieszenie jeansów i spojrzała na czubki swoich czarnych podniszczonych butów.

Za każdym razem tak to się właśnie kończyło. Smutkiem, który wywoływał stopniowo coraz dotkliwszy ucisk w piersiach. No i łzami, które ją strasznie irytowały. A potem chlaniem w piątkowy wieczór, które niekiedy przedłużało się o sobotnie popijanie i kończyło niedzielnym kacem wzmocnionym radykalną niechęcią do świata. W poniedziałek następowała zazwyczaj mobilizacja, rzeczywistość stawała się całkiem znośna, a ona sama wracała do roli znakomitego milicyjnego psa o ksywie Zbój. Jej nazwisko skojarzyło się kiedyś komuś z legendarnym zbójem zamieszkującym jaskinię w Górach Świętokrzyskich i tak już zostało.

Pociągnęła nosem, raz jeszcze zerknęła na wizerunek Zuzi, swojej nieżyjącej przyjaciółki, przytwierdzony do nagrobnej płyty, i ruszyła w stronę wyjścia. Gdy opuściła teren naramowickiego cmentarza, zasiadła za kierownicą swojego niebieskiego dużego fiata i zapaliła papierosa.

Obracając w lewej dłoni czerwono-białą paczkę marlboro, pomyślała o Harrym, charyzmatycznym przystojniaku, z którym pracowała w Wydziale Zabójstw. Jakiś rok temu po zakrapianej firmowej imprezie poszli ostro pijani do łóżka i od tamtej pory praktykowali skrycie ten koleżeńsko-erotyczny układ. Żadnej miłości, dużo namiętności – tego się konsekwentnie trzymali. Chodziło o to, żeby odreagować stres w pracy i urozmaicić sobie życie prywatne bez żadnych uczuciowych

komplikacji, których Dagmara nie znosiła. Gdy oczami wyobraźni ujrzała jego przystojną twarz, poczuła nagłą ochotę na gorący seks, w którego czasie mogłaby zapomnieć o wszystkim.

Spojrzała na zegarek, była osiemnasta.

„Podobno jego żona znowu wyprowadziła się z chaty” – szepnęła jej dzisiaj na ucho Halinka Biedakowa, koleżanka z Sekcji Obyczajowej Wydziału Kryminalnego w czasie pierwszego porannego papierosa, po czym dodała: „Za wódkę. Przez ostatni tydzień non stop był na rauszu. Dziewczyna nie wytrzymała, spakowała się i zawięła do mamusi. Chyba trzeci raz w tym roku”.

Dagmara zgasiła papierosa, przekręciła kluczyk w stacyjce i ruszyła przed siebie. Włączyła radio, ale po chwili niemal całkowicie je ściszyła. Miała ochotę na jakiegoś ostrego punka, a nie smętne melodie Eleni albo innej muzycznej mimozy. Ostatnio w kółko słuchała Kryzysu, głównie piosenki, w której Brylewski śpiewał, że „jest już zmęczony”. Ona też była zmęczona, może dlatego.

Jadąc gruntową drogą, rozglądała się uważnie po bokach. W pewnym momencie przy śmietniku dostrzegła przyszczatego nastolatka, o długich czarnych włosach, który rozmawiał z jakąś dziewczynką trzymającą na rękach małego pieska. Popatrzyła na nich bez specjalnego zainteresowania. Gdy przeniosła wzrok na drogę, gwałtownie zahamowała. O mały włos nie przejechała jakiegoś pijaka, który nagle wyskoczył z bramy i przetoczył się przed maską samochodu. Zirytowana otworzyła boczną szybkę i krzyknęła: „Jak leziesz, ćwoku!?”.

Gdy wyjechała na ulicę Naramowicką, postanowiła, że najpierw wróci do siebie, zadzwoni do Harry’ego i zaproponuje „randkę za śniadaniem”. Tak też zrobiła. Słyszając w słuchawce telefonicznej jego głos, miała wrażenie, że facet jest już trochę wcięty.

To nawet lepiej, będzie łatwiejszy – pomyślała i jednocześnie zdecydowała, że włoży na siebie małą czarną. Raz na jakiś czas można się przecież ubrać jak normalna kobieta.

– Wpadnij – rzucił tym swoim zmysłowym głosem, od którego poczuła mrowienie na całym ciele. – I weź trochę gorzały, bo zaraz zabraknie.

Gdy suszyła włosy po długiej kąpieli w gorącej wodzie, zadzwoniła do niej babcia, krzepka osiemdziesięciolatka, z prośbą o pomoc w przestawieniu mebli. Nie mogła odmówić. Ale dzięki temu zjadła pyszną kolację, jej lodówka jak zwykle była przecież pusta. Na Osiedlu Czecha, gdzie mieszkał Harry, znalazła się więc dopiero około dwudziestej drugiej. Gdy zapukała do jego drzwi, była podekscytowana.

Zobaczywszy w progu Harry'ego w rozchełstanej dżinsowej koszuli, poczuła, że mięknię jej nogi. Wyglądał jak amerykański aktor. Wysoki, o wysportowanej sylwetce, czarnowłosy ze zniewalającym uśmiechem. Na tle swoich kolegów z firmy, którzy wyglądali jak arcy polscy chłopcy o kartoflanych twarzach, prezentował się doskonale.

Przywitali się koleżeńskim buziakiem. Odbierając od niej butelkę wyborowej, Harry wyszczerzył zęby.

– Mam gościa – oznajmił. – Ale zaraz wychodzi.

Spojrzała na niego pytająco.

– Sprawy zawodowe – szepnął i przejął od niej kurtkę.

Ściągnęła buty i weszła do dużego pokoju. Na fotelu siedział czterdziestoletni zadbany mężczyzna w kolorowej koszuli, dżinsach i czerwonych skarpetkach. Nieobecny spojrzeniem przyglądał się opróżnionej butelce i gładził po wąsikach. Na jej widok podniósł się i uśmiechnął promiennie. Uścisnęli sobie dłonie. Mężczyzna intrygująco pachniał.

– Janusz.

– Dagmara.

– Też ładnie. Mów mi Cichy.

– Cześć, Cichy.

Po krótkiej zapoznawczej rozmowie Harry rozlał wódkę. Wypili, zakąsili kiszonym ogórkiem i spojrzeli po sobie. W końcu Cichy cmoknął, uderzył się w uda i wstał energicznie.

– Pójdę już – powiedział, spoglądając na Harry'ego. – Nie będę wam przeszkadzać, kochani.

Dagmara odniosła wrażenie, że usłyszała w jego głosie ton wyrzutu.

– Dziękuję ci za informację, przyjacielu.

– Do usług.

Gdy Cichy opuścił mieszkanie, Harry przeprosił Dagmarę i poszedł do przedpokoju. Chwycił słuchawkę telefonu i po chwili wyszeptał do niej jakiś adres. Dagmara miała wrażenie, że usłyszała słowo „Głogowska”. Wróciwszy, uśmiechnął się do niej, rozlał wódkę, nastawił adapter i zgasił jedno światło. Zrobiło się nastrojowo. Usiadł na sofie tuż obok niej. Dagmara poczuła, że sukienka podjeżdża jej do góry, odsłaniając uda. Poprawiła ją mimowiednie. Ale gdy z głośników wybrzmiał głos Franka Sinatry, uprzytomniła sobie, że to był głupi odruch, bo przecież znalazła się tu po to, żeby całkowicie się rozebrać i wskoczyć do łóżka temu lekko podpitemu przystojniakowi, który miał jakąś dziwną, niewytłumaczalną moc przyciągania kobiet.

Wypili, spojrzeli sobie w oczy i zaczęli się całować. Ale gdy Dagmara pospiesznie ściągała sukienkę, nagle zadzwonił telefon. Chcieli go zignorować, ale on cały czas dzwonił, nieprzerwanie, natarczywie, jakby pragnął zakomunikować coś złowrogiego. Harry westchnął, dźwignął się z sofy i podniósł słuchawkę.

Momentalnie przybrał poważny wyraz twarzy.

– Gdzie? – zapytał. – Naramowice? – powtórzył.

Dagmara wyprostowała się i wbiła wzrok w Harry’ego, który wymamrotał po chwili:

– Wypiłem trochę, niech ktoś po mnie przyjedzie. – Chrząknął. – Zbój jest u mnie – rzucił, a potem skrzywił się lekko. – Omawiamy jedną sprawę. Zawodową. Zamknij się, idioto.

Odłożywszy słuchawkę, spojrzął na Dagmarę.

– Znalaziono zwłoki dziewczynki niedaleko cmentarza – powiedział. – Podobno straszliwie okaleczone.

Spojrzała na niego, zdumiona, czując, że coś ściska ją za gardło.

– Byłam tam dzisiaj – szepnęła.

Harry zmarszczył brwi.

– Gdzie?

– Na Naramowicach.

– Co tam robiłaś?

– Odwiedziłam grób przyjaciółki.

Harry skinął głową rozumiejąco. Zerknął na zegar ścienny. Była dwudziesta trzecia trzydzieści.

– Zapowiada się cudowna piątkowa noc – rzuciła Dagmara.

– Tak, noc z trupami.

Prychnęli równocześnie i zaczęli doprowadzać się do porządku.

Dziesięć minut później pod blok podjechała nyska, która zabrała ich na miejsce odnalezienia ciała.

Na obrzeżach rezerwatu przyrody Żurawiniec trwało wielkie poruszenie. Przy kiepskim oświetleniu prowadzono czynności zakłócone przez milicyjną wierchuszkę, pojedynczych niezwykle podnieconych dziennikarzy oraz zaintrygowanych mieszkańców okolicy.

Rzeczywiście, tak jak przekazał Harry, dziewczynka była straszliwie okaleczona. Ktoś wyciął jej piersi i genitalia. Co ciekawe, obok ciała natrafiono na ludzkie wymiociny.

Dagmara w odrętwieniu przyglądała się makabrycznemu obrazowi, którego grozę dopełniały przerażone oczy zamordowanej. Kto mógł to zrobić? – zastanawiała się, czując, że zalewa ją fala wściekłości. Co za popierdoleniec?

Ciężko oddychając, próbowała sobie wyobrazić to, co powiedział jej jeden z kolegów. Najprawdopodobniej sprawca spotkał dziewczynkę w okolicy, może na łące, na której znaleziono siatkę z trawą, zaatakował, zaciągnął do lasu, udusił, rozebrał, „wykroił” i schował w krzakach. Nie wiadomo, czy została zgwałcona.

Ustalono, że nazywała się Martynka Hemerska, mieszkała nieopodal, na ulicy Perkuna. Miała dwanaście lat. O jakiejś dwudziestej jej ojciec zadzwonił na komisariat i niespokojnym głosem zgłosił zaginięcie. Szukali po rodzinie, sąsiadach

i koleżankach, niestety, bezskutecznie. Rozpłynęła się w powietrzu. W końcu zdecydowali się na telefon na milicję.

Ciało dziewczynki znalazła młoda studentka AWF-u, której pies, cocker-spaniel, uciekł w stronę lasu za zającem. Była wtedy mniej więcej dwudziesta pierwsza. Nikogo nie widziała w pobliżu, nic nie zwróciło jej uwagi.

Dagmara poczuła nagłe ukłucie w sercu. Mimowolnie dotknęła brzucha. Z wielkim trudem opanowała wzbierające drżenie. Zaczęła się jej udzielać ponura atmosfera. Gdy zobaczyła, że jeden z kolegów wyciągnął z kieszeni papierowe zawiniątko z kanapką, zacisnęła pięści i ledwo powstrzymała się od ordynarnej odzywki. Pokręciła głową, odeszła na bok, oparła się o sosnę i zapaliła papierosa. Muszę się napić – pomyślała. Muszę zaraz łyknąć gorzały.

Zaciągając się, próbowała przypomnieć sobie wszystkich ludzi, których mijiała podczas dzisiejszego pobytu na cmentarzu. Chciała wycisnąć wszystko, co się da, ze swojej pamięci, żeby sporządzić jak najdokładniejszą dokumentację. Być może otarła się o zabójcę. Stare milicyjne porzekadło dowodziło, że sprawca bardzo często znajduje się w pierwszym tomie. Może i w tym przypadku tak będzie? Niestety, kiepsko jej to szło, była wówczas niemal całkowicie skoncentrowana na opłakiwaniu przyjaciółki.

– Cześć, Zbóju. – Ktoś trącił ją w ramię.

Na widok przystojnego postawnego blondyna z wąsem, który trzymał w rękach duży zeszyt, uśmiechnęła się.

– Cześć, Freddy – odparła.

Porucznik Adam Kruger wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza długopis i zanotował parę słów. Jak zwykle doskonale opanowany.

– Poczęstujesz fajką? Głodny jestem – zagadnął, pstrykając długopisem.

Podsunęła mu paczkę marlboro, zauważając jednocześnie, że drży jej ręka.

– Ostatnia sztuka.

– Spasiba.

– Nie chcę cię martwić... – odezwał się, gdy zapalił papierosa i solidnie się zaciągnął. – Ale musimy... – chrząknął i zrobił niewyraźną minę.

Dagmara zerknęła na niego przestraszona i schowała pustą paczkę do kieszeni.

– Tylko nie to – jęknęła. – Tylko nie to.

Westchnął.

– Właśnie to. Mamy poinformować rodzinę dziewczynki...

– Nie kończ!

Spojrzeli na siebie. Kruger wzruszył ramionami.

– To rozkaz.

– Dlaczego znowu my?

– Bo ja jestem empatyczny, a ty jesteś kobietą.

Pokręciła głową w odpowiedzi.

Zamilkli i przenieśli wzrok na kolegów i koleżanki, którzy krążyli wokół ciała zamordowanej.

– Oczywiście, wszystkie interesujące ślady zostały zdeptane – wyduł wargi Kruger, po czym dodał: – Powinno się w końcu stworzyć przepis, który by zakazywał szefostwu łązenia po miejscu zbrodni.

Naraz doszedł ich z oddali groźny głos komendanta Komendy Miejskiej, szefa wszystkich szefów.

– I żeby mi, kurwa, nikt z was nie napisał, co tu znaleźliśmy! Rozumiecie, jaśnie państwo dziennikarze? Krótka notka, że zabito dziewczynkę i że Milicja Obywatelska prowadzi czynności, które lada dzień zakończą się sukcesem. Żadnych szczegółów. Zrozumiano, kurwa jego mać?

Kruger spojrzał na Dagę i przewrócił oczami.

– Uciekajmy.

– Dobry pomysł.

Ruszyli przed siebie. Gdy wyszli na drogę, którą Dagmara wracała wieczorem z cmentarza, dostrzegła samochód Krugera, czerwoną skodę 105. Wsiedli do środka. Porucznik wyjął ze schowka paczkę klubowych.

Znowu zapalili i milczeli przez moment.

– Co za piździelec to zrobił? – szepnęła Dagmara, przypominając sobie nagle

makabryczny obraz zamordowanej dziewczynki. Oparła głowę o zagłówek.

– Á propos – odezwał się Freddy. – Jeden z mieszkańców powiedział, że kręci się tutaj pewien podejrzany typek. Dzieci mówią, że czasami rozdaje im cukierki i pyta, czy może chcą zobaczyć jego słonika. Podobno parę razy obnażył się przed jakimiś dziewczynkami. Mam jego zdjęcie.

– Pokaż.

Porucznik wydobył z wewnętrznej kieszeni płaszcza zdjęcie, które przedstawiało migawkę z jakiegoś pogrzebu. Fotograf uchwycił moment wynoszenia trumny przez grabarzy z kaplicy.

– To jest on – oznajmił Kruger i wskazał palcem niewysokiego, szczupłego mężczyznę, który przyglądał się z uwagą trumnie.

– Szczurek.

– Co ciekawe, nie był to pogrzeb jego bliskiego.

– A patrzy jak na swego. Z wielką uwagą.

– No właśnie. Może lubi trupy?

Dagmara przymrużyła oczy i znowu wyteżyła pamięć, ale bezskutecznie. Chyba nie widziała dzisiaj tutaj kogoś takiego.

– Jutro go namierzemy.

– Ano.

W milczeniu dokończyli palić. Freddy przekręcił kluczyk w stacyjce, samochód zawarczał. Ruszyli.

Dagmara poruszyła się na siedzeniu i wydobywała spod siebie jakiś zeszyt, który ją uwierał. Na czerwonym tle okładki komiksu widniał tytuł: *Smutny finał*. Przyjrzała się postaciom narysowanym sprawną kreską i odłożyła go na tylne siedzenie. Rzeczywiście: smutny finał – skwitowała w duchu. – A zapowiadało się tak przyjemnie. Westchnęła głośno, zwracając tym uwagę kolegi. Ten włączył radio, jakby chciał zagłuszyć ich posępne myśli.

Przerwali ciszę dopiero po przyjeździe na Perkuna. Ulica była zabudowana dwoma rzędami wolnostojących domków.

– Chodźmy.

– No trudno.

Siedzieli z posępnymi minami przy kuchennym stole i wpatrywali się w rodziców Martynki.

Jej matka, blada jak śmierć, pocierała nerwowo zaczerwienione oczy i raz po raz pociągała głośno nosem.

– Dlaczego ja jej kazałam iść na cmentarz? – szeptała, bardziej do siebie niż do nich. – Dlaczego, dlaczego?

Ojciec Martynki westchnął przeciągle, wstał z krzesła, stanął za małżonką i przytulił ją do siebie. Na twarzy miał wypisany bezbrzeżny smutek.

– To nie twoja wina, kochanie – powiedział, głaszcząc ją po rozczochranych włosach.

– A czyja? – podniosła głos – Gdybym nie pozwoliła jej wyjść z domu i kazała skupić się na urodzinach, teraz leżałaby w łóżku, cała, zdrowa, żywa, bezpieczna! Rozumiesz to?!

Mężczyzna zacisnął szczęki i przymknął oczy.

Dagmara zerknęła na Krugera, który wyprostował się nagle, jakby przestraszony tym nagłym wybuchem.

– Dzisiaj były jej dwunaste urodziny!

Hemerska wbiła wzrok w parę oficerów.

– Kto zabija człowieka w dniu jego urodzin? – zapytała, ścisząc głos. – I w dodatku dziecko? Co za bestia?

Po tym słowach rozszlochała się na dobre. Hemerski zrobił przeproszający gest i wyprowadził ją z kuchni. Szła ostatkiem sił, słaniając się na nogach.

Dobrze, że nie powiedzieliśmy im o okaleczeniach – pomyślała z ulgą Dagmara i odruchowo wydobyła z kieszeni paczkę papierosów. Skrzywiła się, gdy zobaczyła, że jest pusta.

– Musimy złapać tego świra – syknęła. Czuła potrzebę wypowiedzenia kilku słów, choćby bezsensownych.

– Ano.

Spojrzała na kopertę ze zdjęciami rodzinnymi opatrzoną napisem „Nasz szczęśliwa rodzinka”. Sięgnęła po nią i zaczęła przeglądać foty. Kruger dołączył. W pewnym momencie wziął jedną do ręki, przyjrzał się jej uważnie, a potem odwrócił. Zamyślił się. Dagmara przyłapała go na tym.

– Co tak główkujesz?

– To jest najnowsze zdjęcie dziewczynki – odezwał się. – Sprzed miesiąca.

Dagmara popatrzyła na fotografię, która uwieczniła Martynę na szkolnej dyskotece. Miała długie rozpuszczone włosy. Ubrana była w czarną miniówkę, białą koszulę i czarne buty na obcasach. Bardzo ładna – pomyślała. I rozwinięta ponad swój wiek.

– Wygląda jak nastolatka, prawda? – zagadnął Kruger.

– To prawda. Jak słodki kociak.

– No właśnie, no właśnie.

– Myślisz, że to ważne?

– Kto wie?

Spojrzeli po sobie i zamilkli, zaciągając się papierosami. Dobrze, że na świecie są ćmiki, pomyślała Dagmara. Można przez chwilę skupić się na czymś innym.

Po kwadransie małżonkowie wrócili, by odpowiedzieć na parę kolejnych pytań. Kruger otworzył zeszyt, pstryknął długopisem. Zaczęła się rozmowa.

Śledczy mieli wrażenie, że chodzą po zaminowanym polu – w każdej chwili mógł przecież nastąpić wybuch. Na szczęście rodzice trzymali emocje na wodzy. Może wzięli coś na uspokojenie, gdy wyszli wtedy z kuchni? Na pewno.

– To było parę minut po szesnastej – mówiła Hemerska. – Martynka wyszła

z domu. Potem przez chwilę rozmawiała na ulicy. Widziałam ją z tego okna.

Wszyscy spojrzeli na okno.

– Z kim? – zapytała Joanna.

– Z Makssem.

– A kto to jest?

– Jej kuzyn, mieszka niedaleko.

Hemerski chrząknął.

– Co było potem?

– Potem ruszyli przed siebie, w stronę Łużyckiej, i zniknęli mi z oczu.

– To był ostatni raz, gdy widziała pani córkę?

– Tak.

– Jak była ubrana?

Chwila zastanowienia.

– Czerwona kurtka, różowe dresy, spodnie i bluza... Na bluzie z przodu był słońnik. Niebieskie kozaki...

Kolorowa dziewczynka – westchnęła w myślach Dagmara. Zerknęła na kolegę, który zanotował coś w zeszycie. Chciała już wyjść na zewnątrz, poczuć zimny wiatr, odetchnąć głęboko. Grobowa atmosfera panująca w tym domu zaczęła sprawiać jej fizyczny ból.

– Rozumiem, że skontaktowała się pani z Makssem, żeby zapytać, czy coś wie o Martynce – zagadnęła.

– Oczywiście. Poszłam do nich.

– Co odpowiedział?

– Że odprowadził ją na Jasną Rolę, gdzie się rozstali. Nic więcej z niego nie wyciągnęłam. Z niego. Ani z nikogo innego.

Hemerska zdusiła papierosa w popielniczce, zwiesiła głowę i załkała.

– Nikt nic nie widział, nie słyszał – dodała cichutko. – Moja córeńka zapadła się pod ziemię.

Nastała cisza, ale po chwili wznowiono rozmowę, która trwała jeszcze jakieś pół

godziny. Niczego ciekawego nie udało się ustalić. Żadnych wskazówek, tropów, poszlak. Martynka nie miała żadnych problemów, wrogów. Na nikogo się nie skarżyła, nie sygnalizowała niczego podejrzanego. Wszystko w jej życiu wydawało się w porządku.

Gdy śledczy stanęli w progu drzwi, Hemerska zapytała nieśmiało:

– Złapiecie sprawcę?

Dagmara i Kruger spojrzeli po sobie niespokojnie. Pytanie zamieniło się w rozkaz.

– Musicie to zrobić! Przecież takie potwory nie mogą chodzić na wolności!

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – powiedział porucznik, po czym wyjął długopis i pstryknął nim. – Może nam pani podać adres Maksa? Musimy z nim porozmawiać.

Przytaknęła. Chłopiec mieszkał na Chrobackiej, prostopadłej do Perkuna.

Pożegnali się i poszli do samochodu.

– Podwieźć cię do firmy? – zagadnął Kruger, sięgając po paczkę klubowych.

– Jasne.

– A zapalisz?

– Nie, mam już dość. Zaraz się porzygam po tym wszystkim.

Dopiero teraz zaczęła sobie tak naprawdę uświadamiać, co zrobił sprawca. Zabił, rozebrał, a potem wyciął kawałki ludzkiego ciała. Kurwa mać, jakiś pojeb wyciął dziewczynce kawałki jej ciała! Tego jeszcze nie grali w naszej smętnej Polsce Ludowej.

Kruger skinął głową.

Zaczął ją irytować ten jego spokój. Może tylko tak udaje?

– Ja chyba też nie mam ochoty – stwierdził i odłożył papierosa. – To tylko głupi odruch.

Dagmara się zamyśliła. Kiedyś przy wódce jeden znajomy lokalny literat powiedział jej, że człowiek to suma nawyków, nic więcej. Zaśmiała się wtedy, bo wypowiedział to tonem mędrca ogłaszającego objawioną prawdę, ale teraz poczuła,

że jest w tym jakiś sens.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła pierwsza. Na tak, w nocy zawsze przychodziły jej do głowy różne dziwne myśli. „Człowiek jest sumą nawyków”. Dobra, może i tak.

Kruger uruchomił silnik. Chciał wbić jedynkę, ale nagle usłyszeli pukanie do okna. Drgnęli przestraszeni. To był Hemerski. Porucznik opuścił okno.

– Co się dzieje, panie Tomaszu? – zagadnął.

Hemerski chrząknął i nachylił się.

– Nie wiem, jak to powiedzieć...

– Najprościej jak się da – podsunął Kruger, gasząc silnik.

– No tak... Chodzi o to, że... że...

– Tak?

– Boże, ale mi głupio!

Śledczy spojrzeli zdziwieni na mężczyznę.

– Wie pan coś? – zapytała Dagmara.

– Ten cały Maks...

– Co z nim?

– To niby dobry chłopak, nic do niego nie mam, ale...

– Ale?

Hemerski spojrzął za siebie, przejechał dłonią po głowie i westchnął. Dagmara i Kruger przyglądali mu się coraz uważniej.

– Ale on jest jednak jakiś dziwny.

– W jakim sensie?

– Chodzi cały na czarno, ma długie włosy, słucha jakiejś mrocznej muzyki o diabłach. – Znowu chrząknął. Był ewidentnie zażenowany. – Podobno ciągle rysuje w zeszytach pentagramy – podjął. – Nie podoba mi się. Ktoś ze znajomych nazwał go satanistą. Pewnie to przesada, ale... Tak jak mówiłem, to sympatyczny chłopak, ale w tej sytuacji... Sami rozumiecie, warto to sprawdzić. Słyszałem, że sataniści organizują czarne msze, na których dzieją się makabryczne rzeczy. Lepiej

dmuchać na zimne, cholera jasna.

Hemerski spojrział na milicjantów. Był cały czerwony.

– Prawda?

– Prawda. Każda wskazówka jest teraz na wagę złota.

Mężczyźnie jakby ulżyło. Uśmiechnął się nieśmiało.

– Ludziom od tego stanu wojennego coś się poprzewracało w głowach – powiedział. – Mam wrażenie, że wszyscy jesteśmy tykającymi bombami. Że z tego stresu to... – urwał, pokręcił głową. – Przepraszam, to nie na temat. Po prostu chodzi mi o to, że nie wiadomo, co niektórym może strzelić do łba.

– Panie Tomaszu, dziękuję za podpowiedź – odezwał się porucznik. – Weźmiemy to pod uwagę.

– Dobrze, to ja już uciekam, do widzenia.

– Dobrej nocy.

Gdy mężczyzna odszedł, Kruger spojrział na Dagmarę i wzruszył ramionami.

– Ale wymyślił – powiedział, uśmiechając się kwaśno.

– Ma trochę racji.

– Z czym niby?

– Ze stanem wojennym – odparła Dagmara. – W ludziach się kotłuje. Mój ojciec czternastego grudnia zeszłego roku wpadł w takie przygnębienie, że do dzisiaj niemal co wieczór się upija. Matka nie daje sobie z nim rady – pokręciła głową. Zamilkła na chwilę. – A taki pan Henio, zadeklarowany solidarnościowiec, sąsiad z góry, podciął sobie żyły na znak protestu politycznego. Tak że wiesz...

Porucznik przemilczał to. Przekręcił kluczyk w stacyjce, skoda ruszyła przed siebie.

– No dobra, co sądzisz o podejrzeniu skierowanym na Maksa? – zagadnął, gdy wyjechali na ulicę Naramowicką.

– Wujek nie lubi ostrej muzyki – prychnęła Dagmara. – Ma u mnie minusa.

– Trzeba będzie jutro sprawdzić tego chłopaczka. Choć brzmi to śmiesznie.

– Ano...

– Zapalę jednak. – Dagmara poruszyła się nerwowo na siedzeniu. – Cała jestem w nerwach.

– Nic dziwnego. To, co się przydarzyło Martynce, to jakiś horror. Intuicja mi podpowiada, że to się może powtórzyć. Takich rzeczy nie robi się jednorazowo.

– Może to taki Marchwicki? Działa według prawa serii...

– Kto wie, kto wie? Boję się, że będziemy mieć tu miasteczko Salem.

Wymienili się rozumiejącymi spojrzeniami.

– Poczęstuj się, papierosy są w schowku.

Dagmara sięgnęła po klubowe.

– Już mi lepiej – odezwała się, zaciągnąwszy się mocno. – Boisz się? – Zerknęła na niego zaciekawiona.

– Że co? – nie zrozumiał.

– Powiedziałaś, że boisz się.

– Tak mi się tylko powiedziało. Taka figura retoryczna, rozumiesz?

– Rozumiem, figura retoryczna.

Matka Freddy'ego była polonistką, podobno profesorem, pewnie od niej nauczył się tego rodzaju słownictwa. Trochę ją rozczarowała ta odpowiedź. Miała nadzieję, że i jemu w końcu udzielą się emocje. Faceci to roboty – pomyślała i spojrzała na przystojny profil kolegi. – Ale całkiem seksowne roboty.

Po dziesięciu minutach znaleźli się na placu Wolności. Gdy wyszli z samochodu, ruszyli niespiesznie w stronę budynku Komendy Miejskiej. Byli straszliwie zmęczeni, ale starali się ignorować sygnały wyczerpanych organizmów. Wiedzieli przecież dobrze, że w ciągu najbliższych dni nie znajdą raczej czasu na dłuższy odpoczynek.

– Czeka nas ostry zapieprz – rzucił Freddy i wbił ręce w kieszenie. – Starzy nie dadzą nam żyć.

– Howgh.

Weszli do środka i wspięli się na trzecie piętro. Po chwili znaleźli się przed obliczem naczelnika Wydziału Zabójstw żadnego wszelkich informacji na temat

zdarzenia. Raportowanie przerwał im Harry, który zamasyście wkroczył do gabinetu zwanego przez wszystkich „wigwamem”.

– Robi się coraz goręcej – rzucił.

– Co masz na myśli? – zapytał naczelnik, poprawiając oprawki okularów.

– Zabójstwo i zbezczeszczenie Martynki to nie jest pierwszy czyn naszego sprawcy.

Wszyscy wbili wzrok w chorążego, który uchodził za najlepiej poinformowanego milicjanta w całej Wielkopolsce.

– Co masz na myśli?

– Nie pamiętacie? W lutym ktoś wykradł z przycmentarnej kaplicy ciało jakiejś młodej dziewczyny, wyciął je i porzucił na łące przy Jasnej Roli. Tuż obok miejsca odnalezienia Martynki, jakieś trzysta metrów dalej.

Rzeczywiście, było coś takiego. Teraz sobie przypomnieli.

W lutym we wskazanym przez chorążego miejscu przypadkowa spacerowiczka natknęła się na zbezczeszczone zwłoki nastolatki. Okazało się, że tego dnia rodzina zmarłej – przerażona, ale i zarazem bezgranicznie zdumiona – zgłosiła zniknięcie jej zwłok spoczywających w trumnie ulokowanej w przycmentarnej kaplicy. Ktoś je, jakkolwiek to brzmi, ukradł, rozebrał, okaleczył, a potem porzucił nieopodal ścieżki. Wszyscy potraktowali to wtedy jako makabryczny żart jakiegoś wariata. Co prawda, były prowadzone czynności, ale nic z nich nie wynikło. Wkrótce wspomnienie o tym kuriozalnym zdarzeniu ulotniło się w natłoku poważniejszych przestępstw.

– Młodej dziewczyny – bardziej stwierdził niż zapytał Kruger, uderzając długopisem o zeszyt.

– Tak, to była chyba maturzystka.

– Myślisz, że sprawcą jest ta sama osoba? – zapytała Dagmara, zerkając na Harry’ego.

– Masz jakieś wątpliwości? – zdziwił się chorąży.

– Czy ja wiem? Chyba nie...

– Mówiłem – odezwał się po chwili Kruger – ktoś chce zrobić z Poznania

miasteczko Salem.

Naczelnik mlasnął z niezadowoleniem i splótł swoje szczupłe palce.

– No dobra, koniec audiencji – sapnął. – O ósmej rano robimy odprawę. A potem ruszycie w teren i zrobicie mi doskonale rozpoznanie posesyjne. Ja sam skontaktuję się z szefami naszych jednostek i zlecę sprawdzenie wszystkich gwałcicieli i zboczeńców, których mamy pod obserwacją. – Zamilkł na chwilę, po czym burknął: – Musimy jak najszybciej zidentyfikować i zatrzymać tego pieprzonego trupojada.

Trójka jego podwładnych spojrzała po sobie.

– Sprawa będzie nosiła kryptonim „Chirurg” – oznajmił naczelnik, a potem dodał łagodniejszym tonem: – Kolorowych snów.

Gdy wyszli z „wigwamu”, Harry zaproponował na odchodne po kielichu.

– Trzeba przełknąć jakoś to gówno – dodał.

– Trzeba – odezwał się Kruger, który stronił od alkoholu, czasami wręcz ostentacyjnie. Dagmara zerknęła na niego zdziwiona. Odpowiedź kolegi uprzytomniła jej, że stało się coś naprawdę strasznego, że nastąpił jakiś przełom.

Gdy siedzieli w pokoju Harry’ego, paląc papierosy i wpatrując się zmęczonymi oczami w na wpół opróżnioną butelkę wódki, porucznik nagle zabębnił palcami o blat stołu.

– Może to jakiś amator młodych dziewcząt? – zaczął się zastanawiać na głos. – Nie daje mi spokoju fakt, że Martynka wyglądała na nastolatkę. A na tej dyskotecce to... – urwał i dopił swój alkohol.

Chorąży zdusił wypalonego papierosa w nakrętce od słoika służącego za popielniczkę.

– Była taka sprawa na początku lat siedemdziesiątych – odezwał się. – Facet zgwałcił i zabił kilka nastolatek. Dostał czapę. Mówiono, że działał z kimś, ale nigdy tego nie udowodniono, a sam zaprzeczał jakoby miał współnika.

– A jak się to ma do naszej sprawy? – zapytał Freddy.

– Nie wiem, zastanawiam się. Może jakoś się ma?

Zamilkli.

– Freddy, czy ty myślisz o tym samym, co ja? – zagadnęła nagle Dagmara.

– To znaczy?

– Że zabójca ją znał i mieszka w tej samej okolicy?

– Statystyka podpowiada taki właśnie trop.

Harry rozlał alkohol, wypili, ubrali się i apatycznym krokiem opuścili komendę.

Wróciwszy do domu, Janek obejrzał na wideo horror zatytułowany *Piątek, trzynastego*. Przestraszył się, ale lubił ten stan, więc sięgnął jeszcze po *Lśnienie*, film, który zachwalał ostatnio jeden z jego kumpli. Gdy zasiadł wygodnie w fotelu, wrócili rodzice. W trakcie rozmowy przy kolacji rzucili, że w sąsiedztwie znaleziono zamordowaną dziewczynkę. To go zainteresowało. Rodzicie nie chcieli jednak mówić o szczegółach. Zbywali jego pytania i uporczywie nawiązywali do jutrzejszego wyjazdu do Hiszpanii. Udało mu się wyciągnąć od nich tylko tyle, że stało się to w lasku nieopodal cmentarza i że ofiara została okaleczona.

– Okaleczona? – otworzył oczy ze zdziwienia.

– Nieważne, jedz – powiedział tata ostrzejszym tonem.

Spasował. Po posiłku i wesołych pogaduchach wykapał się, spojrzął z wielką niechęcią w lustro, w którym odbijała się jego pryszczata twarz, nałożył pidżamę i poszedł do swojego pokoju.

Zerknął na fotos roznegliżowanej Kaliny Jędrusik zawieszony nad biurkiem. Aktorka przypominała mu córkę sąsiadów z góry. Też była ładna, apetyczna i głośna. Latem widział ją na łące: siedziała na kocyku i smarowała swoje ciało olejkiem do opalania. Piękny widok. Długo potem nie mógł zasnąć. Wyobrażał sobie, że podchodzi do niej, ona uśmiecha się do niego, wręcza mu olejek, prosząc o pomoc, a on drżącymi rękoma zaczyna dotykać jej nagrzanego, cudownego ciała.

Westchnął raz jeszcze, wyciągnął z szuflady blok rysunkowy, położył się na łóżku i zaczął szkicować scenki, które podejrzwał podczas dzisiejszego spaceru. Psa, który ściga kota. Dwie starsze panie, które nachylają się ku sobie i szepczą

o prywatnych sprawach. Mężczyznę w czarnym płaszczu, którego siwą grzywę rozwiewa wiatr. Wysokiego jak topola chłopaka z siatką wypełnioną zniczami. W pewnym momencie próbował narysować twarz rowerzysty, ale kompletnie mu to nie wychodziło. Zmiał więc kartki i wyrzucił do kosza.

Nie wiedział, co ze sobą zrobić. Poszedł do kuchni, napił się kompotu ze śliwek, potem do pokoju rodziców, którzy przeglądali przewodnik turystyczny po Hiszpanii. Chwilę z nimi porozmawiał i wrócił do siebie. Zaczął rysować nagą dziewczynę, która trzyma rękę na swoich bujnych piersiach. Kiedy skończył, zgasił światło i położył się do łóżka. W tym momencie przypomniała mu się informacja o zamordowanej dziewczynce.

Wyobraził sobie wilkołaka, który krąży po cmentarzu w poszukiwaniu ofiary. Przeszedł go chłód. Tuż przed zaśnięciem przypomniał sobie jeszcze scenkę, którą podejrzwał parę miesięcy temu, wiosną albo latem na terenie Żurawińca. Gruby mężczyzna z opuszczonymi spodniami przytulał długowłosą dziewczynkę i charczał: „O, moja sarenko, pokaż mi swoje piersiatka, pokaż mi je”.

Gościu miał chyba koloratkę – chłopak poruszył się niespokojnie na łóżku. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Otworzył oczy. Usiadł. Czuł, że serce bije mu mocniej. Może to on? – pomyślał. Może to on jest mordercą?

Zamknął oczy. Miał wrażenie, że kojarzy jego twarz. Ale skąd? Gdzie go widział? Bo gdzieś wcześniej go spotkał. Był tego pewien. Gdzie mógł go widzieć?

Po paru minutach uporczywego przetrząsania pamięci znalazł odpowiedź. Tak, to jest on – pomyślał. Na bank. On mnie kiedyś spowiadał przecież. Parę lat temu.

Odkrycie go rozbudziło. Wstał, zapalił światło, wyjął swój sekretny rysownik ze skrytki i zaczął rysować portret mężczyzny, który miał w sobie coś pomnikowego, coś, co przyciągało jego oko rysownika.

Nagle przypomniał sobie mężczyznę w płaszczu, który dzisiaj szedł pospiesznym krokiem od strony Żurawińca. Mężczyznę z siwą grzywą włosów rozwiewaną przez wiatr. Widział go od tyłu, więc umknęła mu jego twarz. Ale te włosy! Przecież takie same miał ksiądz, którego przyłapał z dziewczynką w lasku.

– O kurwa – wymamrotał i zaczął się zastanawiać, co z tym zrobić. Nie spodobał

mu się pomysł, żeby powiedzieć o tym rodzicom. Wyobraził sobie, że zignorują jego informację jako coś niepoważnego, jako majaki dojrzewającego nastolatka, który lubi zwracać na siebie uwagę. Jak ognia unikali kontrowersji, no i czuli niezrozumiały dla niego respekt dla kleru.

Opatrzył rysunek podpisem „29 listopada 1982 roku. Ksiądz, który pieprzył dziewczynkę”. Po czym schował go do skrytki. Zgasił światło i położył się do łóżka.

Po paru minutach wrócił myślami do dyskoteki. Zaczął fantazjować na temat innego jej przebiegu. Kiedy skończyła się piosenka, nie rozluźnili uścisku, poczekali na następną. Wznowili taniec. Kiedy włożył rękę pod jej koszulkę, szepnęła, przyprawiając go o dreszcze: „Połóż mi rękę na pupie”.

W końcu zasnął. Śniły mu się koszmary. Jakiś wariat w masce biegał po Naramowicach z zakrwawioną siekierą i zabijał młode dziewczyny.

Dagmara położyła się do łóżka dobrze po drugiej. Miała kłopoty z zaśnięciem. Wreszcie się jej udało. Dzięki dwóm pięćdziesiątkom żytniej. Odpłynęła. Jej pobudzona świadomość się wyłączyła.

Po jakimś czasie jednak Dagmara poczuła, że jest, że błąka się po jakiejś rozległej przestrzeni zasnutej mgłą, że idzie przed siebie, raz po raz potykając się o nierówności terenu. Przepętniał ją niepokój, coś ścisnęło za gardło.

Zaczęła się rozglądać wokoło. Zupełnie nieoczekiwanie dopadła ją tęsknota za byłym mężem, Witkiem. Wtedy zrozumiała, że jest na cmentarzu.

W tyle głowy pojawiła się myśl, że Witek nie żyje. Zaczęła biec, jakby chciała dostać się jak najszybciej do jego grobu. Serce telepało jej jak szalone. W pewnym momencie potknęła się o coś i wpadła do dołu. Wrzasnęła i obudziła się cała zlaną potem.

– Ożeż w mordę! – sapnęła, nie bez pewnej ulgi.

Spojrzała na zegarek. Była czwarta. Wstała, poszła do kuchni, napiła się wody z kranu i wróciła do łóżka. Przez parę minut kręciła się w nim niespokojnie. Postanowiła, że w ciągu dnia zadzwoni do Witka. Musi się upewnić, że u niego wszystko w porządku, że to nie był proroczy sen.

Zdjęła piżamę, włożyła głowę pod poduszkę i czekała na sen. Przeszedł szybko i nieoczekiwanie. Tym razem przyśniło jej się, że pojechała na naramowicki cmentarz. Przeskoczyła przez bramę i po cichu podeszła do kapliczki. Przystanęła przed drzwiami. Były lekko uchylone. Przyłożyła do nich głowę. Zdrętwiała, bo do jej uszu doszło jakieś jęczenie.

To on – pomyślała, czując, że oblewa ją zimny pot. Nakryłam skurwiela. Wyciągnęła P-64 z kabury.

– Jesteś piękna – z głębi kapliczki wydobyło się obleśne mamrotanie. – Jesteś taka śliczna.

Nagle usłyszała krzyk młodej dziewczynki.

– Ciociu! Ratuj! Ciociu!

Gdy usłyszała głos Ady, swojej siostrzenicy, ryknęła jak rozjuszony zwierz, otworzyła gwałtownym szarpnięciem drzwi, odbezpieczyła broń i wbiegła do środka. W kiepsko oświetlonym wnętrzu dostrzegła mężczyznę z opuszczonymi spodniami. Ciężko sapiąc, patrzył na nią zbaraniałym wzrokiem. Wycelowała w niego broń.

– Nie ruszaj się – warknęła i omiotła wzrokiem wnętrze kapliczki. Nigdzie nie dostrzegła Ady. Chyba się przesłyszałam – pomyślała.

Wbiła wzrok w trumnę. Była otwarta. Leżąca w niej kobieta miała obnażone piersi. Zrobiła dwa kroki w jej stronę, nieświadomie opuszczając broń. Mężczyzna dostrzegł to i ruszył w jej kierunku. Cofnęła się i przerażona nacisnęła spust.

Ale zamiast strzału rozległ się metaliczny dźwięk. Usłyszała chichot i pod naporem ciężaru faceta upadła na ziemię. Na moment przed utratą świadomości poczuła trupi odór.

Gdy otworzyła oczy, zrozumiała, że to był tylko sen.

– O kurwa – szepnęła z ulgą.

Była cała rozdygotana. Spojrzała na zegarek. Parę minut temu minęła piąta. Chwyciła bluzkę od pizamy i wytarła nią mokrą twarz. Usiadła na łóżku i przez dłuższą chwilę patrzyła na swoje nagie stopy.

O tym weekendzie nie zapomnicie nigdy – przypomniwała sobie słowa naczelnika, które wybrzmiały na koniec odprawy.

– Chyba miał pan rację, majorze – mruknęła, po czym zwała się plecami na łóżko. Była wyczerpana.

Kiedy sobie to uświadomiła i zdecydowała, że poleży jeszcze w łóżku, zadzwonił

telefon. Westchnęła i poczłapała do przedpokoju, gdzie był zamontowany aparat. Podniosła słuchawkę.

– Tak?

– Jak spałaś, Zbójcu? – sympatyczny głos Freddy’ego podziałał na nią kojąco.

– Źle, bardzo źle. Właśnie śniło mi się, że zaatakował mnie nekrofil.

– Witaj w klubie. Ja też miałem koszmary tej nocy – zaśmiał się. – Moja część łóżka była cholernie przeпоcona, kiedy się obudziłem.

Zdziwił ją trochę. Nie spodziewała się takiego telefonu. Takie pogawędki nie były w jego stylu. Musiały mocno trzepnąć go te koszmary.

Usiadła na krześle. Oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy.

– Co ci się śniło?

– Śniło mi się, że zabiliśmy naszego trupojada i pogrzebaliśmy go na opuszczonym cmentarzu w jakiejś zapadłej dziurze.

– To wszystko?

– Nie, to dopiero początek!

– To co było dalej?

– Wyobraź sobie, że on po paru dniach ożył i zaczął zabijać mieszkańców okolicznych wsi.

– Brzmi jak fabuła jakiegoś tandetnego horroru, Freddy.

– Może, ale w czasie snu nie zwracałem uwagi na kiepską jakość. Po prostu się bałem. Jak dziecko w kinie.

– Jak to się skończyło?

– Ogólną rzezią, po której zwolnili nas z roboty za nieudolne działania.

Zaśmiali się równocześnie.

– No cóż – odezwała się Dagmara, mimo wszystko podniesiona nieco na duchu tą rozmową. – Musimy potraktować twój sen jako motywującą odprawę.

– Tak jest.

– Do zobaczenia.

Dagmara odłożyła słuchawkę i poszła do łazienki. Gdy brała zimny prysznic,

próbowała wyobrazić sobie zabójcę Martynki. Widziała go jako rosnącego mężczyznę, o nerwowych ruchach, stalowym spojrzeniu i sadystycznym uśmiechu.

Gdy zapalała silnik samochodu, czuła już podekscytowanie. Włączyła radio. Właśnie leciała znana piosenka Creedence Clearwater Revival. Ruszyła z piskiem opon i zawtórowała wokaliście: *I put a spell on you!*

Poczuła nagły przypływ mocy.

– *I put a spell on you!* – krzyknęła.

Po wyczerpującej odprawie w gabinecie naczelnika Dagmara, Kruger oraz Harry spalili po papierosie i opuścili komendę. „Idziemy do KaZetEr” – poinformowali dyżurnego, który właśnie pałaszował sznytkę z serem i kielbasą. To był skrót doskonale znany wszystkim pracownikom firmy i oznaczał „Knajpę za rogiem”.

Milicjanci wciągnęli do płuc trochę powietrza, rozejrzeli się po sennym centrum Poznania, skręcili w prawo w ulicę Nowowiejskiego i wstąpili do kawiarni o wdzięcznej nazwie Crystal.

W tym sympatycznym lokalu, najchętniej odwiedzanym przez emerytów, komentowali odprawy, doprecyzowali wersje śledcze i ustalali dokładniejsze plany czynności. Potem dopijali kawy, gasili papierosy i ruszali do roboty, do „dobrej poznańskiej roboty”, jak lubił mawiać ich szef, zwany czasami Wodzem, major Sławomir Bielski.

– No dobra – powiedział Kruger, gdy usadowili się przy stoliku z widokiem na ulicę. – Co mamy?

Zadawszy to rytualne pytanie, położył na kolanach swój zeszyt i pstryknął długopisem.

– Pojeba, który poluje na trupy – rzuciła Dagmara. – I potem przeprowadza na nich operacje chirurgiczne.

– Domorosłego chirurga – wtrącił Harry, który wydobył z wewnętrznej kieszeni kurtki piersiówkę i wlał parę kropel alkoholu do swojej kawy.

Dagmara poczuła zapach wódki. Zerknęła na niego, a potem na Krugera, który zmarszczył brwi.

– Domorosły – powtórzył porucznik słowa chorążego i zamyślił się. – A może wcale nie? – rzucił nagle.

Dagmara i Harry spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

– Co masz na myśli?

– Może on jest fachowcem w tej dziedzinie?

– W krojeniu trupów? – zapytał Harry.

– Może to zimny chirurg? – podłapała Dagmara. – Jakiś zboczony medyk sądowy?

Zarechotali głośno.

– Trzeba to sprawdzić. – Kruger szybko spoważniał i zanotował coś w swoim nieodłącznym zeszycie. – Trzeba sprawdzić wszystkich, którzy zawodowo mają kontakt z trupami. Czyli szpitale, kostnice i inne tego typu placówki...

Zerknął na Dagmarę.

– Po naszej naradzie pojedziemy na Świącickiego, żeby dowiedzieć się, co zostało ustalone w trakcie sekcji – oznajmił.

– Komu przydzielono ciało? – zapytał Harry.

– Bronkowi – odparł Kruger, mając na myśli doktora Bronisława Kuleja, który w ostatnich latach cieszył się opinią najlepszego medyka sądowego w Wielkopolsce. W poznańskim Zakładzie Medycyny Sądowej następowała właśnie zmiana warty pokoleniowej. Mistrz Kuleja, czyli profesor Alojzy Sajkiewicz, wybitny oraz charyzmatyczny fachowiec, powoli schodził z zawodowej sceny. Liczne kłopoty ze zdrowiem, mające istotny związek z jego słabością do alkoholu, coraz bardziej przeszkadzały mu w rzetelnej pracy. Po kilku ostatnich kłopotliwych wypadkach zaczęto go odsuwać od najpoważniejszych spraw.

– Nie zapomnijcie wziąć ze sobą flaszki – rzucił Harry, szczerząc zęby.

Kruger wzruszył ramionami.

– Zobaczymy, co wyczyta z ciała – powiedział profesorskim tonem, w który często wpadał, co nieodmiennie bawiło Dagmarę i Harry'ego.

Burza mózgów potrwała jeszcze jakąś godzinę. W tym czasie omówili

najrozmaitsze wersje śledcze, z których większość wydała im się naciągana, wypalili całą paczkę papierosów i opili się kawą.

Zmęczeni intensywną dyskusją, zamilkli i spojrzeli na zegarki. Trzeba było się zbierać.

– Harry – Kruger zwrócił się do chorążego – w takim razie ty namierzysz tego ekshibicjonistę. – Wyciągnął fotografię z zeszytu i podsunął ją koledze. – A my ze Zbójem pogadamy z Maksem, z tym domniemanym synem szatana – dodał, mrugając żartobliwie. Najwyraźniej wątek satanistyczny wydawał mu się kuriozalny.

Harry skinął głową.

– Odwiedzę księdza z tamtejszej parafii – powiedział. – Wyciągnę go na spytki o jego owieczkach. Jest znakomicie poinformowany.

– Dobry pomysł.

Dagmara zastukała o blat stołu.

– Zapomnieliśmy jeszcze o jednej rzeczy – powiedziała.

– Tak?

– O poprańcach seksualnych, chłopcy!

– Masz rację – zgodził się Freddy. – Jeśli trop prowadzący do ekshibicjonisty okaże się ślepy, pójdziesz do Halinki z obyczajówki i pogadasz z nią. Może podsunie coś interesującego.

Dagmara wyszczerzyła zęby na wzmiankę o pięćdziesięcioletniej koleżance, którą pracownicy komendy nazywali „łowczynią cipek” z względu na jej wielką pasję w ściganiu prostytutek.

– Bardzo chętnie, jej anegdoty o kurwach są bezcenne.

Mężczyźni zachichotali jak uczniacy, ściągając na siebie spojrzenie kelnerki. W tle zabrzmiał głos Felicjana Jędrzejczaka, który wyśpiewywał głośno refren nowej piosenki Budki Suflera.

Nagle Harry poruszył się na krześle i wskazał brodą na okno.

– O wilku mowa.

Freddy i Dagmara wbili wzrok w niewysoką kobietę ubraną jak wiejska

katechetka, która różnym krokiem maszerowała wzdłuż ulicy, prowadząc jednocześnie krępa czterdziestolatkę w czerwonej miniówce. Natychmiast ją rozpoznali, to była Gruba Ania, królowa „poznańskiego Pigalaka”, czyli placu Mielżyńskiego.

– No tak – odezwała się Dagmara – Halinka lubi sobie przesłuchać kurwę w sobotnie przedpołudnie. – Zbliżyła się do okna i zastukała głośno.

Funkcjonariuszka i prostytutka odwróciły głowy w ich stronę. Przez chwilę mrużyły oczy. W końcu ta pierwsza podniosła kciuk do góry, a ta druga wywaliła na wierzch język. Odczytali to jako serdeczne powitanie, odmachali im energicznie i odprowadzili spojrzeniem.

– No i teraz możemy zasuwac do roboty – oznajmił Harry.

Podnieśli się z krzesel, założyli kurtki i wyszli na ulicę. Zapowiadała się całkiem ładna pogoda. Dagmara spojrzała na napis, który ktoś naniósł sprayem na ścianie jednej z kamieniec: „Kibel, kibel, kibel, roznosi zarazki”. Coś w tym jest – pomyślała, uśmiechając się kwaśno do siebie.

– Pamiętajcie, że nasi nie znaleźli majtek dziewczynki – odezwał się Freddy, przywracając ich gwałtownie do sprawy ponurego zabójstwa. – Sprawca mógł je zabrać ze sobą. Czerwone majtki w niebieskie kwiatki.

Gdy Dagmara i Kruger znaleźli się na terenie Zakładu Medycyny Sądowej, doktor Kulej właśnie spożywał drugie śniadanie w swoim nieprzyjemnie pachnącym kantorku. Na stoliku rozpostarty był „Głos Wielkopolski”, a na nim nadgryziona bułka, ogórek kiszony i smakowite udko kurczaka.

– Broniu, co nam możesz powiedzieć o dziewczynce? – zagadnęli go.

„Broniu” kiwnął głową, jakby prosił o chwilę cierpliwości, usiadł na trzeszczącym niemiłosiernie krześle, sięgnął po udko i wbił w nie zęby. Gdy je spałaszował, zamlaskał, wytarł ręce w serwetkę, wyciągnął ze skórzanej torby ćwiartkę i pomachał im przed nosem.

Pokręcili głowami odmownie. W odpowiedzi wzruszył ramionami. Wypił połowę zawartości, syknął, odstawił alkohol i spojrzał na nich.

– No dobra – odezwał się zblazowanym głosem. – Co wam mogę powiedzieć, co byście mnie zrozumieli? Niech no pomyślę...

Bawiła ich ta jego maniera wykładowcy akademickiego, który traktuje swoich rozmówców jak kiepsko przygotowanych do kolokwium studentów.

Wstał z krzesła, zerknął do zeszytu.

– No tak – zaczął. – Dziewczynka została uduszona. Bardzo brutalnie, z wielką siłą. Kutafon złamał jej kość gnykową i chrząstki krtani.

Spojrzał na nich i westchnął.

– Mam wnuczkę w jej wieku – powiedział. – Więc musiałem się w trakcie sekcji trochę znieczulić odpowiednim płynem. Rozumiecie?

Kiwnęli głowami, że rozumieją.

– Co jeszcze? – kontynuował doktor. – Wycięto jej pochwę i piersi. Ale to już wiecie.

Dagmara zacisnęła szczęki.

– Co ciekawe, nie została zgwałcona – zadumał się. – Przyznam, że to interesujący przypadek. Psycholog i psychiatra będą mieli używanie po złapaniu klienta. Ciekawe, jakim szczęśliwcom to przydzielą. Na takich sprawach buduje się przecież kariery!

Cierpliwie przysłuchiwali się jego słowom.

– Nie znalazłem na jej ciele spermy – mówił Kulej. – Muszę przyznać, że jeszcze nigdy czegoś takie nie widziałem na własne oczy. Czytałem czasami o podobnych popierdoleństwach, no ale... hm... żeby w Poznaniu, w naszym filisterskim miasteczku, takie rzeczy się działy? Koniec świata... – umilkł. Zmarszczył czoło, spojrzał na swoje doskonale wypastowane pantofle i odezwał się po chwili namysłu: – Był kiedyś taki sierżant w dziewiętnastym wieku, który wykopywał z grobów trupy, kobiet, ale też i mężczyzn, było mu wsio rawno, wycinał im kawałki mięska i się z nimi, wiecie, zabawiał. Nazywał się... nazywał się... jak on się, kurde, nazywał?

– Bertrand – podsunął Freddy. – Sierżant François Bertrand.

A to kujon – pomyślała sobie Dagmara. Kulej się uśmiechnął.

– Widzę, że znasz temat.

– Coś jeszcze? – wtrąciła się lekko zniecierpliwiona Dagmara.

– Hm, sprawca nieźle tnie – spojrzał na nich i poprawił okulary. – Dobra czwórka, powiedziałbym. Ma talent.

– Może to jakiś rzeźnik? – zapytała Dagmara.

– Może. Może syn rzeźnika? Nie zdziwiłbym się, gdyby był jakoś powiązany z tym fachem. A może prosektor?

– Rozważaliśmy to – rzucił Freddy.

Kulej uśmiechnął się promiennie.

– Mój kolega po fachu? – zarechotał. – Powiem wam, że to nie jest wykluczone.

Więcej, to byłoby całkiem zrozumiałe. Jakiś „zimny chirurg” tak się zatracił w robocie, że zaczął pracować po godzinach, na własną rękę, w ramach swojej pasji. Skądś musi brać ciała. Kradnie je więc z cmentarzy... Powiem wam, że robi się coraz ciekawiej.

Dagmara skrzywiła się i zerknęła na Freddy’ego, który zapisał coś w zeszycie.

– Czym mógł to zrobić? – zapytał.

– Czy ja wiem? Jakimś ostrym nożem, może skalpelem?

– Czy to ty robiłeś oględziny tych zwłok z lutego? – zagadnął porucznik.

– Tak.

– To ten sam sprawca?

Doktor wzruszył ramionami.

– A ilu nekrofilów może w tym samym czasie działać w mieście tej wielkości, co Poznań? – prychnął.

– Przecież wiesz, o co pytam.

Kulej skinął głową.

– Mogło to być to samo narzędzie. Natomiast tamte cięcia były trochę gorsze, na trójkę.

Dagmara wyszczerzyła zęby.

– Na trójkę, powiadasz?

– No, na dobrą trójkę, niech mu będzie.

– Czyli że się rozwija? – zapytała.

– Na to wygląda – odpowiedział. – Eskaluje.

Kulej nagle spowaźniał na twarzy, wbił wzrok w zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki, które wisiało nad stolikiem.

– Nie chcę nic mówić – odezwał się po krótkim milczeniu. – Ale według mnie facet dopiero zaczyna zabawę z trupami. Fakt, że nie poniósł kary za lutowy czyn, mógł go ośmielić. Jeśli szybko go nie złapiecie, poczuje się bezkarny i znowu zaatakuje. A potem znowu. No i zapanuje psychoza.

Dagmara poczuła, że po plecach przebiegł ją prąd.

– Bierzcie się więc do roboty, kochani. Klient być może szuka już nowej ofiary – rzucił. – Zegar tyka.

Ostatnie dwa słowa wypowiedział wolno i z dużym naciskiem, jakby wygłaszał kwestię w jakimś amerykańskim filmie sensacyjnym. Niby tania sztuczka, ale dopiero wtedy Dagmara i Freddy zrozumieli, jak wielka ciąży na nich odpowiedzialność. Jeśli nie przyłożą się odpowiednio, będą kolejne ofiary. Oto więc zaczyna się wyścig z czasem.

Kulej zerknął na zegarek.

– Jak zrobię protokół, to wam podeślę – oznajmił. Wbił ręce w kieszenie fartucha i spojrzał na nich wymownie. – Moje trupy się niecierpliwiają, muszę do nich wracać. Jakies jeszcze pytania?

Nie mieli więcej pytań, przynajmniej na razie. Pożegnali się i w milczeniu wyszli na korytarz. Przy wyjściu natknęli się na profesora Sajkiewicza, który rozmawiał z bladym czarnowłosym młodzieńcem.

– Słyszałem, że macie fajną sprawę – rzucił zachrypniętym głosem medyk. – Trzymam kciuki za powodzenie! Nekrofilia to fascynująca sprawa.

Uśmiechnęli się z lekka zażenowani i po krótkiej wymianie zdań opuścili Zakład Medycyny Sądowej. Potem wsiedli do skody Freddy'ego i pomknęli na Naramowice.

Podczas drogi Dagmara zastanawiała się, jak Kulej spędza czas po pracy – poza pić i bawieniem ukochanej wnuczki. W głowie wibrował jej rechot medyka. Jak on powiedział? Jakoś tak: mój kolega po fachu, niewykluczone.

Gdy zaparkowali na Chrobackiej, zwróciła się do kolegi, zaskakując trochę samą siebie. Nie chciała raczej powiedzieć tego na głos.

– Dlaczego ktoś zostaje medykiem sądowym? Dlaczego ktoś wybiera sobie zawód polegający na krojeniu umarłaków? Ble...

Freddy zaśmiał się, wyciągając kluczyk ze stacyjki.

– Czyżbyś zaczęła podejrzewać Bronka? – powiedział. – Oj, nieładnie, nieładnie.

– Tylko mu nie mów – burknęła i wysiadła energicznie z samochodu. Rozglądając się po okolicy, poczuła, że budzi się w niej instynkt tropiciela czy nawet

łowcy. Dopadnę tego zbokola – pomyślała. Dopadnę go. Kimkolwiek jest.

Piętnaście minut później znajdowali się w pokoju Maksa, siedemnastoletniego chłopaka, o długich jasnych włosach, ubranego na czarno, który odpowiadał półsłówkami na ich pytania. Siedział na krześle przy biurku, oni przycupnęli na skraju wersalki. Sprawiał wrażenie bardzo przygnębionego śmiercią kuzynki.

– Tak, rozmawiałem z nią tego dnia – mówił drżącym, zalęknionym głosem. – Przed jej domem na Perkuna. Tam ją spotkałem.

– Co było potem?

– Potem?

– Cały czas staliście przed domem? – Freddy doprecyzował pytanie.

– Odprowadziłem ją jakieś sto metrów i rozstaliśmy się.

– Widziałeś ją jeszcze tego dnia?

– Nie. – Chłopiec zagryzł usta i opuścił głowę.

– Gdzie poszedłeś po rozstaniu z Martynką? – zapytała Dagmara.

– Nad Wartę.

– Nad Wartę? Po co?

Maks wzruszył ramionami.

– Posiedzieć sobie.

– Rozumiem. A długo tam sobie siedziałeś?

– Może z godzinkę.

Dagmara zamilkła i zerknęła na kolegę. Ten drgnął i wbił wzrok w Maksa.

– Słuchaj – odezwał się – chciałem cię jeszcze zapytać o moment rozstania się

z Martynką. Mogę?

– Proszę.

– Czy coś powiedziała wtedy?

– Nie.

– Nic?

– Nic. Tylko „cześć”.

– Nie mówiła, że z kimś tam się spotka?

– Nie.

– Jesteś pewien?

Nastolatek przewrócił oczami.

– Tak, jestem – odpowiedział zirytowany. – Miała po prostu pójść narwać trawy dla królika i wrócić.

Dagmara i Kruger w trakcie rozmowy omiatali wzrokiem pokój, który był obwieszony plakatami metalowych kapel: Black Sabbath, Iron Maiden, Judas Priest. W rogu pokoju stała oparta o ścianę gitara klasyczna, jedna struna była zerwana.

W pewnym momencie Maks zaczął nieoczekiwanie szlochać. Śledczy zeszywnieli.

– Nikomu o tym nie mówiłem – powiedział, gdy już się uspokoił. – Ale ona...

Spojrzeli na niego z zaciekawieniem.

– Tak? – zachęciła go łagodnie Dagmara.

– Powinienem się zgodzić.

– Na co?

Maks pociągnął nosem i spojrzał na nich zażawionymi oczami.

– Zapytała, czy...

Urwał, skrzywił się i znowu zaniósł szlochem. Nagle z dołu rozległo się wołanie jego matki.

– Maks, Maks, choć na chwilę.

Chłopak zamilkł, przetarł oczy i zerknął przeproszająco na oficerów.

– Zaraz przyjdę, przepraszam.

Wstał i wyszedł odprowadzany przez nich wzrokiem. Przez chwilę przyglądali się drzwiom, do których był przytwierdzony plakat przedstawiający dwie postaci rodem z horroru, diabła i białowłosą kostuchę. Całości dopełniały dwa napisy: „The Number of the Beast” oraz Iron Maiden.

Podnieśli się z wersalki i, korzystając z okazji, zaczęli rozglądać się po pokoju. W pewnym momencie Dagmara podeszła do biurka, na której leżała płachta „Świata Młodych”, i podniosła ją. Pod spodem leżał zeszyt. Otworzyła go i przymrużyła oczy. Co my tu mamy?

W zeszycie były zdjęcia kobiet wycięte z kolorowych czasopism. Ładnych, młodych, w skąpych strojach, czasami kompletnie nagich. Nasz diabełek dojrzeła – skwitowała w myślach lekko rozbawiona. W pewnym momencie coś ją zatrzymało. W połowie zeszytu dostrzegła kobietę w stroju kąpielowym. Atrakcyjną, uśmiechniętą, pokazującą język. Znała ją. Czy to nie jest...?

– Freddy.

– Co masz? – Porucznik wbił wzrok w zeszyt.

– Zeszyt z babeczkami. I z taką niespodzianką, popatrz.

– Czy to nie jest...?

– Tak, to Hemerska.

– Co ona robi...

– ...w zeszyciku młodego onanisty? – zaśmiała się. – Pewnie za obiekt westchnień. I nie tylko.

Na schodach rozległo się człapanie Maksa. Zamilkli. Dagmara odłożyła zeszyt na miejsce i przykryła go tygodnikiem.

Gdy nastolatek wrócił, siedzieli grzecznie na wersalce i patrzyli na niego życzliwie. Maks usiadł na krześle, spojrział na „Świat Młodych”, zmarszczył czoło, a potem przeniósł wzrok na milicjantów.

– Mówiłeś, że Martynka podczas pożegnania zapytała cię o coś – zagadnęła Dagmara.

– Tak.

Pauza.

– O co?

– Żebym poszedł z nią na łąkę.

– Odmówiłeś?

– No niestety. Nie chciało mi się.

– I masz teraz żal do siebie?

– Tak.

Z oczy Maksa popłynęły łzy.

– Maks – odezwał się Kruger.

Chłopak spojrzał na oficera.

– To nie twoja wina. Naprawdę. Tak jak nie jest winą jej mamy, że pozwoliła Martynce pójść na łąkę. – Kruger nachylił się w stronę chłopaka. – Zło wyrządził jej sprawca, nie wy. Rozumiesz? Nie wy. Wy zachowaliście się całkiem normalnie. Rozumiesz?

Maks zaczął wycierać łzy.

– Powiniennem z nią pójść na tę głupią łąkę – odezwał się. – Było po czwartej, powoli się ściemniało. A przecież nasza okolica po zmroku robi się niebezpieczna. Te wszystkie laski, stawy, łąki. Mogliby tu kręcić horror.

Rzeczywiście, ten cały Żurawiniec ma w sobie coś mrocznego – pomyślała Dagmara, uprzytamniając sobie, że ważnym elementem tej okolicy jest rezerwat przyrody.

– Wieczorami pewnie schodzą się tu różne podejrzone typki.

Freddy spojrzał na koleżankę i pokiwał głową.

– I to dosłownie – dodał Maks.

– Co masz na myśli?

– Pewnie wiecie, że w lutym Kasia znalazła na ścieżce trupa?

Otworzyli szeroko oczy.

– Kasia? Znalazła trupa? Na ścieżce?

– No w lutym. Kasia, koleżanka z sąsiedztwa, szła sobie wzdłuż łąki i nagle

natknęła się na pocięte zwłoki kobiety, która mieszkała w blokach na Osiedlu Łokietka.

Teraz skojarzyli, że chodzi mu o zdarzenie, o którym mówił wczoraj Harry.

– Od tamtej pory ludzie mówią, że ona straszy.

Popatrzyli na niego z powątpiewaniem.

– Serio? – zapytał Freddy.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Ludzie tak mówią. Ktoś podobno widział tam jakąś babę, która biegła przez chaszczę i pojękiwała jak jakaś zjawa. Pewnie to są pierdy, ale fakt faktem, że kręci się w tej okolicy jakiś zboczeniec, który pokazuje dzieciakom fujarę. Mówiło mi o tym parę znajomych dziewczyn. I dlatego powinienem pójść z nią na łąkę, gdy mnie o to prosiła. W razie czego. Obronić ją.

– A czy ten zboczeniec komuś zrobił krzywdę? – zapytała Dagmara.

– Nie wiem.

– Widziałeś go kiedyś?

– Nie.

– Żadna z koleżanek nigdy ci go nie pokazywała?

Chłopiec wzruszył tylko ramionami. Wtedy Freddy podsunął mu fotografię przedstawiającą scenę z pogrzebu.

– Przypatrz się uważnie – poprosił.

Maks posłusznie spełnił polecenie.

– Coś mi się wydaje, że to może być ten szczurek przy trumnie.

Śledczy spojrzeli po sobie. Ich oczy zaczęły błyszczeć z ekscytacji. Czyżby mieli trafienie?

– Maks – odezwała się Dagmara. – Jakie dziewczyny mówiły ci o tym człowieku?

Maks spojrział na nią – tym razem wnikliwiej. Z zainteresowaniem. Porucznik poczuła na swoim ciele wzrok podszyty samczą energią. Sprawilo jej to nawet pewną przyjemność. Gdzieś w tyle głowy pojawiła się myśl, żeby odwiedzić dzisiaj

po robocie Koguta, dobrego kolegę, z którym czasami sypiała rekreacyjnie. Rockowego muzyka, też rozwodnika. Niezły był w łóżku. Inny niż Harry, bardziej bezwstydnym, lubiła to. O tak, potrzebowała solidnej dawki seksu.

– Niestety, nie pamiętam.

– Nie przypomnisz sobie?

Chłopak się zastanowił.

– Jedną z nich była Kasia. Ta, co trupa znalazła. Kasia Kolankiewicz.

– Wiesz gdzie mieszka?

Skinął głową i wyrecytował adres.

Milicjanci zadali chłopcu jeszcze kilka standardowych pytań i podnieśli się z wersalki. Uścisnęli mu dłoń. Gdy przekraczali próg pokoju, Maks się odezwał:

– Taki jeden koleżka powiedział mi, że w lasku widział gościa z opuszczonymi spodniami i gołą kielbasą. Był w towarzystwie jakiejś dziewczynki.

Odwrócili się gwałtownie.

– Ale to nie był ten szczurek?

– Nie. Ten miał koloratkę.

– Koloratkę?

– Tak.

– Skoro widział koloratkę, to mógł widzieć twarz – rzuciła Dagmara. – Rozpoznał ją? To ksiądz z okolicy?

– Nie mam pojęcia.

– Opisał jego wygląd?

– Nie.

– Co za koleżka ci o tym powiedział? – zapytał Freddy.

– Pyszczu.

– Można mu wierzyć?

– Czy ja wiem? Dziwny jest. Według mnie mógł zmyślać.

– Dlaczego dziwny?

– Snuje się bez celu tu i tam. Nie można z nim normalnie pogadać.

– Gdzie mieszka?

– Też na Osiedlu Łokietka. Ale on dzisiaj poleciał do Hiszpanii. – Maks się uśmiechnął, a po chwili dodał z lekką ironicznie: – Jego ojciec jest dyrektorem w jakiejś ważnej firmie.

– Pyszczu – powtórzyła z namysłem Dagmara. Miała wrażenie, że pamięć podsuwa jej nieśmiało jakiś obraz z wczorajszego wieczoru, kiedy wracała z cmentarza.

– Wysoki, z długimi jasnymi włosami. Pyszczaty – prychnął. – Stąd ksywa.

Wtedy go zobaczyła. Nastolatka, który rozmawiał z dziewczynką, trzymającą, jeśli pamięć jej nie myli, małego pieska na rękach. To mógł być on. Pyszczu. Fakt, że rozmawiał z dziewczynką, wydał się jej teraz podejrzany.

– Znasz dokładny adres?

Znał. Freddy skwapliwie go zapisał.

– A imię i nazwisko?

– Janek Świtalski.

Porucznik skinął głową.

– To chyba wszystko – powiedział. – Dziękujemy za dobrą współpracę.

– Miałeś rację z tym horrorem – odezwała się Dagmara, kiedy już wsiedli do samochodu. – Co tu się wyprawia? Ktoś kradnie trupy, biega z gołą fujarą po łące, zabija dziewczynki. Jakaś nieboszczka straszy... – pokręciła głową. – I jeszcze ta koloratka.

– No właśnie.

– Może to ksiądz zabił?

– Oby nie – odparł Freddy, wysunął papierosa z pudełka i dodał: – Zrobi się tego polityczna sprawa.

– Masz rację. Módlmy się, żeby to był świecki zbrojeniec.

Zarechotali.

Pałac papierosy, wymienili między sobą lakoniczne uwagi o przeprowadzonej rozmowie. Chłopak wydawał się niewinny, mimo tego, co mówił o nim jego wujek.

Zatem póki co mają dwóch kandydatów na podejrzanego o zabójstwo Martynki: „Szczurka”, czyli ekshibicjonistę, oraz „Koloratkę”, księdza, chyba że to przebieraniec, który chce zmylić ślady.

– Być może – zgodził się Freddy. – Jakiś czas temu Halinka mi mówiła, że w Szczecinie zatrzymano gwałciciela nastolatka, który podszywał się pod księdza. Dzięki koloratce udawało mu się pozyskać przychylność dziewcząt, które zaczepiał na ulicy czy w kawiarni.

– Podryw na Pana Boga – skrzywiła się Dagmara.

Freddy się zamyślił. Dagmara zerknęła na niego i odniosła wrażenie, że na jego czole pojawiło się kilka kropel potu. Freddy zaciągnął się bardzo mocno i zakaszał. Zaklął. Wdusił resztki papierosa w denko popielniczki, włączył radio i ustawił na pierwszej lepszej częstotliwości. Z głośników sączyła się *Jesień* Vivaldiego.

– Tak czy owak, musimy sprawdzić, czy Martynka chodziła na lekcje religii – odezwał się po chwili. – A jeśli tak, to kto je prowadził.

– Racja.

Freddy przekręcił kluczyk w stacyjce.

– A teraz jedziemy na Łokietka Sprawdzimy, czy Pyszczyaty rzeczywiście poleciał do Hiszpanii.

– Szczęściarz.

– Ano.

Silnik zawarczał, samochód ruszył przed siebie.

– Widziałam go wczoraj, gdy wracałam z cmentarza. Pyszczyatego. To chyba był on.

Porucznik spojrzał na nią z ciekawością.

– Rozmawiał z jakąś dziewczynką.

– Czy tu wszyscy mają obsesję na punkcie dziewczynek?

– Najwyraźniej.

Skręcili w Madziarską, a potem w Dziewanny. Przecięli Łużycką i znaleźli się na Łokietka.

– Fyrtel Bermudzki – odezwała się Dagmara.

– Dobrze.

Gdy zaparkowali samochód pod odpowiednim blokiem, zachmurzyło się. Zaraz potem lunął deszcz. Zrobiło się paskudnie.

– Napije się pan, panie chorąży? – zapytał proboszcz tutejszej parafii, ksiądz Adam Kniaź, średniego wzrostu szczupły mężczyzna, który przypominał trochę z twarzy Andrzeja Łapickiego.

O parapet zaczęły uderzać krople deszczu. Zerwał się wiatr. Ksiądz Adam uśmiechnął się do milicjanta.

– Przynajmniej symbolicznie – dodał. – Ostatnio widzieliśmy się parę miesięcy temu. Trzeba to jakoś nadrobić, choćby minimalnie. Mam dobry koniaczek.

– Chętnie – odparł Harry i rozparł się wygodnie w fotelu. – Jestem księdzu wdzięczny za tamtą rozmowę. Dzięki niej udało nam się zatrzymać groźnego przestępcę.

Proboszcz obdarzył milicjanta ciepłym spojrzeniem.

– Niestety, naszym owieczkom zdarza się czasami pobłądzić. Wtedy, naturalnie, oddajemy je w ręce świeckiej sprawiedliwości, ale jednocześnie nie ustajemy w modlitwie za ich dusze, ufając w boskie miłosierdzie. Oddaj cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie.

Wiatr zachybotał oknem. W gabinecie pociemniało. Ksiądz uniósł dłoń, jakby te zjawiska atmosferyczne przywoływał jako argument w sprawie, i westchnął.

– Cały czas trwa walka z siłami zła – powiedział, po czym wstał i zamknął okno. Podeszedł do barku, wyjął z niego butelkę z napisem Fine Cognac Dupuy oraz dwa tulipanowe kieliszki. Rozlał alkohol, postawił szkło na ławie. Zapalił światło i usiadł w fotelu naprzeciwko chorążego.

– Bezustannie walczymy o dusze nasze i naszych wiernych. – proboszcz złożył

ręce, a łokcie oparł o poręcz fotela. – Za pół godziny przyjdzie tu ktoś w sprawie pracy na plebani, ale myślę, że do tego czasu uporamy się z problemem, o którym zapewne zaraz się dowiem – znowu się uśmiechnął.

Harry skinął głową.

– Myślę, że tak. Mam tylko jedno pytanie.

Sięgnęli po kieliszki i skosztowali alkoholu.

– Prawdziwy smak boży – szepnął ksiądz.

– Niezłe – potwierdził milicjant.

– Jakie to pytanie?

– O owieczkę.

– Z naszej parafii? – w głosie proboszcza dało się usłyszeć niepokój.

– No właśnie o to chciałem zapytać.

– Rozumiem.

Proboszcz wyprostował się i przyłożył splecione dłonie do swojego szczupłego podbródka.

– Zapewne chodzi o morderstwo dziewczynki? Martynki Hemerskiej?

– Kojarzy ją ksiądz?

– Tak, chodziła na lekcje religii do naszego domu katechetycznego.

– Kto prowadził te zajęcia?

– Wydaje mi się, że ksiądz Edmund.

– Ksiądz Edmund – powtórzył Harry. – Jak wygląda?

– Wysoki, szczupły – proboszcz zmarszczył brwi, jakby przestraszył się, że milicjant podejrzewa jego podwładnego. – Sumienny, wrażliwy kapłan – dodał. – Świetny kaznodzieja. Potrafi porwać ludzi. Chyba umie się wczuwać w ich dusze... Ich problemy, lęki...

Harry sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wydobył z niej odbitkę fotografii, która przedstawiała ekshibicjonistę na pogrzebie. Położył ją na ławie i przysunął w stronę proboszcza.

– Chodzi mi o tę owieczkę – powiedział, pokazując palcem „klienta”. –

Rozpoznaje ją pan? A raczej jego – tego baranka?

Ksiądz założył okulary i przyjrzał się uważnie fotografii. Zagryzł usta.

– Cmentarz nasz – szepnął.

Harry cały czas patrzył na niego uważnie.

– Pogrzeb też kojarzę. To było, zdaje się, w zeszłym roku. Chowaliśmy Bożenkę Krzaklewską. Zmarło się biedulce, na raka, niestety. Przed sześćdziesiątką była, jakiś miesiąc jej zostało do urodzin, jeśli dobrze pamiętam. A ten... szcurek... to kojarzę go, kręci się często wokół cmentarza. Bywa na naszych pogrzebach.

Proboszcz spojrział na milicjanta.

– No właśnie teraz mi pan uprzytomnił, że on podejrzanie często bywa na uroczystościach pogrzebowych. Tak jakby w nich zagustował. – Ksiądz zamilkł na chwilę. – Podejrzewacie go?

Harry chrząknął.

– Rutynowe działania.

– Rutynowe działania... Rozumiem.

– Zna go ksiądz? – zapytał.

– Z widzenia.

– Imię? Nazwisko?

– Niestety.

– A gdzie mieszka?

Proboszcz zamyślił się.

– Nie pamiętam...

Harry nie naciskał. Widział, że duchowny pieczołowicie przeszukuje swoją pamięć. Może coś jednak w niej znajdzie. Nie mylił się. Na twarzy rozmówcy zajaśniał uśmiech.

– Już wiem. Na Jasnej Roli, w jednej z tych ubogich chatynek, które stoją przy drodze – powiedział ksiądz Adam. – Ze dwa lata temu spotkałem go w czasie kolędy. Mieszka z mamą, porządną starowinką. Ojciec, zdaje się, nie żyje.

Proboszcz dotknął szyi i pokiwał wymownie głową.

– Niestety, nie oszczędzał się – dodał, wstając z fotela. Podszedł do szafki, wyciągnął z niej duży opasły zeszyt, przekartkował.

– Mam go – odezwał się. – Henryk Kasperski, Jasna Rola 13. Jego matka ma na imię Gabriela.

Chorąży poruszył się na fotelu. W jego oczach można było dostrzec ożywienie.

– Czy ksiądz proboszcz coś o nim wie? – zapytał, gdy duchowny usiadł z powrotem i dopił resztkę koniaku.

– Co pan ma na myśli?

– Po prostu, czy coś o nim ksiądz proboszcz słyszał, o jego zachowaniu, sposobie bycia?

– Nie bardzo. Rzadko widuję tę rodzinę w kościele, trzymają się na uboczu.

– Jakież informacje, plotki?

– Nie.

– Doniesienia o ekscesach?

– Niestety, nic do mnie nie doszło.

– A czy – milicjant nabrał powietrza. – Proszę wybaczyć, ale sytuacja jest poważna, zamordowano dziecko, więc... hm... ośmielę się zapytać, czy w czasie...

Duchowny przerwał mu.

– ...czy w czasie spowiedzi powiedział coś, co mogłoby wskazywać, że to on dokonał tego strasznego czynu?

– Właśnie.

– Niestety, nigdy go nie spowiadałem.

– Rozumiem.

– Ale mogę zapytać, czy ktoś z moich podwładnych to robił.

Chorąży się uśmiechnął.

– Byłbym wdzięczny.

– Tajemnica spowiedzi to rzecz święta, ale...

– Wystarczy jakiś znak, że coś jest na rzeczy. Nic więcej.

– Możemy się tak umówić.

– W takim razie nie zabieram więcej czasu – powiedział Harry, dźwigając się z fotela. – Bardzo dziękuję za pomoc.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Gdy Harry przekraczał próg, ksiądz chrząknął.

– A propos pomocy... – odezwał się nieśmiało.

– Tak?

– Mam pewną prośbę.

Chorąży spojrział badawczo na duchownego, który złożył ręce jak do modlitwy i przyłożył je do ust.

– Słucham?

Proboszcz omiótł spłoszonym wzrokiem swój gabinet.

– Wyjdźmy może na zewnątrz.

Gdy znaleźli się w ogrodzie, stanęli pod rozłożystym orzechem, gdzie nie dosięgał ich wzmagający się deszcz. Proboszcz ponownie chrząknął.

– Otóż w wyniku niefortunnego, jak sądzę, rozeznania w sytuacji – proboszcz uśmiechnął się niezgrabnie – objęto mnie... obserwacją.

Harry zmarszczył brwi.

– Ostatnio często w pobliżu kościoła widzę czerwone auto, chyba zastawę... Z anteną. W środku siedzi zazwyczaj trzech mężczyzn. Jak mniemam, to ekipa z branży...

Pauza.

– ...branży pokrewnej branży pana chorążego. Jest to pewnie efekt tego, że mój brat, człowiek dobry, uczciwy, ale w gorącej wodzie kąpany, bardzo mocno zaangażował się w działalność, no cóż, w działalność opozycyjną. Pragnę zapewnić, że ja nie mam z tym nic wspólnego, naprawdę. Gdyby zatem mógł pan chorąży dać znać, gdzie trzeba, że ja – proboszcz poczerwieniał na całej twarzy – jestem całkiem przychylnie nastawiony do... – urwał i zaczął kasłać nerwowo. – ...do władzy – dokończył wreszcie i wlepił wzrok w swoje buty.

Harry pozostał niewzruszony, ale w głębi ducha był bardzo rad, że ksiądz zwrócił się do niego z prośbą o przysługę. Jeśli mu pomoże, zaskarbi sobie jego wdzięczność

i w efekcie pozyska cenne źródło informacji. Duchowni dużo wiedzą o swoich owieczkach i barankach, czasami o wiele więcej niż milicja, a nawet bezpieczniacy.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział i postanowił, że w poniedziałek odwiedzi zaprzyjaźnionego oficera SB i rzeczywiście spróbuje to załatwić.

Proboszcz odetchnął z widoczną ulgą.

Harry uściśnął mu dłoń i pomaszerował energicznym krokiem w stronę samochodu. Kiedy zasiadł za kierownicą, wyciągnął notes i zapisał kilka słów, w tym imię księdza, z którym Martynka miała zajęcia. Przerzuciwszy parę kartek, natrafił na adres przyjaciółki, młodej pani prokurator. Mieszkała nieopodal, na Łużyckiej. Może coś wie? – pomyślał, opierając głowę o zagłówek.

Zdarzyło im się parę razy przespać ku obopólnej niezwykle intensywnej przyjemności. Postanowił, że odwiedzi ją teraz. Na języku poczuł smak koniaku, którym poczęstował go proboszcz. Naszła go ochota na alkohol i kobiece ciało.

Trzeba łączyć przyjemne z pożytecznym – pomyślał. Uśmiechnął się do siebie i gwizdząc melodię z *07 zgłoś się*, przekręcił kluczyk w stacyjce.

Polonez ruszył z piskiem opon.

Kruger zaparkował skodę pod szarym blokiem na Łużyckiej. Rozpadało się już na dobre, więc podbiegli z Dagmarą truchtem do klatki schodowej.

Gdy stanęli przed drzwiami państwa Świtalskich, zapukali parę razy, bez rezultatu. Kruger wyciągnął chustkę, wydmuchał nos i zadzwonił. Rozległ się bardzo nieprzyjemny odgłos. To również nie przyniosło żadnych efektów.

– No cóż – odezwała się Dagmara. – Szczęśliwcy zmierzają w stronę słonecznej Hiszpanii.

– Nie ma sprawiedliwości – powiedział Kruger, odczekał chwilę i raz jeszcze zapukał. W tym momencie otworzyły się drzwi naprzeciwko.

Obrócili się. W progu stanął starszy mężczyzna, który podpierał się drewnianą laską.

– Państwo do Świtalskich? – zapytał, mrużąc oczy.

– Tak, chcieliśmy porozmawiać – oznajmiła Dagmara. – Jesteśmy z milicji.

– Nie ma ich, wyjechali na urlop. Do Hiszpanii.

– Kiedy wrócą?

– Z tego, co mówił Janek, to za jakieś trzy tygodnie.

– A wie pan, gdzie dokładnie pojechali? Musimy się z nimi skontaktować.

Mężczyzna spojrzał na nich uważnie.

– Czy to coś ważnego?

– Po prostu musimy służbowo porozmawiać z Jankiem – powiedziała Dagmara.

– Mam numer telefonu siostry Hani, to jest mamy Janka. Może będzie znała

miejsce ich pobytu. Wejdźcie, to wam go znajdę. Białkowski się nazywam.

Mężczyzna zrobił zapraszający gest i wszedł do środka. Dagmara i Kruger ruszyli za nim.

– Chodźmy do kuchni.

Ciszę przerwał gwizdek czajnika.

– Napijcie się kawy?

– Niestety, czas nas goni – odezwał się Kruger, rozglądając się wokoło.

– Rozumiem. Służba, nie drużba. Zaraz znajdę ten adres.

Białkowski otworzył szufladę, wyciągnął z niej zeszyt i go przekartkował.

– O mam. Proszę bardzo.

Freddy zanotował adres w swoim zeszycie.

– Mówiliście, że jesteście z milicji.

– Tak.

– Wiem, że teraz wasi ludzie chodzą po Naramowicach i robią rozpoznanie posesyjne w sprawie zabójstwa dziewczynki.

Dagmara i Freddy spojrzeli na niego zdziwieni tym, że użył fachowego terminu. Zauważył to i uśmiechnął się.

– Stary pies jestem, ale na emeryturze. Robiłem w Łodzi, dochrapałem się kapitana – wyjaśnił. – Moja żona pochodzi stąd. Postanowiliśmy na starość zamieszkać w Poznaniu, bo Łódź za bardzo kojarzyła mi się z trupami, przy których robiłem.

Pokiwali głowami.

– No tak.

– Usiądźcie, proszę – powiedział. – Wczoraj coś mi przyszło do głowy w związku z zabójstwem dziewczynki.

Spojrzeli na niego zaintrygowani.

– Siadajcie, siadajcie.

Usiedli. Białkowski wyjął z szafki szklanekę z koszyczkiem i nasypał do niej dwie łyżki zmielonej kawy.

– Szukacie teraz wszelkich możliwych, jak ja to nazywam, zahaczek. Prawda? – zgadnął, nalewając wodę.

Skinęli głowami. Po kuchni rozniósł się intensywny zapach kawy. Emerytowany oficer pokiwał głową, usiadł przy stole, nasypał sobie cztery łyżeczki cukru, zamieszał. Upił parę łyków, głośno siorbiąc. Wytarł usta.

– No cóż, psem pozostaje się na zawsze – odezwał się. – Emerytura nic nie zmienia w zakresie nawyków. Ale do czego zmierzam? Kiedy dowiedziałem się o zabójstwie, automatycznie zacząłem przetrząsać swoją pamięć w poszukiwaniu takich „zahaczek”. I w końcu przypomniałem sobie, że ktoś z sąsiadów mówił, że jakiś inny sąsiad czy sąsiadka ma brata, który odsiedział wyrok za gwałt na nastolatce.

„W zakresie nawyków” – powtórzyła w myślach Dagmara, z trudem powstrzymując się od ironicznego uśmiechu. – Na pewno był dochodzeniowcem, tylko oni tak mówią. I adwokaci, mistrzowie ściemy.

– Podobno często tutaj bywa w odwiedzinach. Myślę, że warto go sprawdzić.

Freddy otworzył zeszyt i zanotował w nim parę słów.

– Jak go znajdziemy? – zapytała Dagmara.

Białkowski otworzył usta, ale nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle ktoś energicznie otworzył drzwi wejściowe.

– Dzień dobry, kochanie – rozległ się donośny kobiecy głos.

– To moja żona – powiedział mężczyzna, chwycił laskę i podniósł się w krzesła. Zrobił parę kroków w stronę przedpokoju.

– Dzień dobry, moja duszko – odezwał się, zmieniając ton na bardziej serdeczny.
– Mamy gości.

– Gości?

Po chwili w progu kuchni pojawiła się elegancko ubrana kobieta po sześćdziesiątce. Wysoka, nieco korpulentna, miała usta pomalowane czerwoną szminką. Emanowała pozytywną energią, co w ostatnich czasach było niemal niespotykane na polskich ulicach. Poprawiła swoje jasne, pofalowane włosy i uśmiechnęła się serdecznie.

– Dzień dobry, Białkowska jestem.

– Państwo są z milicji, Helenko.

Podeszli do niej i przywitali się. Oboje mimowolnie pociągnęli nosami, poczuwszy delikatny, niezwykle przyjemny zapach perfum, w których przebijała jakaś nieokreślona, ale intrygująca nuta.

– Porucznik Madej.

– Porucznik Kruger.

– Pewnie w związku ze śmiercią tej dziewczynki z Perkuna? – Białkowska spojrzała na męża. – Jak to się nazywa? – zapytała. – Rozpoznanie jakie?

Białkowski uśmiechnął się.

– Posesyjne – odpowiedział i zerknął na milicjantów. – Moja żona pracowała przez szereg lat w milicji. Jest więc wtajemniczona w naszą terminologię.

– To prawda, pracowałam w kadrach, poznaliśmy się na korytarzu w komendzie.

Małżonkowie obrzucili się czułym spojrzeniem.

– Będziemy już uciekać – odezwał się Kruger. – Niech nam pan tylko podpowie, jak dotrzeć do tego mężczyzny od gwałtu na nastolatce.

– Helenko, czy ty pamiętasz, który z naszych sąsiadów ma brata z wyrokiem za gwałt?

Białkowska potrząsnęła głową.

– Niestety nie – odpowiedziała. – To ty kiedyś przyniosłeś taką informację. Ja tylko pamiętam, że w tamtym roku była jakaś afera z tym samym człowiekiem na terenie Żurawińca.

Śledczy wbili w nią wzrok.

– Afera na terenie Żurawińca? – zagadnęła Dagmara.

Białkowska skinęła głową.

– Napijecie się, państwo, czegoś? – zapytała. – Kawy, herbaty?

Podziękowali, chociaż chętnie wzmocniliby się solidną dawką kofeiny. Kobieta zapaliła gaz pod czajnikiem.

– Podobno nagabywał na łące młodą dziewczynę – podjęła. – Ta mu się jednak

postawiła i uciekła do domu. Poskarżyła się rodzicom, a ci zadzwonili na milicję. Nie jestem pewna, jak to się skończyło, chyba ostatecznie rozeszło się po kościach, jak to mówią. Tak przynajmniej niesie wieść gminna. Nie wnikałam w szczegóły.

Kruger ponownie skreślił parę słów w zeszycie.

– Ustalę fakty – odezwał się Białkowski – i zadzwonię do was niechybnie.

Dagmara uśmiechnęła się, rozbawiło ją ostatnie słowo.

– Świetnie – powiedziała.

– Jaki wydział reprezentujecie?

– Wydział Zabójstw.

– Nie wiedziałem nawet, że jest takowy w poznańskiej Komendzie Wojewódzkiej.

– To nowa jednostka – wyjaśnił Kruger. – Wierchuszka stwierdziła, że ostatnio przybyło w naszych okolicach okrutnych zabójców, w tym wielokrotnych, i że w związku trzeba temu zacząć metodycznie przeciwdziałać. Nasza sprawa jest na to dowodem.

Emerytowany oficer pokiwał głową.

– Coś jest na rzeczy, coś się dzieje z naszym narodem – powiedział zamyślony. – Ostatnio siostrzeniec przywiózł mi plik łódzkich gazet, w których opisano sprawę „wampira z Zarzewskiej”. Kojarzycie?

Kojarzyli. Dużo się o niej mówiło. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty rok, sierpień, może wrzesień. Ktoś zaczął w Łodzi napadać na kobiety, wywołując tym samym psychozę wśród przerażonych mieszkańców. Wkrótce okazało się, że zabójcą był osiemnastolatek o sympatycznej twarzy, Krzysztof Sołtysiak.

– Straszna historia – mówił dalej Białkowski. – Powiem wam, że kiepsko zaczęła się ta dekada. Strajki, stan wojenny, czołgi i zasieki na ulicach, brutalne zabójstwa i gwałty. A teraz ten nekrofil! Gdzie my zmierzamy, do licha?! To się musi skończyć tragedią.

Białkowska chrząknęła.

– Ignasiu, państwo są w pracy – skarciła delikatnie męża, uśmiechając się

promiennie do oficerów. – Nie zawracaj im głowy takimi opowieściami.

Białkowski natychmiast zamilkł.

– Przepraszam – powiedział zawstydzony. – Im człowiek starszy, tym bardziej gadatliwy.

Dagmara i Kruger uścisnęli dłonie gospodarzom domu i wyszli z mieszkania żegnani ponowną obietnicą „jak najszybszego ustalenia faktów w sprawie gwałciciela nastolatki”.

Na zewnątrz rozpadało się na dobre. Wsiedli do samochodu i paląc papierosy, wymienili się spostrzeżeniami na temat Białkowskich. Kruger był pod wrażeniem.

– Taka serdeczność rzadko się zdarza w starych małżeństwach – powiedział.

Dagmara pokręciła głową.

– Za wesoła jest, za energiczna – stwierdziła. – Ma kogoś na boku.

Kruger wzruszył ramionami. Dagmara mimowolnie powędrowała myślami do swojej matki, szalonej ekstrawertyczki, teatralnej aktorki, której obca była wierność. Jakies pięć lat temu piły wódkę po premierze *Nory* Ibsena. „Daguś, powiedziała matka po paru głębszych, monogamia to nie dla mnie, ja muszę prowadzić wielowątkowe życie. Rozumiesz mnie, kochana?”. Dagmara wybuchła wtedy śmiechem, zapewniła, że rozumie, ale w gruncie rzeczy była zszokowana tym wyznaniem. Wiedziała to, ale wolała tego nie usłyszeć. „Dlatego musiałam się rozwieść z twoim ojcem, a potem z Ryszardem. Nie mogłam trwać w kłamstwie – mówiła matka, domagając się nerwowo akceptacji córki. – Rozumiesz mnie? Na pewno mnie rozumiesz, Daguś!”. Ta popijawa utkwiała Dagmarze mocno w pamięci. Coś się wtedy w niej przestawiło. Coś naderwało. Ale uprzytomniła sobie to trochę później. Pewnie wtedy, gdy podjęła decyzję, że odejdzie od Witka.

Deszcz był coraz bardziej intensywny i zaczął bombardować dach samochodu. Dagmara drgnęła i spojrzała na kolegę, który flegmatycznie zaciągał się papierosem.

– A jak się ma twoje małżeństwo? – przerwała ciszę. – To już chyba dwa lata?

– To prawda, dwa lata. Dziękuję, bardzo dobrze.

– To pięknie. Swoją drogą, jak ten czas leci.

– Ano. A jak w twoim stanie rozwiedzionym? Też chyba dwa lata?

– Tak, idziemy ramię w ramię, tyle że odwrotnie.

Zaśmiali się.

– Dziękuję, pikantnie.

– Też pięknie.

– Ano.

– To sobie pogadali jak żonkoś z rozwódką.

Znowu rehot.

Nagle usłyszeli pukanie w szybę. To był Harry. Wyszczrzył zęby, otworzył drzwi i usadowił się na tylnym siedzeniu.

– Czołem – przywitał się.

Pachniał alkoholem i kobiecymi perfumami. Dagmara i Kruger odwrócili się i zmierzili go czujnymi spojrzeniami. Sprawiał wrażenie trzeźwego, ale i solidnie odprężonego. Oczy mu błyszczały. Przetarł ręką mokre włosy.

– Masz coś? – zapytał Kruger szorstkim głosem.

– Namierzyłem tego ekshibicjonistę, mieszka niedaleko. – Harry podał im uzyskane informacje.

– W takim razie podjedziemy tam teraz.

– A wy co macie?

– Jakieś tropy do sprawdzenia – odpowiedziała Dagmara. – Ale trochę jakby zamazane.

Kruger przekręcił kluczyk w stacyjce, włączył wycieraczki. Samochód ruszył przed siebie. Gdy opuścili blokowisko, zagrzmiało, bardzo głośno.

Jakieś dziesięć minut później zatrzymali się pod adresem wskazanym przez proboszcza. Rzeczywiście, był to ubogi domek sklecony z drewna, otoczony lichym zmurszałym płotem. W jednym z jego okien zamiast szyby mieściła się dykta. Słowo „chatynka” brzmiało adekwatnie.

Chatka na kurzej łapce – pomyślała Dagmara, przypominając sobie bajkę, którą oglądała na projektorze miesiąc temu ze swoją siostrzenicą.

Przed budynkiem stała buda dla psa z dziurawym dachem. W środku leżał czarny kot, który spojrzał na nich obojętnym wzrokiem.

– Wejdźcie – rzucił Harry. – A ja się trochę rozejrzę. – Wyciągnął paczkę marlboro, zapalił i zniknął na tyłach domu.

Zapukali raz, drugi, trzeci. W końcu zamek w drzwiach zgrzytnął. W progu stanęła kobieta. Mniej więcej siedemdziesięcioletnia. Wysoka, krępa, o pochmurnym wyrazie twarzy. Miała na sobie kufajkę, spódnicę i kalosze. Wbiła w nich wzrok.

– Słucham – zapytała nieprzyjemnym głosem.

– Pani Kasperska?

– O co chodzi? – burknęła, spoglądając na nich nieufnie.

Uśmiechnęli się, próbując obłaskawić ją łagodnością. Chyba zadziało. Cmoknęła głośno i lekko się rozluźniła.

– Tak, to ja, zgadza się – powiedziała.

Kruger skinął jej uprzejmie głową. W tym momencie zagrzmiało. Oficer spojrzał w górę.

– Cholerna pogoda – rzucił.

– Bóg się gniewa – powiedziała Kasperska. – Tak mówiła moja matka, zanim umarła.

– Coś w tym jest – stwierdził Kruger. – Możemy wejść na chwilę? Jesteśmy z milicji.

Zmarszczyła czoło.

– W jakiej sprawie? – Jej głos znowu nabrał nieufności.

– Chcieliśmy pogadać z pani synem, Henrykiem.

– Nie ma go.

– A gdzie jest?

– Nie wiem.

– Nie wie pani?

– Zniknął wczoraj.

Kruger spojrzał na Dagmarę.

– Wczoraj?

– Tak.

– Kiedy?

– Wieczorem.

Kasperska patrzyła na nich nieporuszona. Dagmara chrząknęła.

– Proszę nas wpuścić do środka – powiedziała stanowczym głosem. – Musimy z panią porozmawiać. Nie ma sensu robić zbiegowiska.

Kasperska skrzywiła się, ale ostatecznie otworzyła szerzej drzwi.

– Proszę.

Przeszedłszy przez zagracony korytarz, znaleźli się w kuchni. To było dość obskurne pomieszczenie wyposażone w piec typu angielska, składowisko drewna, stół z ceratą, cztery obdarte krzesła, kilka szafek i nagryziony rdzą zlew.

Usiedli na trzeszczących krzesłach.

– Napijcie się czegoś?

Podziękowali. Kruger zaczął rozmowę. Był najlepszy w nawiązywaniu kontaktu ze starszymi osobami.

– Heniusz przyszedł wczoraj wieczorem do domu – oznajmiła Kasperska po kwadransie rozmowy na tematy niezwiązane ze sprawą. – Był niespokojny. „Co się stało?“, zapytałam, ale tylko pokręcił głową. Zamknął się w swoim pokoju. Wyszedł na kolację, burknął, że znowu będzie na niego. „Co będzie znowu na ciebie, gałganie?“ – zapytałam. Nie odpowiedział. Coś tam wymamrotał pod nosem. Nie zrozumiałam. „Coś znowu zmalował?“, zapytałam. Milczał jak grób. Późnym wieczorem usłyszeliśmy syreny milicyjne, oglądaliśmy wtedy telewizję. „A nie mówiłem?! – zawołał i zerwał się z fotela. Pobiegł do pokoju. Poszłam za nim, cała w nerwach. Pakował do sportowej torby swoje rzeczy. „Co się stało, co zrobiłeś?“ – pytałam. „Nic“ – odpowiedział. – „Ale, oczywiście, będzie na mnie“. Ucałował mnie i wybiegł z chaty. Trzasnął drzwiami i tyle go widziałam.

Kasperska spojrzała na nich.

– Co się stało? – zapytała. – Dlaczego wczoraj kręciła się tu milicja? Czego się Heniusz tak przestraszył?

– Nic pani nie wie? – odpowiedział pytaniem Kruger. – Nie słyszała pani, co się wczoraj stało w okolicy?

Dagmara uważnie przypatrywała się kobiecie.

– Nie. Nie wychodziłam z domu – dodała po chwili Kasperska. – A poza tym nie rozmawiam z ludźmi.

– Rozumiem. – Kruger otworzył zeszyt, wyciągnął długopis. – Pamięta pani, o której syn wrócił do domu... poruszony?

– Słabo.

– A czy mógłbym poprosić, żeby spróbowała sobie pani przypomnieć godzinę?

– A co się w ogóle stało?

– Zaraz do tego dojdziemy. Najpierw ustalmy fakty, dobrze?

– Bardzo proszę – łagodnie dodała Dagmara. – Współpraca z nami może tylko pomóc synowi. Nie chcemy mu zaszkodzić. Interesuje nas tylko prawda. Po to tu jesteśmy. Dobrze?

Kasperska poruszyła się na krześle, które zatrzeszczało głośno.

– Dobrze – burknęła. – Po ósmej było, parę minut.

– Świetnie. Wie pani skąd wrócił?

– Nie. Krzątałam się wokół domu, gdy wyszedł. Karmiłam kury.

– Jasne. O której wyszedł?

– Czy ja wiem? O szóstej? Jakoś po podwieczorku było. Pewnie przewietrzyć się. Zrobiłam tłuste jedzenie, takie jak lubi. A po tłustym zawsze wychodzi na spacer po okolicy.

– No tak. – Kruger zanotował parę słów. – Mówiła pani, że usłyszeliście syreny policyjne i zaraz po tym pan Henryk spakował się i ponownie opuścił mieszkanie. Czy dobrze zrozumiałem?

Dagmara spojrzała na kolegę. On to ma cierpliwość – pomyślała, po czym zaczęła wnikliwie rozglądać się po kuchni. Uwielbiała przeszukiwać mieszkania. W ogóle miała słabość do myszkowania, węszenia, podglądania. Od dziecka. Kiedy miała dwanaście lat, znalazła w szafce matki plik jej nagich fotek zrobiony po jakiejś próbie. Początkowo była zszokowana, ale potem stwierdziła, że warto wściubiać nos w nie swoje sprawy, bo zawsze można natrafić na ślad czyjegoś sekretu. W ten sposób przewidziała rozwód rodziców. Dwa lata później matka odeszła od ojca i związała się z kolegą z teatru.

– Dobrze pan zrozumiał – prychnęła Kasperska.

– Która to była godzina?

– Czy ja wiem?

– Proszę sobie przypomnieć.

Chwila namysłu.

– Jakies półtorej godziny później.

– Czyli pomiędzy dwudziestą pierwszą a dwudziestą drugą?

– No tak.

Nagle cała czwórka drgnęła i jak na komendę spojrzała w stronę okna. Na parapecie pojawił się kot. Pokazał zęby, odwrócił się do nich tyłem i położył się wygodnie. Za oknem trochę się rozpogodziło.

– Czy mój syn jest o coś podejrzany? – Kasperska przerwała przedłużającą się ciszę.

– Nie – odpowiedział Kruger.

– To o co chodzi? Nic nie rozumiem.

– Pani Gabrielo, z tego, co pani mówiła, wynika, że syn czasami coś... zmalował. „Coś znowu zmalował?” – takim sformułowaniem posłużyła się pani. Co miała pani na myśli?

Kasperska sapnęła.

– Takie tam głupoty.

– Jakie?

– Sąsiadki się skarżyły, że kradł im bieliznę.

– To była prawda?

– No była. Znalazłam u niego w pokoju majty cudzych bab.

– Już tego nie robi?

– Nie. Nawrzeszczałam na niego tak, że przeprosił mnie, sąsiadki i dał sobie z tym spokój.

– Kiedy to było?

– Jakiś rok temu.

– Dobrze. – Kruger uśmiechnął się jakby w podziękowaniu za odpowiedź. – Co jeszcze? – nie dawał za wygraną.

– Co jeszcze zmalował?

Kasperska wbiła wzrok w miskę z wodą ustawioną przy piecu.

– Podobno w Żurawińcu zaczepił jedną dziewczynę i pokazał jej... – Kasperska zaczerwieniła się – ptaka. Ktoś mi doniósł, chyba Całkiewiczowa z bloków na Łużyckiej. Powiedziała, że jak czegoś nie zrobię z Heniem, to może mu się krzywda stać. Zdzieliłam go przez łeb i nikt się więcej nie skarżył.

– Dawno to było?

– Czy ja wiem? Jakies dwa, trzy lata temu.

Kasperska zamyśliła się i spojrzała w stronę okna. Kot właśnie pieczołowicie

czyścił swoje futerko.

Kruger zerknął na Dagmarę i pokazał jej palcem głąb mieszkania.

– Skorzystam z łazienki, można? – odezwała się milicjantka.

– Prosto i na prawo.

Dagmara wyszła na korytarz.

– Niezbyt grzeczny ten pani syn – zagadnął Kruger, uśmiechając się przy tym przyjaźnie.

– Ma pan dzieci?

– Mam.

– No to pan wie chyba, że czasami strzela im do głowy coś głupiego?

– Oczywiście, ale pan Henryk ma trzydzieści lat.

– To takie duże dziecko. Trochę głupie, ale nikomu krzywdy by nie zrobiło. Kradzież majtek? Wielkie mi halo, to bzdura jest. Nigdy nikogo nie uderzył. W żadne bójki się nie wdawał. Niczego poważnego nie ukradł.

Oficer pokiwał rozumiejąco głową.

– W młodości musiał być z niego niezły urwis? – odezwał się po chwili.

– Jak każdy chłopak.

– Niczego nie zmalował ekstra?

– A dlaczego pan tak wypytuje?

Kruger spojrzał poważnym wzrokiem na Kasperską.

– Będę z panią szczery.

Kobieta drgnęła i wyprostowała się na krześle.

– Chcę nabrać pewności, że pan Henryk to dobry facet, który ma na koncie tylko takie niewinne rzeczy, jak kradzież bielizny, obnażanie się czy zaczepki dziewczyn. Jeśli mi pani zaufa i wyjawi jego – Kruger chrząknął, czuł się dziwnie, mówiąc te wszystkie rzeczy – jego niewinne grzeszki, uznam, że nie ma on nic wspólnego ze sprawą, nad którą pracujemy, i zostawimy go w spokoju. Dobrze?

– Co to za sprawa?

– Ktoś wczoraj nieopodal w lasku zabił dwunastoletnią dziewczynkę.

Kasperska otworzyła szeroko oczy.

– Chyba nie myślicie, że to Heniuś?

– No cóż, musimy to sprawdzić.

– Ale przecież on by muchy...

Kruger jej przerwał.

– Spokojnie – powiedział z naciskiem. – O nic nie podejrzewam pani syna. Chcę tylko wiedzieć, czy jeszcze miał jakieś kłopoty, czy w coś się wplątał. Z tego, co pani mówi, nie jest to człowiek zdolny do złych czynów. Wierzę w to. Ale muszę wiedzieć o wszystkim, co zrobił, a co ma związek z kobietami, dziewczynami, z... seksem.

Kasperska wstała, podeszła do zlewu, nalała sobie do szklanki wody i wypła ją duszkiem. Westchnęła, po czym usiadła z powrotem naprzeciwko porucznika. Być może zastanawiała się, czy się otworzyć, czy zamilknąć.

– Byłoby dobrze, gdybym o wszystkim dowiedział się od pani, a nie od obcych ludzi.

Oficer spoglądał na nią uważnie. Liczył na to, że nie jest zbyt obyta w kwestiach prawnych i ostatecznie zdecyduje się mówić.

– W młodości był ministrantem – odezwała się Kasperska po długim milczeniu. – Gdy miał trzynaście lat, wyrzucili go stamtąd. Podobno po mszy pokazywał innym ministrantom... ptaka i prosił o majtki ich sióstr. Złałam go wtedy strasznie. Kablem. Nigdy potem to się nie powtórzyło, panie milicjancie. Nigdy! Po prostu z chłopami tak jest, że nie potrafią utrzymać interesu w spodniach. Z moim mężem też tak było. Co ja się, panie, z nim nie naużerałam! – Ostatnie zdania wypowiadała coraz głośniej.

Kruger chłonał jej słowa.

– To wszystko, panie milicjancie. Pod bogiem, to wszystko.

– Rozumiem.

Zamilkli. Oficer zerknął do zeszytu, pstryknął długopisem.

– Czy pan Henryk ma jakąś dziewczynę?

– A ma taką jedną. Czasami do niej jeździ. Zośka ma na imię. A nazwisko? Na „l” chyba. Nie, nie, Wleklak.

– Gdzie mieszka?

– W Mieściskach.

– Gdzie to jest?

– Niedaleko Gaju Wielkiego.

– Pamięta pani jej adres?

– Tak, jest łatwy do zapamiętania. Szczęśliwa 5. Ale nie wiem, czy jest z nią szczęśliwy. Czasami skarżył się na nią, że za dużo mówi, że wszędzie jej pełno. Że jest nią zmęczony.

Kruger zanotował adres. W progu kuchni, za plecami Kasperskiej, stanęła Dagmara. W ręku trzymała coś kolorowego. Oficer spojrzał na nią. Zmarszczył brwi. Co ty tam znalazłaś, Zbóju? – zapytał bezgłośnie.

To były czerwone majtki w niebieskie kwiatki. Przełknął głośno ślinę i spojrzał na Kasperską. A więc to jednak jej syn – pomyślał rozczarowany. Zrobiło mu się żal Kasperskiej.

– Wie pani, gdzie syn mógł pojechać? – zapytał. – U kogo się zatrzymać?

– Może u Zośki właśnie? Często do niej jeździ.

Kruger skinął głową i przeniósł wzrok na koleżankę. Dał znak, że już kończy przesłuchanie. Kasperska odwróciła się w jej stronę, więc Dagmara schowała ręce za siebie i uśmiechnęła się krzywo. Oficer wstał.

– Pójdziemy już, dziękuję za rozmowę.

– On jest niewinny – oznajmiła Kasperska, apatycznie podnosząc się z krzesła.

Kruger przemilczał to. W jej oczach dostrzegł narastający smutek.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Dagmara pokazała mu majtki, które znalazła w jednym pokoju. Wizyta w toalecie była, oczywiście, pretekstem, żeby rozejrzeć się po mieszkaniu. Łatwo udało się namierzyć pokój syna Kasperskiej. Zagracona nora, pełna brudnych gaci i skarpetek, butelek po jabolach oraz świerszczyków.

Kruger poczuł, że robi mu się gorąco. Taką samą bieliznę miała na sobie

Martynka w dniu śmierci!

– To chyba jednak nasz króliczek – rzuciła Dagmara. – Ten cały Heniuś. Pod poduszką to znalazłam.

– Świetna robota – szepnął Kruger.

– Wyciągnąłeś z niej, gdzie może być?

– Mieściska, tam ma dziewczynę.

– No to jedziemy.

– Najpierw odwiedzimy Hemerskich, żeby upewnić się, że to bielizna Martynki.

Dagmara pokręciła głową.

– Szkoda czasu – zaproponowała. – Poza tym na majtkach jest wyszyta litera „M”.

Popatrz.

Rzeczywiście, zieloną nitką ktoś wyszył na nich inicjał imienia.

– No dobrze, jedziemy do Mieścisk.

– A gdzie jest Harry?

Ktoś chrząknął głośno.

– Tutaj jestem.

Spojrzeli w stronę furtki, przy której stał chorąży i palił papierosa.

– Mam piekielnie interesującą informację – odezwał się, szczerząc zęby.

Dwadzieścia minut później czerwona skoda Krugera opuściła Poznań. Rozpogodziło się, zza chmur wyszło słońce. W oddali nad polami pojawiła się tęcza.

Na wysokości Baranowa oficer przyspieszył. Ominął furmankę, kilka samochodów i wielką dziurę w asfalcie. W pewnym momencie zerknął na Dagmarę.

– Daj mi ćmika – poprosił, jednocześnie wyłączając radio. Eter wypełniały jakieś propagandowe bzdury. „10 Plenum Komitetu Centralnego zakończyło obrady”, „Czarny dokument w historii stosunków polsko-amerykańskich”, „Rozmowy ZSRR – USA w Genewie”. Głównie jednak skupiano się na krytykowaniu Reagana, amerykańskiego prezydenta, który „w skandaliczny sposób wtrąca się w wewnętrzne sprawy naszego kraju”.

Po chwili cała trójka zaciągała się w milczeniu papierosowym dymem. Ich myśli krążyły wokół Henryka Kasperskiego. Jeszcze pół godziny temu facet wydawał im się średnio podejrzaną osobą, głównie ze względu na swój popęd, którego nie umiał poskromić od wieku dorastania. „Nieszczęśnik seksualny, który przegrywa w nierównej walce z własnymi demonami; jeden z wielu” – tak go skwitował Kruger, drapiąc się po wąsach. Nic specjalnego, w swojej pracy często na takich natrafiali. Prawdę mówiąc, nie bardzo pasował im do profilu zabójcy i nekrofila. Mieli poważne wątpliwości. Tymczasem teraz, po odkryciu przez Dagmarę bielizny ofiary w jego pokoju i po rewelacji Harry’ego, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Kasperski mógł być sprawcą morderstwa!

Po piętnastu minutach znaleźli się w Gaju Wielkim. Kruger zwolnił, włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo.

– Zamknij okno – powiedziała Dagmara. Ich nozdrza zaatakował bowiem odór gnoju dochodzący z pobliskiego PGR-u.

Porucznik zgasił dopalonego papierosa w popielniczce i spełnił prośbę koleżanki.

– No dobrze – odezwał się. – Wszystko wskazuje na to, że Kasperski to nasz klient. Po pierwsze, majtki dziewczynki wiążą go bezpośrednio z miejscem zabójstwa.

– Z samym zabójstwem – poprawiła go Dagmara. – Przesadzasz z tą ostrożnością we wnioskowaniu. Kutas zabił dziewczynkę, wyciął ją i zabrał majtki. Sprawa jest prosta.

Kruger przemilczał to. Zabębnił palcami w kierownicę i podjął temat:

– Po drugie, mamy też zabójstwo nastolatki w Żurawińcu dziesięć lat temu. Niewyjaśnione.

– Tak – przytaknął chorąży. – Chłopcy dali dupy i nie wykryli sprawcy. Ale wśród podejrzanych był nasz Henio, znany i mało lubiany ekshibicjonista. Z braku dowodów zostawiono go w spokoju. Dziewczyna miała siedemnaście lat. Została zgwałcona i uduszona. Z miejsca zbrodni skradziono majtki.

– Wtedy mu się udało – syknęła Dagmara. – Ale teraz mu się nie upiecze, już ja się o to postaram.

W jednej chwili przed jej oczami stanęła roztrzęsiona Zuzia. „Zgwałcił mnie, on mnie zgwałcił!” – to płaczliwe wyznanie przyjaciółki do dzisiaj ją poruszało. Mimo że minęło już dwadzieścia lat od tamtego zdarzenia.

Zacisnęła szczęki.

– Nie wzięłam broni – powiedziała.

– Nie będzie ci potrzebna – oznajmił Kruger.

Samochód wjechał na brukowaną drogę, co poczuli w żołądkach.

– Jeszcze jedno – odezwał się Harry. – Ktoś podobno widział, jak nastoletni Henio pieprzył owcę w jakimś okolicznym gospodarstwie.

– Bydlak – prychnęła Dagmara, kręcąc głową. – Wychodzi na to, że mamusia niewiele wie o swoim syneczku. – Zamyśliła się. – Matki czasami są takie ślepe,

takie głupie – rzuciła.

Kruger przypomniał sobie zasmuconą twarz Kasperskiej i westchnął. Zerknął na drogę. Właśnie mijali znak z napisem „Grzebienisko”. Po prawej stronie na łące dostrzegł stado krów. Jakiś chłopczyk kręcił się wokół nich, machając kijkiem.

– Zastanawiam się, co zrobił z odciętymi fragmentami ciała Martynki – powiedział. – Gdzie je schował?

– Ja się zastanawiam, co on zamierza z nimi zrobić – prychnęła Dagmara.

– Pewnie to, co sierżant Bertrand.

– A co to za króliczek, ten Bertrand? – zapytał Harry.

– Facet z dziewiętnastego wieku. Wykopywał ludzkie zwłoki, rozćwiartowywał je i masturbował się przy nich.

– Żartujesz!

– Mówię poważnie.

Harry cmoknął.

– Co kraj, to obyczaj.

– Morał dla nas z tamtego przypadku jest taki, że facet robił to niemal na oczach ludzi – mówił porucznik. – Siła jego zboczonego popędu była tak duża, że nie bardzo przejmował się obecnością innych. Autor opracowania podkreślił to wyraźnie. Być może mamy więc do czynienia z klientem, który nie dba o ostrożność, z klientem, który jest na wyciągnięcie ręki.

– Krótko mówiąc – wtrąciła się Dagmara – nie szukamy geniusza zbrodni, tylko...

– Tylko dziczka – podsunął Harry.

– Właśnie.

Skręcili w lewo.

– Zaraz będziemy – poinformował Kruger i nawiązał do swojej poprzedniej kwestii: – Musimy zrobić dokładne przeszukanie domu i działki Kasperskich. Jeśli wyciął, to musiał je gdzieś ukryć, żeby ich użyć. Zakładam, że w celach seksualnych.

Wjechali do Mieścisk, zaraz potem skręcili w drogę gruntową, kierując się w stronę linii lasu. Minęli dwa gospodarstwa, ignorując ujadającą sforę psów, która nagle wybiegła na drogę.

– To gdzieś tutaj – powiedział Kruger, omiatając wzrokiem okolicę.

Po prawej stronie było zaorane czarne pole, nad którym krążyła chmara skrzeczących gawronów, po lewej czerwonozłoty las. Gdy dostrzegł na jego tle szary budynek ze spadzistym dachem, pokiwał głową i ściągnął nogę z gazu. Po chwili wysiedli z samochodu, wciągając z lubością powietrze pachnące żywicą.

Podeszli do niewielkiego domku, jakich pełno było w okolicznych wioskach. Ganek, ogród, nadpróchniały płot. Przystanęli pod wierzbą i zlustrowali dokładnie budynek. Z komina unosił się dym. Ktoś był w środku. Może również Kasperski? Wymienili się spojrzeniami.

– Zbój, ty zapukaj – zaordynował Kruger. – Harry, zabezpiecz chatę z tyłu, ja stanę z boku.

– OK.

– Dobra.

Dagmara spojrzała na kolegów, którzy uśmiechnęli się do niej. Wciągnęła powietrze do płuc, pokazała im wyprostowany kciuk i podeszła do drzwi. Zapukała. Spokojnie, acz stanowczo. Serce przyspieszyło. Lęk mieszał się z podnieceniem. Idę po ciebie, króliczku – mówiła do siebie bezgłośnie.

Po chwili usłyszała kroki. Ktoś otworzył skrzypiące drzwi. W progu stanęła kobieta. Około czterdziestki, trochę zaniedbana. Tłuste, długie włosy, okulary, lekki zez. Była ubrana w bordowy sweter i wyciągnięte spodnie dresowe. Na nogach miała laczki. Wbiła nieufny wzrok w Dagmarę.

– Pani do kogo?

– Zofia Wleklak?

– Tak. O co chodzi? Nie znam pani.

– Przepraszam, że nachodzę – zaczęła Dagmara, próbując dyskretnie zajrzeć w głąb mieszkania. – Chciałam o coś zapytać. To ważne. Nazywam się Dagmara Madej i jestem z Komendy Miejskiej w Poznaniu.

Kobieta zmarszczyła czoło.

– Czyli, że z milicji?

– Tak.

– Nie rozumiem. O co chce mnie pani zapytać? – Wleklak potrząsnęła głową. – Ja nic nie wiem – dodała pośpiesznie.

Z wnętrza domu rozległo się wołanie. Porucznik nadstawiła uszu, to był męski głos.

– Czy zastałam u pani...?

Wleklak obróciła się i krzyknęła za siebie:

– Zaraz, Heniu, rozmawiam teraz!

Dagmara przełknęła ślinę. Mamy go! – pomyślała i odruchowo sięgnęła do kabury. Gdy przypomniała sobie, że nie ma ze sobą broni, poczuła niepokój. Poruszyła się nerwowo. Tylko spokojnie, chłopcy są tuż obok. Do jej uszu doszło szuranie z korytarza.

– A z kim?

– Z milicją.

Obie kobiety usłyszały zduszony okrzyk. Po chwili rozległ się jakiś brzęk. Potem drugi. Coś upadło na ziemię z łoskotem. Wleklak obejrzała się za siebie.

– Co ty robisz? Heniek? – zawołała i weszła do domu. – Gdzie ty...?!

Dagmara zagryzła usta i ruszyła za nią. Gdy znalazła się na korytarzu, zobaczyła mężczyznę wyskakującego przez okno.

– Stój – wrzasnęła. – Zatrzymaj się!

Podbiegła do okna, potrącając krzesło i omijając rozbity wazon. Wyjrzała na zewnątrz. W pozarastanym zielskim ogrodzie wśród niewysokich drzewek ujrzała bardzo filmową scenę. Harry, któremu wiatr rozwiewał czarne włosy, stał w rozkroku i celował w przerażonego, przypominającego szczurka mężczyznę.

– Podnieś rączki, przyjacielu – rzucił Harry. Spojrzał na Dagmarę i mrugnął do niej okiem. – Zbóju, skuj króliczka.

Wleklak przyglądała się zajściu w zdumieniu. Ręką zasłoniła usta. Dagmara

skinęła głową i wyszła przez okno do ogrodu. Z prawej strony nadchodził Kruger, trzymający w rękach broń.

– Wszystko gra? – zawołał.

– Wsjo charaszo – mruknął chorąży.

Dagmara podeszła do trzęsącego się ze strachu Kasperskiego. Sięgnęła po kajdanki.

– Dawaj łapy.

Mężczyzna spojrzał na nią i załkał.

– To nie ja!

– Co nie ja?

– To nie ja ją zabiłem – odparł rozedrganym głosem. – Ona już była zabita.

– Nie pierdol – warknęła Dagmara. – Dawaj łapska i zamknij dziób.

– Rób, co pani porucznik każe – warknął Harry, wymachując pistoletem.

Kasperski zwiesił głowę i wyciągnął przed siebie ręce, które Dagmara zręcznie skuła.

– Heniek, coś ty zrobił? – krzyknęła Wleklak, która nagle ocknęła się z odrętwienia.

Cała czwórka wbiła w nią wzrok. Kobieta złapała się za głowę, kucnęła i zaczęła spazmatycznie szlochać.

Po przyjeździe do komendy Kruger natychmiast pomaszerował do gabinetu naczelnika, żeby zameldować o zatrzymaniu Kasperskiego. Major Bielski podniósł głowę znad dokumentów i dotknął oprawek okularów.

– Niech Harry go przesłucha po swojemu – polecił.

Porucznik skrzywił się lekko, ale nie zaproponował. Nie lubił przemocowych chwytów kolegi, wiedział jednak, że czasami dobrze jest z nich skorzystać. Niestety, ta robota nie zawsze może być czysta.

– Tak jest, szefie – powiedział i ruszył w stronę drzwi.

– Freddy, czy to jest naprawdę nasz klient? – usłyszał, gdy dotknął klamki. Odwrócił się i wzruszył ramionami.

– Pracujemy nad tym.

– To pracujcie.

Pół godziny później Kasperskiego przyprowadzono do pokoju Harry'ego. Chorąży, ubrany w szelki operacyjne, siedział za biurkiem i bawił się papierosem. Spojrzał na zatrzymanego posępnym wzrokiem.

– Siadaj – rzucił oschle i wskazał ręką krzesło stojące naprzeciwko biurka.

Kasperski zerknął przestraszony na milicjanta i posłusznie spełnił polecenie. Harry wyciągnął z szafki biurka butelkę wódki, nalał setkę i wziął haust. Wytarł usta, schował szkło i wstał. Z szuflady wydobyl kopertę i wyjął z niej kilka fotografii. Popatrzył na nie i pokiwał głową z politowaniem. Podszedł do Kasperskiego i podał mu jedną z nich.

– Przypatrz się uważnie.

Ten chwycił fotografię drżącymi rękami i po chwili rozszerzył przerażony oczy. Na czole pojawiły się kropelki potu.

– Pięć lat temu – odezwał się Harry – zatrzymaliśmy pewnego mężczyznę. Za serię gwałtów na nastolatkach. Dość szybko udało się go zatrzymać. Został skazany na piętnaście lat. Niestety, kara więzienia została zamieniona na... karę śmierci. Na czapę po prostu.

Harry urwał i wbił ponury wzrok w Kasperskiego, który zaczął pod jego naporem dygotać.

– Został zabity po paru dniach w celi. Przez któregoś ze współosadzonych. Nie wykryliśmy przez którego. Śledztwo umorzono. Prawdę mówiąc, uznaliśmy – nieoficjalnie, rzecz jasna – że dobrze się stało. Jednego knura mniej. Tu muszę dodać, że słowo „zabity” to delikatne słowo, zbyt delikatne. Prawdę mówiąc, klienta zarżnięto. A wcześniej zerżnięto...

Chorąży podszedł do mężczyzny i wziął od niego zdjęcie. Popatrzył na nie i cmoknął przeciągle. Ten gest podpatrzył kiedyś u znajomego esbeka. Spodobał mu się i czasami go wykorzystywał; dobrze działał podczas przesłuchań.

– Dokumentację brutalnego gwałtu na gwałtocielu mam w tej kopercie – kontynuował. – Oszczędzę ci tego widoku, w zupełności wystarczy, że zapoznałeś się z delikatniejszą fotą. Możesz sobie teraz wyobrazić, jak to przebiegało. – Poklepał Kasperskiego po głowie i potargał go za kark. Po czym podszedł do biurka, wyjął z kabury pistolet i położył go głośno na blacie.

Kasperski spojrział na pistolet i przełknął ślinę.

– To nieeee ja... – wymamrotał.

– Zamknij dziób! – warknął chorąży. Sięgnął po krzesło stojące w rogu pokoju, ustawił je naprzeciwko Kasperskiego i usiadł na nim. Oparł się łokciami o poręcz i nachylił do skulonego mężczyzny.

– Jeśli nie będziesz, kurwo, współpracował, jeśli nie powiesz prawdy, to zrobię wszystko, żebyś skończył tak samo, jak ten klient ze zdjęć. Rozumiesz mnie?

Kasperski patrzył na swoje buty i kiwał głową jak automat.

– Najpierw rozerwą ci dupsko, a potem poderzną gardło. – Harry poczuł, że

zaczyna się nakręcać. Wiedział, że autentyzm działa na przesłuchiwanym. Jakiś czas temu zasmakował w tego rodzaju teatrzykach. Zazwyczaj okazywały się efektywne, choć raczej w przypadku prymitywnych osobników.

– Jeśli powiesz, co i jak, załatwię ci odpowiednią celę i nic złego ci się nie stanie w pierdłu. Rozumiesz mnie?

– Tak – wystękał Kasperski.

– Głośno i wyraźnie, kurwa jego mać!

– Tak, rozumiem.

– Dobrze. – Harry znowu poklepał go po spoconej głowie. – To zaczynamy, Kasperski, od początku.

Zamilkł na chwilę.

– Od zabójstwa Agnieszki przed dziesięciu laty w Żurawińcu, obok którego mieszkasz, skurczybyku – rzucił, przyglądając się uważnie Kasperskiemu.

Kasperski gwałtownie się wyprostował i wbił zdumione oczy w chorążego. Gdy otworzył usta, Harry wyszczerzył zęby. Bingo – ucieszył się w myślach. Uderzenie zniecka czasami skutkowało. To była stara, prosta, ale ciągle skuteczna szkoła.

– Mów, jak to było – powiedział, jakby zagadywał o oczywistość.

Kasperski zamknął oczy i zaczął płakać jak dziecko.

– Nie becz, tylko spowiadaj się, póki mam cierpliwość.

Mężczyzna wytarł oczy, poruszył się na krześle i splótł dłonie.

– Skąd pan o tym wie? – szepnął. – Przecież to było tak dawno temu...

– Co się odwlecze, to nie uciecze, Kasperski – burknął Harry i wysupłał z kieszeni dzinsów pudełko papierosów. Zapalił i zaciągnął się. – Koledzy się nie przyłożyli do śledztwa – powiedział i podszedł do biurka. Sięgnął po zakrętkę od słoiczka. – Ale ja jestem inny – dodał, siadając z powrotem na krześle. – Musisz o tym wiedzieć. Wywęszę wszystko. Wszystko.

Kasperski znowu załkał, położył głowę na stole i zakrył ją rękoma.

– Ja nie chciałem tego zrobić, naprawdę. To było silniejsze ode mnie – wybełkotał.

– Podnieś się i mów, jak było.

Mężczyzna wyprostował się. Harry zagryzł usta, widząc jego bladą, spoconą twarz. Sięgnął po nakrętkę i zdusił w niej niedopałek.

– Pamiętam, że to był piątek. Pokłóciłem się z matką. Ktoś jej naskarżył, że zaczepiałem jakieś dziewczyny na łące. Grzmotnęła mnie parę razy po łbie. Powiedziała, że jestem taki sam skurwysyn, jak ojciec. Odpyskowałem jej i poszedłem do pokoju. Wyciągnąłem z szafy piwo. Gdy się napiłem, poczułem, że mnie roznosi. Zacząłem wyobrażać sobie taką jedną dziewczynę z bloków, co ma chyba największe cycki na Naramowicach. Stał mi. Nie mogłem wytrzymać. Zwaliłem sobie gruchę, ale zaraz potem znowu mi stanął. Nie wiedziałem, co z tym zrobić. W końcu poszedłem na łąkę przy Żurawińcu. Pomyślałem, że jak spotkam jakąś dziewczynę, to zapytam, czy nie chciałaby ze mną się...

Urwał i spojrzał spłoszony na Harry'ego, który słuchał go w wielkim skupieniu.

– Mów, mów.

– ...czy nie chciałaby się ze mną poru... – chrząknął – popieprzyć. Musiałem to zrobić, musiałem. Nie mogłem już wytrzymać.

– Mogłeś zerznąć owcę, Kasperski, jak to wcześniej robiłeś – rzucił Harry, starając się wyciszyć ton pogardy w swoim głosie.

Kasperski się zarumienił.

– O tym pan też wie? – zapytał zdziwiony.

– Ja wiem o wszystkim, chłopie.

– Wtedy już pan Czesio, nasz sąsiad, nie miał owiec.

– No tak.

– Ale poza tym ja chciałem w końcu zobaczyć, jak to jest z prawdziwą dziewczyną. Koledzy mi opowiadali, że to jest zajebiste. Rozumie pan?

– Tak.

Kasperski westchnął.

– Więc poszedłem na tę łąkę. W oddali zobaczyłem dziewczynę. Miała długie jasne włosy, krótką spódniczkę. Jak zobaczyłem jej gołe nogi, to coś się we mnie...

zatrzęsło. Poczułem ucisk w gardle... i nie tylko. Gdy zniknęła w lasku, pobiegłem za nią. Dogoniłem ją. „Czego chcesz?” – zapytała, krzywiąc się, jakbym był jakimś śmierdzielem. Nie wiedziałem, jak to powiedzieć. Zapomniałem języka w gębie. Stałem jak głupek i gapiłem się na nią. Miała na sobie koszulkę z krótkim rękawkiem, przez którą prześwitywały jej cycki. Też miała duże. Podnieciłem się strasznie.

Harry nie spuszczał z niego wzroku. Miał wrażenie, że Kasperski w czasie opowiadania zaczyna odczuwać podniecenie. Trochę liczył na to – dzięki temu mógłby wyciągnąć jak najwięcej szczegółów i w efekcie dobrze udokumentować zabójstwo, które zostało umorzone przez tamtych jełopów. Może i nagroda by wpadła?

Kasperski mówił dalej:

– „Pokaż mi cycki” – powiedziałem. „Spierdalaj, idioto” – odpowiedziała i zaczęła iść dalej. „Nie leż za mną, bo powiem swojemu chłopakowi, a on ci wtedy pokaże” – krzyknęła. To było tak nieprzyjemne, że poczułem złość. Tak jakby mnie sprąła po pysku. Rzuciłem się za nią. Przewróciłem ją i...

Cisza, westchnienie. Kasperski najwyraźniej się opamiętał. Czyżby podniecenie zostało powstrzymane przez wyrzuty sumienia? Być może. Harry przesłuchiwał kiedyś gwałciciela i zarazem zabójcę trzech studentek, pewnego podtatusiałego nauczyciela, który zaklinał się, że po każdym czynie miał wyrzuty sumienia; i chyba nie kłamał. Sprawiał wrażenie człowieka, który cierpi.

Kasperski zadrżał, przymykając oczy.

– Ja nie chciałem tego zrobić, naprawdę – szepnął. – Coś we mnie wstąpiło. Oglądałem kiedyś horror, tam diabeł wstępował w ludzi i oni...

– Nie pierdol, Kasperski, tylko mów, jak było.

Westchnienie.

– Gdy leżałem na niej, było mi cudownie. Koszulka jej się zadarła, zobaczyłem jej piękne cycki. Poczułem, że zaraz wybuchnę. Zacząłem ją dusić. Gdy przestała się ruszać, zaciągnąłem ją w krzaki, rozebrałem i... zrobiłem, co chciałem. A potem sobie poszedłem.

– Nie zabrałeś niczego z miejsca zabójstwa.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

Harry wyszczerzył zęby.

– A jej majtki? – zapytał, zaciekawiony, czy znowu trafił.

Trafił.

– A tak, zabrałem jej majtki. – Kasperski spojrzał z uznaniem na milicjanta. – Pan rzeczywiście wszystko wie.

– Przecież bym cię nie skłamał, chłopie.

Kasperski pokiwał głową.

– Masz jeszcze te majtki?

– Nie.

– A co się z nimi stało?

– Matka je wyrzuciła.

– Wiedziała o tym, co zrobiłeś?

– Chyba nie. Ja jej nic nie powiedziałem.

Kasperski zamyślił się i posmutniał. Wbił wzrok w buty.

– Po wszystkim nie mogłem dojść do siebie – odezwał się w końcu. – Ta dziewczyna ciągle mi się śniła. W nocy się pociłem. Coś mnie ścisnęło w piersiach. Myślałem, że zwariuję. Raz to nawet chciałem połknąć jakieś tabletki, ale przestraszyłem się śmierci i zrezygnowałem. Zacząłem dużo pić. Wiedziałem, że zrobiłem źle. To mi nie dawało spokoju. Potem mi przeszło. Ale ona do dzisiaj czasami mi się śni. Śmieje się wtedy, chichocze... Pokazuje mnie palcem i mówi „Wstydz się, wstydz”. Od tamtej pory nigdy nikogo nie skrzywdziłem, przysięgam.

Harry pokiwał głową.

– Bardzo ładnie, Heniu – powiedział. – Jestem zadowolony z twojej opowieści. Masz u mnie dużego plusika. Chcesz zapalić ćmika.

– Bardzo.

– To zapalisz, w nagrodę za dobre sprawowanie.

Chorąży wyciągnął zmiętą paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Poczęstował przesłuchiwanego, podał mu zakrętkę, żeby miał gdzie strzepywać popiół, a potem patrzył uważnie, jak klient nerwowo zaciąga się raz za razem. Gdy Kasperski skończył palić, Harry chrząknął.

– A teraz idziemy dalej – oznajmił. – Zabójstwo Martynki.

– Jakiej Martynki?

– Tak miała na imię dziewczynka, którą zgwałciłeś i zabiłeś w ostatni piątek.

Kasperski zerwał się z krzesła jak oparzony.

– To nie ja, przysięgam, to nie ja!

Harry wstał, zbliżył się do Kasperskiego i warknął:

– Siad.

Kasperski posłusznie usiadł. Harry’emu ta reakcja dała do myślenia. Wydała mu się całkiem naturalna. Facet jest za głupi na aktorzenie. Harry podrapał się po lekko zarośniętym policzku, podszedł do biurka i z szuflady wyciągnął worek foliowy z majtkami Martynki. Podsunął je Kasperskiemu. Ten chciał je chwycić, ale Harry zabrał rękę.

– Poznajesz? A spróbuj skłamać, to ci zrobię „Azję Tuhajbejowicza”, kurwa jego mać.

Kasperski zmarszczył czoło, nie rozumiejąc, o czym mowa.

– Nikt ci nigdy nie zrobił „Azji?”

– Nie.

– Jeśli nie będziesz mówił prawdy, to się przekonasz, co to znaczy. Pokazywałem ci zdjęcie. Taki jest efekt tego... chwytu.

Kasperski zbladł i zaczął drżeć.

– Ale naprawdę ja jej nic nie zrobiłem!

– To skąd masz jej majtki?

– Znalazłem je w krzakach.

Harry usiadł i pokręcił głową.

– Nie wierzę ci.

– Ale ja przysięgam!

– W jakich krzakach je znalazłeś?

– Obok...

Kasperski zaciął się.

– Obok czego?

– Obok niej. Obok tej dziewczynki.

– No to mówię, że ją zabiłeś, a potem, stary zboczuchu, zabrałeś jej majtki, żeby sobie walić gruchę przed snem.

– Nie! Panie oficerze, gdy tamtędy przechodziłem, ona już tam leżała. Podeszedłem do niej. Zobaczyłem, że ktoś jej wyciął... – urwał – ...cycki i cipkę. Porzygałem się. To był straszny widok. Odszedłem trochę dalej. Do innych krzaków. Tam były jej ubrania. Przeszukałem je. Nie wiem czemu, nie umiem tego wytłumaczyć. Może z ciekawości? A majtki – westchnął i zwiesił głowę na piersi jak przyłapany uczeń – zabrałem ze sobą.

– Po co?

– No żeby...

– Dobra, nie kończ.

Harry zamyślił się. Patrzył na Kasperskiego, który pocierał teraz zaczerwienione i lekko załzawione oczy, i coraz mocniej wątpił w jego winę. A dokładnie mówiąc w to, że właśnie ten facecik zbeczczył ciało dziewczynki. Wbrew pozorom zabójstwo było czymś łatwiejszym, normalniejszym od okaleczenia zwłok. Mord to banał, coś, co się zdarza na okrągło. Szczególnie w afekcie, w gniewie czy na seksualnym głodzie. Każdy może zabić. Harry nie zdziwiłby się za mocno, gdy to jednak Kasperski zamordował Martynkę, ale byłby zdumiony, gdy okazało się, że to właśnie on wyciął fragmenty jej ciała.

To nie on – mówił do siebie. – To zwyczajna pocziwina, która nie radzi sobie z własnym libido. Zabił raz, niewykluczone, że mógłby zabić ponownie, ale to nie jest nekrofil, to nie jest nasz klient. Trzeba szukać dalej.

– No dobra – odezwał się, nabierając pewności, że Kasperski nie ma nic wspólnego z tą sprawą i rzeczywiście zupełnie przypadkowo napatoczył się na ciało nieszczęsnej dziewczynki. – O której znalazłeś zwłoki?

– Nie wiem, nie noszę zegarka.

– Twoja matka mówiła, że wyszedłeś z domu około osiemnastej. To się zgadza?

– Raczej tak.

– Raczej?

– No mogło tak być.

Jeśli więc to nie on – myślał Harry. – To znaczy, że zabójstwa i wycięcia dokonano między... – chwila namysłu – między 16:45 a 18:00, mniej więcej. Powtórzywszy sobie w duchu ten przedział czasowy, momentalnie stracił zainteresowanie dalszym przesłuchaniem. Tu jego rola się skończyła. Miał tylko wykryć, czy złapali odpowiedniego króliczka, i zrobił to. Reszta formalności należy do Freddy'ego, urodzonego dochodzeniowca, miłośnika dokumentów.

Harry przeciągnął się, uprzytamniając sobie, że jest bardzo zmęczony. Poczuł ochotę na drzemkę. Wstał. Zerknął w stronę drzwi, za którym usłyszał szmery, i uśmiechnął się lekko. Wyobraził sobie minę Bielskiego, kiedy ten się dowie, że jego ukochane dziecko, czyli Wydział Zabójstw, wykrył zabójstwo sprzed dziesięciu lat. Może już wie i właśnie melduje z zadowoleniem komendantowi o sukcesie „jego drużyny”?

Nagle przypomniał sobie rozmowę z proboszczem. Jak się nazywał ksiądz, który uczył Martynki religii? Nie mógł sobie przypomnieć jego imienia.

– Widziałeś jakiegoś księdza w pobliżu?

– Nie.

Klepnął po policzku Kasperskiego jak nauczyciel niesfornego, ale sympatycznego klasowego łobuziaka.

– Heniusz, dziękuję ci za miłą rozmowę – powiedział. – Przejmie cię teraz kolega i porozmawia z tobą na papier.

Kasperski skinął głową, po czym dźwignął się z krzesła. Chorąży podał mu dłoń

i zacisnął ją mocno.

– Spróbuj tylko się wycofać z tamtego zabójstwa, to przyjdę do ciebie i... – pogroził mu palcem. – Rozumiesz mnie?

– Rozumiem, rozumiem – zapewnił pospiesznie Kasperski, wycierając spocone czoło. – Ale o Martynkę mnie nie oskarżycie, co nie? – zaniepokoił się.

– Nic się nie bój.

Trzeba szukać dalej – pomyślał Harry i zerknął na zegarek. Zbliżała się dwudziesta. Otworzył drzwi i polecił dwóm młodym funkcjonariuszom odprowadzić Kasperskiego do celi. Na korytarzu pod oknem stał Zbój i palił papierosa.

Edmund – przypomniał sobie nagle imię księdza, który uczył Martynki religii. Uśmiechnął się do koleżanki, która patrzyła na niego pytająco, i jednocześnie postanowił, że po robocie pójdzie do Casablanki, ulubionej knajpy milicjantów, bezpieczniaków, dziennikarzy oraz prostytutek, mieszczącej się niedaleko komendy.

– To nie nasz klient – rzucił. – Trzeba szukać dalej.

– Trzeba szukać dalej – powiedziała do siebie Dagmara, kiedy skończyła krótką rozmowę z Harrym.

Co za syf – dodała w myślach i odprowadziła wzrokiem Harry’ego, który poszedł zdrzemnąć się do kantorka. Wbiła ręce w kieszenie i pomaszerowała na pierwsze piętro do oficera dyżurnego. Chciała przewertować notatki służbowe dokumentujące dzisiejsze rozpoznania posesyjne na Naramowicach. Szczególnie interesowała ją treść notatki z rozmowy z Kasią Kolankiewicz, dziewczyną, którą zaczepiał ekshibicjonista. Chciała mieć pewność, że to był Kasperski, żeby zamknąć ten wątek sprawy. Zboczeńców mogłoby być przecież więcej w okolicy. Żurawiniec najwyraźniej przyciąga różne perwersyjne typki. Po paru minutach przerzucania niezgrabnie zapisanych papierzyk natrafiła na poszukiwaną notatkę. Dziewczynie okazano zdjęcie Kasperskiego, potwierdziła, że to on się przed nią obnażył. Nie wykazywał przy tym żadnej agresji, robił wrażenie spłoszonego, nieśmiałego człowieka. Pokazał, co miał pokazać, zarumienił się i zniknął. Wszystko trwało jakieś dziesięć sekund.

Rzeczywiście, trzeba szukać dalej – powtórzyła w duchu słowa Harry’ego, po czym przejrzała pobieżnie resztę dokumentów. Nie znalazła w nich nic ciekawego. Koleżanki z klasy Martynki twierdziły, że nie znała nikogo podejrzanego, nie spotykała się z nikim w tajemnicy przed rodzicami. Najwyraźniej była zwyczajną grzeczną dziewczynką bez żadnych sekretów.

Dagmara pożegnała się z dyżurnym i wyszła na korytarz. Ziewnęła. Była zmęczona. Poszła do łazienki i ob-myła twarz. Przez chwilę zastanawiała się, co

robić dalej. Znowu przypomniała sobie Koguta, któremu z wielką chęcią dałaby się wybykać, żeby się oderwać od pracy. Intensywny seks to najlepszy sposób na solidny reset, i jej ulubiony. Niestety, nie było na to czasu. Trzeba działać, a jeszcze Bielski zaprosił na dwudziestą drugą ich „zabójczą trójkę” do swojego „wigwamu” na odprawę z „symbolicznym” kielichem z okazji wykrycia starego zabójstwa. Spojrzała na zegarek, miała jeszcze niecałe dwie godziny do dyspozycji.

Pójdę do Halinki – pomyślała i ruszyła w stronę schodów. Wszedłszy na trzeciego piętro, na którym mieścił się Wydział Kryminalny oraz od niedawna Wydział Zabójstw, uprzytomniła sobie, że wokół panuje cisza zakłócana tylko przez brzęczące jarzeniówki. Słyszać było jedynie jej stanowcze kroki, które rozchodziły się głośno po piętze.

Sekcja Obyczajowa, składająca się z jednego pokoju, który Halinka dzieliła z dwiema koleżankami, usytuowana była na końcu korytarza. Dagmara zapukała i weszła.

Sierżant siedziała za biurkiem. Głośno mlaskając, pałaszowała kanapki, które przygotowywał jej małżonek zatrudniony w jakimś poznańskim kościele jako kościelny. Podniosła wzrok znad gazety i poprawiła za duże okulary.

– Złapaliście już tego gagatka? – zapytała z pełnymi ustami.

– Niestety, nie.

– Fajna sprawa wam się trafiła. Psychiczna.

– Psychiczna?

– Wasz delikwent musi być popierdolony na psychice. I to niewąsko.

Halinka skończyła psychologię, bardzo lubiła różne, jak mawiała, „zagwozdki psychiczne”. Specjalizowała się naturalnie w psychice kurew. W czasie firmowych alkoholowych nasiadówek z wielką pasją omawiała różne mechanizmy wyparcia swoich „dziewuszek”. „Freud by się posmarkał z podniecenia” – powtarzała często pomiędzy jedną a drugą kolejką wódki.

– Też mamy taką wersję śledczą – poinformowała Dagmara.

– Ślubny mi nie uwierzy, jak mu powiem.

Halinka zjadła kanapkę, popiła herbatą, złożyła potłuszczony papier śniadaniowy

na cztery części i wygładziła go.

– Znowu mi będzie marudził, że nurzam się w grzechu i że powinnam co tydzień chodzić do spowiedzi.

Wytarła usta, podłubała wykałaczką w zębach i prychnęła.

– Jak on się nie zna na życiu – pokręciła głową, po czym zdjęła okulary i zaczęła wycierać szkła rękawem swojego tureckiego swetra. – Nurzam się w grzechu. – Zachichotała. – On nie wie, co to grzech. Dzisiaj na przykład przesłuchiwałam taką jedną kurew. – Założyła okulary. – Nie powiem, pomysłowa i utalentowana. Wprowadziła usługę, która zrobiła się modna u jej klientów i na której zarabia dobre pieniądze.

Dagmara zapaliła papierosa i zaciągnęła się. Słuchała z rosnącym zaciekawieniem kurewskiej opowieści.

– Posłuchaj, bo to dobre. „Pani porucznik – zagaduje mnie. – To wygląda tak. Siadam jednemu jełopowi z drugim na kolanach i szepczę. Zrobię ci tak, kotku, że nie dotknę cię ani ręką, ani ustami, ani cipką, a mimo to pała ci tak stanie, tak się napręży, że nie wytrzymasz i zalejesz swoim mleczkiem pół pokoju. Serio, bez dotknięcia. No, może na koniec dmuchnę leciutko w główkę”. Uwierz mi, Zbóju, to jest dosłowny cytat.

Uwierzyła. Halinka była przykładną katoliczką, brzydziła się kłamstwem i wszyscy w firmie o tym wiedzieli.

– Brzmi intrygująco.

– „Jak to robisz, skarbie?” – pytam ją, a ona w odpowiedzi uśmiecha się i wyjaśnia: „Oni zazwyczaj mówią, że nie wierzą. To ja wtedy odpierdalam taki taniec ciał, tak się wyginam, pręzę, wypinam, tak się im kokoszę przed wytrzeszczonymi gałami, że oni po pięciu, góra dziesięciu minutach są zrobieni na cacy. Parę dni później przychodzą, mówią, że chcą jeszcze raz i płacą podwójnie”.

Halinka przerwała i upiła parę łyków herbaty, głośno siorbiąc.

– To tyle w kwestii grzechu – skwitowała i po namyśle dodała: – No ale muszę przyznać, że ten mój stary kanapki robi smaczne jak ta lala. – Spojrzała na Dagmarę i zapytała: – Ale co cię do mnie sprowadza, rybko?

Dagmara zasłoniła ręką usta i ziewnęła.

– Sprawdzamy dewiantów seksualnych – powiedziała. – Może nam coś podpowiesz interesującego?

Halina wzruszyła ramionami.

– Żadna z moich dziewczetek nie wspominała o klientach z nekrofilskimi ciągotami – odparła i ponownie siorbnęła herbatę. – Chociaż... – szepnęła i najwyraźniej zagłębiła się w swojej słynnej przepastnej pamięci. Chrząknęła parę razy, po czym schyliła się i otworzyła drzwiczki biurka. Ze środka wydobyła pękaty, postrzępiony zeszyt. Położyła na blacie, pośliniła palec i zaczęła kartkować. – Mam tu zanotowane – odezwała się – że jedna z dziewcząt ma klienta o specyficznych skłonnościach.

Dagmara wbiła wzrok w koleżankę.

– Jakich skłonnościach?

– Żeby udawała martwą.

– Martwą?

– Tak. Z moich zapisków wynika, że gość lubi młode dziewczyny, które udają truposzki.

Dagmara dopaliła papierosa, podeszła do biurka i zgmiotła go w porcelanowej popielniczce ozdobionej aniołkiem.

– Chciałabym pogadać z tą twoją dziewczuszką. Da się?

– Pewnie, że się da.

Halinka spojrzała na zegarek.

– O tej porze powinna już być w Merkurym. O ósmej przychodzi do roboty.

– Znakomicie.

– Możemy pójść tam razem. Mam sprawę do jednej takiej.

Dagmara się uśmiechnęła. Wspólna przechadzka na Roosevelta z Halinką oznaczała kilka smacznych anegdot o prostytutkach. Skoro sama nie może teraz zaznać rozkoszy seksualnej, chętnie posłucha o cudzych doświadczeniach w tym zakresie. Zawsze to jakiś zastępnik.

Czekając, aż Halinka przygotuje się do wyjścia, usiadła w fotelu i zamknęła oczy. Wyobraziła sobie nagiego Koguta, który klęczy przed nią i wtula się w jej podbrzusze. Westchnęła przeciągle. Boże, jaką ja mam chciwę – pomyślała. Nagle otworzyła oczy.

Przed nią stała Halinka i machała energicznie ręką jak przed oczami niewidomego.

– Coś ty się tak zaczerwieniła, rybko?

Dagmara zmieszała się.

– Wyobraziłam sobie, że jestem w saunie – bąknęła.

– No chyba że.

Porucznik Kruger ziewnął i po chwili zorientował się, że nie zakrył ust. Brak tego gestu zrzucił na karb zmęczenia. Spojrzał na Kasperskiego, który właśnie dokładnie opisywał okoliczności zabójstwa Agnieszki Tyniec. Mimo upływu dziesięciu lat klient bardzo dobrze pamiętał tamto zdarzenie i nie skąpił oficerowi szczegółów.

Harry ładnie go nastroił, śpiewa jak z nut – pomyślał z uznaniem Kruger, czując, że powieki ciążą mu coraz bardziej. Jednak psychopaci mają świetną pamięć.

Zerknął na kręcące się szpule magnetofonu, który rejestrował przesłuchanie. Raz po raz odpływał myślami, zastanawiając się, czy prokurator zdecyduje się na postawienie zarzutów tylko na podstawie przyznania się do winy. Wątpił w to. Wiedział z doświadczenia, że w ostatnich latach prokuratorzy unikają jak ognia procesów poszlakowych. W tamtym roku wypuszczono dwóch zbrodniarzy ze względów na brak dowodów procesowych. No chyba że uda się wyciągnąć z Kasperskiego takie rzeczy, które mógł wiedzieć tylko zabójca.

Kasperski zamilkł, Kruger spojrzał na niego.

– Co się dzieje, Heniu?

– Tamten milicjant zapytał mnie, czy nie widziałem w piątek żadnego księdza w pobliżu.

– No i co z tego?

– Powiedziałem mu, że nie.

– A widziałeś?

– Wtedy nie, ale...

– Ale?

– Ale kiedy indziej tak.

Porucznik poruszył się na krześle.

– Co masz na myśli?

– Często spaceruję po Żurawińcu.

– Uhm.

Kruger poczuł, że zaschło mu w gardle. Napiłby się jakiejś dobrej, aromatycznej kawy.

– Widziałem tam ze dwa razy księdza – kontynuował Kasperski.

– Kiedy?

– Nie pamiętam.

– No ale tydzień temu, miesiąc, rok? Kiedy?

– Miesiąc, dwa miesiące. Nie, wcześniej. To było w wakacje.

– Lipiec? Sierpień?

Chwila zastanowienia.

– Lipiec.

– Jesteś pewny?

– Tak. Były wtedy jeszcze czereśnie.

– Dobrze. Co on tam robił, ten ksiądz?

– Szedł z jakąś dziewczynką.

Kruger wbił wzrok w Kasperskiego.

– Mów dalej – szepnął i natychmiast sięgnął po długopis.

– Ale co mam mówić?

– No co robił ten ksiądz z dziewczynką.

– Czy ja wiem? – Kasperski wzruszył ramionami.

– Skup się, chłopie. To bardzo ważne.

– Ona cały czas chichotała.

– Dobrze. A on?

– On? Obejmował ją i coś mówił.

– Słyszałeś, co mówił.

– Nie, ale ona wtedy jeszcze głośniej chichotała.

– Widzieli cię?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Tak. Stałem wtedy obok krzewów i sikałem. To znaczy, jak ich zobaczyłem, to przestałem.

– Co było dalej?

Kasperski przymrużył oczy.

– Ona ją poklepała po pupie.

– Wzbraniała się?

– Nie.

– Nie?

– Nie. Spojrzała na niego i wysunęła język. Ale tak inaczej. Nie żeby dokazywać. Ksiądz wtedy nachylił się nad nią i pocałował ją. W usta.

Kruger pstryknął długopisem. Gdzieś w tyle głowy zamajaczył mu pewien obraz, który natychmiast odepchnął od siebie. „Adasiu, nie podglądaj” – usłyszał nagle gdzieś w podświadomości i zacisnął mocno zęby. Przetarł czoło, które pokryło się potem. Spojrzał na Kasperskiego. Czasami te słowa wynurzały się skądś i wybrzmiewały w jego głowie, wywołując niepokój. „Odwróć się, Adasiu, nie bądź niegrzeczny”.

– Co było potem? – zapytał szorstko.

– Zniknęli mi z oczu.

– Skąd wiesz, że to był ksiądz?

– Miał to białe takie.

– Koloratkę?

– O właśnie, koloratkę.

– Znasz go?

– Nie.

– Z tutejszej parafii?

- Nie wiem, rzadko chodzę do kościoła.
- Jak wyglądał ten ksiądz?
- Już nie pamiętam.
- Wielka szkoda, że nie pamiętasz.
- Przepraszam, ale mam kiepską pamięć.
- Wysoki, niski?
- Wysoki.
- Na pewno?
- Tak, dość wysoki.
- Chudy, gruby?
- Nie pamiętam, serio.

Oficer przyglądał się uważnie Kasperskiemu. Znowu ksiądz – pomyślał. W takim razie trzeba sprawdzić wszystkich księży w okolicy.

- Jakież inne cechy? – zapytał.
- Cechy?
- Cechy wyglądu, włosy na przykład.
- Nic więcej nie pamiętam.
- Spróbuj sobie przypomnieć, chłopie. To ważne.
- Miał na głowie czapkę z daszkiem – wymamrotał. – Tylko to mi przychodzi do łba.
- No dobrze. A dziewczynka? Opisz ją.

Kasperski napił się herbaty, którą Kruger osobiście mu przygotował w ramach zachęty do szczerych i szczodrych wyjaśnień.

- Wysoka – powiedział, przyglądając się swoim niezgrabnym brudnym dłoniom.
- Miała warkocz. Całkiem ładna.
- Była przestraszona?
- Nie, nie.
- Jak była ubrana?
- Czy ja wiem? Krótka spódniczka, jakaś koszulka z krótkim rękawkiem.

– Ile mogła mieć lat?

– Nie wiem. Nie znam się na tym.

– Pi razy drzwi.

– Piętnaście, szesnaście? Trochę przypominała moją siostrę, jak chodziła do liceum. Mam takie zdjęcie w domu. Można sprawdzić.

– Zerkniemy przy okazji, dobrze, że mówisz. Widziałeś ich potem jeszcze tamtego dnia?

– Nie.

– Mówiłeś, Heniu, że tego księdza spotkałeś dwa razy na terenie Żurawińca, tak?

– Zgadza się.

Kruger westchnął. Zaczął irytować go ten lakoniczny sposób odpowiadania.

– Rozwiń to. Kiedy widziałeś go drugi raz?

– Nie pamiętam. Ale też jakoś w wakacje. Później trochę. To mogło być w sierpniu. Pamiętam, że jadłem wtedy na spacerze jabłka, które rosną w naszym ogródku w sierpniu. Wziąłem ze sobą ze trzy. – Kasperski zarechotał.

– Czemu rżysz?

– Tak się wtedy najadłem tych jabłek, że cały dzień miałem srakietę jak stąd do Wrześni.

Kruger przewrócił oczami. Nie cierpiał tego rodzaju żartów.

– Wróć do księdza.

– A tak, no cóż – po prostu widziałem go, jak szedł. Chyba się gdzieś spieszył.

– Był z kimś?

– Nie. Sam.

– Coś jeszcze byś dopowiedział do powyższego?

– Nie.

Nie – powtórzył w myślach Kruger. Próbował sobie przypomnieć, jak miał na imię ksiądz, który uczył Martynki religii. Od niego trzeba zacząć. Pstryknął długopisem.

– No dobra, Heniu. Na dzisiaj kończymy przesłuchanie. Jutro umówię cię

z rysownikiem, opisziesz mu wygląd księdza i dziewczynki.

– Tak jest, panie poruczniku.

Ksiądz Edmund – przypomniał sobie, kiedy wyłączył magnetofon. – Trzeba skombinować zdjęcie i okazać je Kasperskiemu.

Kwadrans przed dwudziestą pierwszą Dagmara i Halinka siedziały przy barze w Merkurym i rozmawiały z Andżelą, osiemnastoletnią prostytutką o twarzy niewinnej nastolatki. Była to piękna dziewczyna o platynowych włosach ubrana w seksowny czerwony kombinezon i czarne kozaki do kolan. Założyła nogę na nogę i spojrzała zblazowanym wzrokiem na milicjantki. Gdy barman podsunął jej drinka, przesłała mu zalotnego całusa. Upiła trochę i rozejrzała się po sali. Wokół kręciło się coraz więcej ludzi, głównie mężczyzn. Z windy wyszła grupka Arabów, jeden z nich wyszczerzył zęby i wskazał palcem Andżelę. Jego towarzysze pokiwali zgodnie głowami. W ich oczach pojawił się błysk zainteresowania.

– Niunia – odezwała się Halinka. – Mówiłaś mi kiedyś o kliencie, który lubi, jak udajesz martwą w czasie rypanka. Pamiętasz?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Co mam nie pamiętać? – odpowiedziała i wyciągnęła z torebki szminkę. – Tym bardziej że dobrze płacił.

– Kiedy się z nim ostatnio widziałaś?

Andżela pomalowała usta na krwisty kolor i zerknęła do lusterka. Chyba była zadowolona z efektu.

– A czemu pytacie? – zdziwiła się.

– Jak słusznie zauważyłaś, niunia, to my pytamy, a ty odpowiadasz.

– No dobrze już, dobrze, tak tylko zapytałam – wywróciła oczami. Wyjęła z torebki paczkę gum do życia. Wyłuskała jedną i włożyła do ust. Odwróciła się lekko w bok i obrzuciła wnikliwym spojrzeniem Arabów, którzy stanęli przy barze

parę metrów od nich. Ten, który przed chwilą wyszczerzył na jej widok zęby, nachylił się w stronę barmana, coś mu powiedział i wysunął brodę w stronę Andżeli. Barman ukłonił się i sięgnął po jakąś kolorową butelkę. Chwilę później przed prostytutką wylądowała szklaneczka z niebieskim drinkiem i słomką w środku.

– To prezent od ciapatych, złotko – rzucił barman i uśmiechnął się promiennie.

Andżela zerknęła w kierunku Arabów i przejechała bezwstydnie językiem po czerwonych ustach.

– Szykuje ci się, niunia, pracowita noc – stwierdziła Halinka i spojrzała na Dagmarę, która pomyślała sobie, że nigdy nie uprawiała seksu z obcokrajowcem, i momentalnie postanowiła, że do końca roku zmieni ten stan rzeczy. Najlepiej z Włochem albo Francuzem. Miała ochotę na jakąś temperamentną narodowość.

– Mam nadzieję – odpowiedziała Andżela, kładąc rękę na swoim obfitym biuście.

– Przydałoby się trochę siana.

Halinka chrząknęła.

– A teraz wracamy do tematu – rzuciła. – Kiedy ostatni raz widziałas klienta od zabaw w trupa?

– Czy ja wiem? Jakies dwa tygodnie temu.

– Gdzie się zabawiacie?

– Tutaj. Raz w miesiącu wpada do baru, zagaduje, stawia alkohol, a potem idziemy na jakieś dwie godziny do pokoju. Ciekawa robota. Mam leżeć z zamkniętymi oczami. Nie ruszać się, nie odzywać. Zazwyczaj klienci żądają czegoś odwrotnego.

– Kto to jest?

– Taksówkarz. Andrzej ma na imię. A raczej miał.

Dagmara zmarszczyła brwi.

– Dlaczego miał? – zapytała.

– Słyszałam, że umarł.

– Umarł? Kiedy?

– W zeszłą sobotę. Któraś z dziewczyn mówiła mi, że uprawiał z jakąś obcą

lafiryndą seks z podduszaniem i mu się zeszło... – Andżela wsunęła do usta słomkę i pociągnęła lekko. – To znaczy umarło mu się – dopowiedziała.

– Żartujesz sobie, niunia, tej! – odezwała się Halinka z klasycznie poznańską intonacją. Gdy się mocno dziwiła, „śpiewała” w ten sposób.

– Mówię prawdę, jak bum-cyk-cyk – odparła Andżela, wpatrując się w Arabów, którzy przywoływali ją do siebie coraz intensywniej.

Halinka spojrzała na koleżankę i podniosła bezradnie ręce.

– Podejrzany poszedł ci się pieprzyć – skwitowała.

– Taa, ze śmiercią – dodała Dagmara. – To się nazywa śmiertelny pech.

– To wszystko? – zapytała Andżela zniecierpliwiona. – Bo chciałabym już iść do roboty.

– Jesteś wolna, niunia – powiedziała Halinka. – Idź, zarabiaj kaszę.

– Dzięki – rzuciła Dagmara.

Andżela dopiła drinka, rzuciła swoim rozmówczynom „adieu” i podeszła krokiem modelki do Arabów, którzy z miejsca ją otoczyli, żeby na wyścigi adorować. W pewnym momencie odwróciła się w stronę milicjantek. Wbiła wzrok w Dagmarę i mrugnęła do niej zawadiacko. Dagmara zamyśliła się na moment. Przed oczami stanęła jej pijana matka. Przez krótką chwilę odnosiła wrażenie, że siedzi z nią w knajpie przy wódce i słyszy jej słynny aforyzm: „Każda kobieta raz na jakiś czas lubi zagrać dziwkę, kochanie”.

Coś w tym jest – stwierdziła w duchu, po czym pożegnała się z Halinką, która obiecała jej, że „w razie czego da koniecznie znać”, wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i ruszyła ku wyjściu.

Wieczorna odprawa z symbolicznym kielichem u naczelnika odbyła się pół godziny później niż to zaplanowano.

Major Bielski był tego dnia bardzo zajęty. Sprawa zabójstwa połączonego z nekrofilią zwróciła uwagę ludzi władzy, zarówno politycznych oficjeli, jak i szefów ważniejszych jednostek milicji oraz aparatu bezpieczeństwa, który zastanawiał się, czy to nie jest czasem jakaś prowokacja opozycji. Stąd mnóstwo telefonów, wizyt, spotkań, nie zawsze miłych, a czasami wręcz dość przykrych. Presja związana z wykryciem sprawcy makabrycznego czynu rosła.

Naczelnik późnym wieczorem usiadł w swoim fotelu i miał wrażenie, żeby przez cały dzień stąpał po polu minowym. Oparł głowę o zagłówek. „Jutro wyślę żonę do teściowej, a sam pojedę na Olimpię i przez cały czas będę grał w badminton i przy okazji obejrzę sobie mecz naszych pięknych koszykarek” – postanowił i od razu poczuł się lepiej. Skoro dzisiaj nie mógł jak zawsze spędzić dnia w milicyjnym klubie sportowym, to zrobi to jutro, równowaga w przyrodzie musi być.

Zamknął oczy. Po chwili usłyszał pukanie do drzwi. Zerknął na zegarek. Była dwudziesta druga trzydzieści.

Do środka weszła jego „zabójcza trójka”. Uśmiechnął się, wstał z krzesła i przywitał silnym uściskiem dłoni. Lubił ich, byli świetni. Od razu podszedł do barku, wyciągnął z niego rosyjską wódkę, rozlał do pięćdziesiątek i podziękował im za „dobrą poznańską robotę”. Stuknęli się i wypili.

– Przeszłość została załatwiona – powiedział Bielski, czyszcząc końcem krawata swoje okulary. – Teraz trzeba uporządkować teraźniejszość. Zróbcie to jak

najszybciej. Bo mnie wierchuszka straszy, że jak ten wampir z Naramowic będzie działał dalej, to w Poznaniu zapanuje psychoza, która może przenieść się na inne miasta. W dzisiejszej sytuacji politycznej wystarczy jedna iskra, żeby wszystko się zapaliło i... – urwał, założył okulary, spojrzał na nich i zrobił nieokreślony ruch ręką.

– Szefie – odezwał się po chwili Kruger. – Prawdę mówiąc, nie wiem, czy przeszłość została załatwiona. Poza przyznaniem się do winy nie mamy nic. Nie wiem, czy jakiś prokurator w tej sytuacji zdecyduje się...

Naczelnik przerwał mu.

– Freddy, nie teraz – warknął. – Teraz się cieszymy z waszej skuteczności. Sprawę przejmuje Wydział Dochodzeniowy i z całą pewnością weźmie ją na warsztat Robin.

Robin był pseudonimem kapitana Alberta Robińskiego, świetnego dochodzeniowca, który słynął z pierwszorzędnych przesłuchań.

– Facet weźmie go w obroty i tak przepytą, że zdobędzie dobry materiał procesowy. – To powiedziawszy, spojrzał na Harry'ego. – Á propos – sięgnął po butelkę i ponownie nalał alkohol do kieliszków. – Rozchodniaczka jeszcze trzaśniemy – powiedział.

Gdy wypili, Bielski chrząknął.

– Harry, chłopie – odezwał się. – Szef Wojewódzkiej chce cię przejąć do swojego Wydziału Kryminalnego. Ma poparcie samego komendanta głównego. Jak się uporacie z nekrofilem, to...

Nagle zadzwonił telefon. Naczelnik zachnął się. Zacisnął szczęki, ale po chwili podniósł słuchawkę.

– Czego? – rzucił i popukał palcami w blat stołu. Po chwili cmoknął, jakby rozmówca zainteresował go jakąś wiadomością.

– Nie przedstawiła się? Rozumiem. A z jakiego szpitala? No tak, tak. Dobrze, dziękuję, Stasiu. Jeśli zadzwoni ponownie, odezwij się do mnie. Na domowy, za godzinę będę już u siebie.

Odłożywszy słuchawkę, Bielski spojrzał na swoich podwładnych.

– W czwartek wieczorem zadzwoniła do nas jakaś kobieta i powiedziała, że w jej szpitalu pracuje facet, którego przyłapała ostatnio w kostnicy na seksie z trupem. Stasiu właśnie skojarzył fakt.

Dagmara, Harry i Kruger wbili w niego wzrok.

– Jaki szpital, co to za kobieta, kiedy to się stało, nie wiadomo. Rozmowa została nagle urwana – dopowiedział.

– Dlaczego została urwana? – zapytała Dagmara.

– Skąd mam wiedzieć? Babka się rozłączyła i tyle.

– Ale co to znaczy, że „przyłapała”? – dociekał Kruger. – Naszła go i doszło do konfrontacji? Czy po prostu podejrzwała go, a on się w tym nie zorientował? Czy...

– Freddy, nie wiem! To był bardzo lakoniczny telefon. Stasiu mówi, że babka była zdenerwowana. Może się rozmyśliła? Nie mam zielonego pojęcia.

– Musimy przepytąć Stasia, może uda się ustalić jakiś pomocny szczegół – oznajmił Kruger, przybierając poważny wyraz twarzy.

– Dobry pomysł – stwierdził naczelnik i zakrył twarz ręką. – Przepraszam. Jestem wykończony, wy pewnie też. – Spojrzał na podwładnych, którzy również zdrowo sobie ziewnęli. – Zajmijcie się tym wątkiem jutro. A na dzisiaj koniec. Odpocznijcie. I raz jeszcze dziękuję za dobrą robotę.

Wyszedłszy z gabinetu, „zabójcza trójka” poszła do męskiej toalety na pożegnalnego papierosa.

– Harry, ty chyba awansujesz – zagadnęła z uśmiechem Dagmara, wypuściwszy dym.

– Chyba nie. – Harry skrzywił się i podszedł do umywalki. – Cały czas jestem tylko chorążym – powiedział, obmywając twarz zimną wodą. – I nie sądzę, żeby to się szybko zmieniło.

– Najlepsi zawsze mają pod tym kątem najgorzej.

– Daj spokój, Zbóju.

Wymienili się spojrzeniami. Harry uśmiechnął się do niej lekko, a ona odwzajemniła się mrugnięciem. Kruger wypuszczał powoli dym, gładził się po

wąsach i patrzył w jarzeniówkę.

Analizuje – pomyślała Dagmara. Fajnie wygląda, jak myśli nad czymś uporczywie.

Dopiero teraz poczuli wielkie zmęczenie. W jednej niemal chwili zapadli się w sobie. Nie mieli sił na żadne pogaduszki. Dopaliwszy w milczeniu papierosy, opuścili łazienkę. Gdy znaleźli się na korytarzu, Kruger oznajmił:

– Pójdę do Stasia i podpytam go o ten telefon ze szpitala. Nie daje mi spokoju.

Prymus – pomyślała Dagmara, czując, że za chwilę padnie na pysk całkowicie wyzuta z sił.

Harry zgasił na wpół wypalonego papierosa i wszedł do zadymionego wnętrza Casablanki, w której wybrzmiewał głos Haliny Frąckowiak. Rozejrzał się wokoło, nucąc melodię *Małego elfa*.

Przy rurach tańczyło kilka nagich dziewcząt, przyciągając spojrzenia podpitych wásaczy. Przy barze Harry wypatrył znanego kryminalnego dziennikarza prasowego o ksywie Misio. Gdzieś mu mignęło kilku kryminalnych z komendy wojewódzkiej. Udało mu się też wypatryć cinkciarzy, którzy w towarzystwie długonogich i lekko zawianych prostytutek opuszczali wesoło knajpę. Omiatał wzrokiem lokal, aż w końcu wypatrył mężczyznę, z którym chciał porozmawiać.

Przy stoliku ustawionym w rogu sali, skąd widać było wyjście, siedział jego znajomy ze SB, kapitan Gross. Nosił ksywę Bankier ze względu na smykałkę do robienia interesów. Właśnie rozmawiał ze szczupłą brunetką z krzykliwym makijażem. Żywo przy tym gestykulował, ona zaś raz po raz kiwała głową, jakby aprobowwała polecenia. W pewnym momencie wyjął portfel. Wręczył jej kilka banknotów i dał znak, że może odejść. Uśmiechnęła, szczerząc białe zęby, i poszła do baru. Harry patrzył przez chwilę na jej długie, szczupłe nogi. Esbek sięgnął po butelkę wódki, nalał sobie i wypił jednym haustem. Wytarł usta i spojrzał w bok, natrafiając na spojrzenie chorążego. Ten kiwnął głową i ruszył w jego stronę.

– Można? – zapytał i usiadł, nie czekając na odpowiedź.

– A czemu nie?

– Mam sprawę.

Gross uśmiechnął się nieznacznie. Przy stoliku stanęła kelnerka,

czterdziestoletnia kobieta o podkrążonych oczach i sympatycznej twarzy. Chyba płakała przed chwilą. Miała lekko rozmazany makijaż.

– Co dla ciebie, Harry? – zapytała zmęczonym głosem. Chorąży uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– Meduza, Krysiu – odparł.

– A dla pana, kapitanie?

– Też schrupałbym meduzę.

Skinęła głową i odeszła.

– Napijesz się?

– Czemu nie?

Mężczyźni zaczęli rozmawiać. Po drugiej kolejce Harry nawiązał do proboszcza z Naramowic.

– Rzeczywiście, założyliśmy mu obserwację – przyznał Bankier.

– Po co?

– Jego brat działa w opozycji, internowano go trzynastego grudnia. Jakiś czas temu dostaliśmy rozkaz, żeby pokręcić się przy nim.

– I co?

– Muszę ci powiedzieć, że to wzorowy obywatel Polski Ludowej – Gross zarechotał. – Unika kontaktów z ekstremą solidarnościową, jak tylko może. Myśleliśmy, że to gra pozorów, ale on chyba rzeczywiście jest czysty. Trochę nas wkurwił, niepotrzebnie czas straciliśmy.

– To dlaczego go jeszcze obserwujecie?

– A skąd wiesz?

– Widziałem waszych ludzi, jak się kręciłem w okolicy.

Gross napełnił szkło.

– Pewnie robisz przy tym nekrofilu?

– Tak.

– Co za pojebana sprawa.

– Fakt.

– To po maluchu.

Gdy oficerowie wypili, podeszła kelnerka z nóżkami w galarecie.

– Dwie meduzy dla panów – powiedziała, próbując się uśmiechnąć. – Smacznego.

– Dziękujemy, Krysiu – odpowiedział Harry.

Skosztowali parę kęsów dania, z którego słynęła w Poznaniu Casablanka.

– Martwe, zimne, ale smaczne – przyznał kapitan i puścił oko do rozmówcy.

Harry nie skomentował.

– A wracając do sprawy tego proboszcza...

– No...

Gross ukroił widelcem kawałek galarety i włożył do ust.

– Króliczek jest czysty – mówił, przeżuwając pokarm. – Ale okazało się, że jeden z jego podwładnych ma słabość do nastolatek.

Chorąży zerknął na niego z ciekawością.

– Który?

– Zainteresowany informacją?

– Wiesz, jak jest. Wszystko może się przydać.

– Jasne. Ale co dasz mi w zamian?

– A co byś chciał?

Gross wziął parę kęsów galarety, po czym rozlał do kieliszków wódkę. Napili się.

– Podobno znasz lepiej niż dobrze jedną taką panią porucznik z Komendy Wojewódzkiej. Mówią na nią Romina, robi w sprawach gospodarczych.

Harry wyszczerzył zęby na wzmiankę o śledczej, która według niego była najpiękniejszą milicjantką w Wielkopolsce. Porucznik Anna Dziedzic, w której podkochiwała się cała komenda. Harry jakiś rok temu miał z nią krótki romans. Jej ksywa pochodziła od Rominy Power, znanej z przeboju *Felicita*, do której była bardzo podobna.

– Znałem.

– A jednak?

– No tak.

– Taki jeden znajomy cinkciarz obiecuje mi góry dolarów za informację o tym, jakie ta boska milicjantka lubi perfumy, kwiaty i takie inne duperele.

– Jaja sobie ze mnie robisz?

– Nie. Facet oszalał na jej punkcie. Planuje ją uwieść, ale podchodzi do tego bardzo poważnie i póki co zbiera informacje. Pomóż nam, a powiem ci, który ksiądz jest amatorem ponętnych nastolatek.

Harry popatrzył na Grossa.

– Przecież wiem, że ksiądz Edmund – strzelił z nienacka.

Major zrobił wielkie oczy.

– Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem, ale już wiem.

Gross się skrzywił.

– Wychujaleś mnie.

– Sam się wychujaleś. – Harry wzruszył ramionami i wsunął do ust papierosa. – Ale podpowiem ci coś.

– Co takiego?

Harry wstał.

– Romina ma hopla na punkcie Opium Yves Saint Laurenta. Uwielbia operę i włoską kuchnię – powiedział.

Gross się uśmiechnął.

– A jednak jesteś porządku – oznajmił. – Wpadnij do mnie w tygodniu, pokażę ci bardzo interesującą fotkę, na której ksiądz Edmund emabluje – po tym słowie zrobił pauzę, uśmiechnął się dwuznacznie i dokończył: – jedną z uczennic. To prawdziwy fircyk.

Harry podał mu dłoń, po czym ruszył w stronę wyjścia. Mrugnął do Krysi, która niosła komuś bigos z pajdą chleba posmarowaną smalcem ze skwarami. Z głośników wybrzmiewał właśnie niski głos El Pasadora.

– *Amada mi amore mio* – zawtórował mu chorąży i przypomniał sobie własne

amory z Romiłą, która w łóżku okazała się niezwykle namiętną kobietą.

Gdy wyszedł na zewnątrz, zaatakował go zimny wiatr. Zapiął się po samą szyję, wbił ręce w kieszenie i poszedł na postój taksówek. Zagadnął znajomego kierowcę i po chwili zmierzał do domu. Myślami krążył wokół księdza Edmunda, „amatora ponętnych nastolatek”.

Kiedy Kruger stanął przed drzwiami wejściowymi do mieszkania, wytarł buty i odsapnął. Spróbował się rozluźnić i uspokoić rozbiegane myśli. Miał już dosyć na dzisiaj. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się pierwsza w nocy.

Po rozmowie z oficerem dyżurnym przejrzał jeszcze protokoły z oględzin domostwa Kasperskiego oraz jego dziewczyny. Niczego nie znaleziono. Żadnych rzeczy, które można by powiązać z zabójstwem Martynki. Dla całkowitej pewności wykorzystano także psa na zwłoki, żeby wykluczyć, że to jednak Kasperski zabił, wyciął i schował gdzieś fragmenty ciała dziewczynki. Pies, Cywil 4, niczego nie wywęszył.

Kruger przez chwilę nasłuchiwał. Z jego mieszkania nie wydobywał się żaden dźwięk. Pewnie śpią – pomyślał i wyciągnął pęk kluczy. Po cichu otworzył drzwi i bezszelestnie wsunął się do środka.

W dużym pokoju sączyło się mdłe światło z niewielkiej lampki ustawionej na nocnym stoliku. Zawiesił kurtkę na wieszaku, ściągnął buty. Basia spała na tapczanie, obok na podłodze leżała jakaś niegruba książka. Uśmiechnął się rozczulony widokiem żony, która cicho zamruczała przez sen jak kotek. Podszedł do niej, pocałował w ciepły policzek. Jej długie jasne włosy pachniały szamponem rumiankowym. Zakrył Basię pledem i podniósł książkę. To był *Koniec romansu* Grahama Greene'a, jej ukochanego pisarza. Też lubił czasem go przekartkować. Podobała mu się atmosfera smutku, która charakteryzowała jego książki.

Zgasił światło i wyszedł z pokoju. Zajrzał do Nelki, która leżała w swoim łóżeczku wśród kolorowych poduszek i pluszowych misiów, popatrzył przez chwilę,

roztkliwiając się jej słodkim widokiem, po czym poszedł do kuchni. Wyciągnął butelkę wódki, nalał sobie pięćdziesiątkę, wypił jednym haustem, skrzywił się i usiadł przy stole, opierając się o ścianę.

Zamknął oczy. Jego umysł wbrew jego woli odtwarzał rozmowę ze Stasiem, która dotyczyła dziwnego telefonu w sprawie seksu z trupem w jednym ze szpitali – założyli, że poznańskim.

Kruger przez pół godziny maglował dyżurnego, żeby przypomnieć sobie wszystkie szczegóły telefonu, który był bardzo krótki i brzmiał, jak ustalił, tak: „Dobry wieczór, dzwonię ze szpitala. Nie wiem, jak to powiedzieć, bo to jest po prostu niewiarygodne. Ale nakryłam przed chwilą w kostnicy... kolegę, który masturbował się przy nagim trupie. Ordynator mi nie uwierzy, więc pomyślałam, że...”. Tu nastąpiło przeciągłe westchnienie, potem rozległy się jakieś kroki i połączenie zostało urwane. Rzecz miała miejsce około północy.

„Czy coś jeszcze pamiętasz?” – dopytywał Kruger. „Jakiś detal, coś pobocznego? Coś niby oczywistego, na co się nie zwraca uwagi?” Stasiu kręcił znudzony głową, że nie. W końcu gdy porucznik zbierał się do wyjścia, ten rzucił: „Słyszałem odgłos pociągu, kurde mol”. „Odgłos pociągu?”. „Tak, odgłos pociągu. Teraz sobie przypominam”.

Kruger otworzył oczy.

– Odgłos pociągu – mamrotał. – Odgłos pociągu.

Nic mu jednak nie przychodziło do głowy w związku z tą informacją. Po paru minutach intensywnego namysłu wzruszył ramionami i wydobyl ze stosu gazet ułożonych na krześle pod stołem komiks z kapitanem Żbikiem. Tytuł brzmiał *Salto śmierci*.

Gdy przerzucił kilka stron opowieści, w której jego ulubiony bohater infiltrował środowisko cyrkowców, zrobiło mu się gorąco. To jest szpital im. Raszei na Dąbrowskiego – pomyślał podniecony. To tylko stamtąd można usłyszeć odgłos przejeżdżającego pociągu.

Odwrócił się i drgnął. W progu drzwi zanotował jakiś ruch. Po chwili rozluźnił się, to była Basia.

– Kapitan Żbik pije wódkę? To się chyba nigdy wcześniej nie zdarzyło.

Uśmiechnął się.

– Dobry wieczór, kochanie – podszedł do niej i przytulił się do jej ciepłego miękkiego ciała. – Tęskniłem – szepnął.

– Ja też, mój kochany poruczniku. Może weźmiemy razem kąpiel?

– To jest myśl.

Pocałowali się namiętnie, potem złapali za ręce i poszli do łazienki.

Dagmara zakłęła siarczyście i przewróciła się na drugi bok. Mimo wielkiego zmęczenia, mimo bardzo późnej pory, nie mogła zasnąć.

Wzięła ciepły prysznic, golnęła sobie pięćdziesiątkę, puściła jakąś kojącą muzykę, chyba Briana Eno, potem wyobraziła sobie, że kocha się z przystojnym Włochem i zaczęła się masturbować z całkiem miłym finiszem, później włączyła telewizję, nastawiła na jakiś niemiecki program, akurat leciał western z Garym Cooperem, i bezmyślnie gapiała się w ekran – wszystko na nic. Jej umysł nie chciał udać się na spoczynek. Była trzecia nad ranem. Rzuciła kapciem w telewizor i poszła do pokoju. Padła na łóżko i włożyła głowę pod poduszkę. Chcę spać i to jest rozkaz – warknęła w myślach.

Głęboko oddychając, czekała na utratę świadomości. Po jakichś dwudziestu minutach wreszcie pogrążyła się we śnie, który przeniósł ją w czasie. Był tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci rok, październik. Dagmara wracała po lekcjach do domu i zastanawiała się, dlaczego Zuzi nie było w szkole. Postanowiła do niej wstąpić. Gdy znalazła się pod jej drzwiami, zapukała. Odpowiedziała jej cisza. Zadzwoiła. W końcu drzwi się otworzyły. W progu stanęła zapłakana przyjaciółka. Parę minut później przytuliły się do siebie bardzo mocno. W pewnym momencie Zuzia odsunęła się, otarła łzy i wykrztusiła:

– On mnie zgwałcił.

Dagmara otworzyła szeroko oczy.

– Kto? – zapytała pobladła. – Kto?

Ale Zuzia nie odpowiedziała. Kręciła tylko głową i coraz głośniejszłochała.

W końcu usiadła na dywanie, chowając twarz w dłoniach.

– Zgwałcił mnie – szeptała. – Zgwałcił.

Dagmara poczuła, że coś ją ściska za gardło. Zaczęła się krztusić. Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Nagle uzmysłowiła sobie, że leży na łóżku. Latarnia oświetlała pokój, tworząc na ścianie grę cieni. Spojrzała na zegarek. Powoli zbliżała się czwarta.

Harry obudził się zlany potem. Przyśniło mu się, że uprawia seks z Rominą. Po orgazmie otworzył oczy i z przerażeniem stwierdził, że jego przyjaciółka zamieniła się w trupa.

To jest jakieś szaleństwo – pomyślał i dopiero wtedy, w ciemnościach mieszkania, doszło do niego, że on i jego ekipa tropi kogoś, kogo można nazwać bestią. Bo przecież tylko bestia robi ze zwłokami to, co zrobił ich klient. Mimowolnie wyobraził sobie sprawcę jako rosłego mężczyznę z siekierą w ręku, który przypominał trochę Bużkę z filmu o Jamesie Bondzie. Pokręcił głową i poszedł do łazienki.

CZEŚĆ

DRUGA

– Moi umiłowani... – ksiądz urwał i przyłożył palec do ust. Zadumał się na chwilę. Jego zatroskana mina świadczyła, że myśli o czymś niezwykle poważnym i zasmucającym. – Doszły mnie słuchy, że... – duchowny podjął po chwili, zwracając ku sobie zaciekawione spojrzenia wiernych.

Słuchając jego niskiego kojącego głosu, odpłynął myślami. Lubił niedzielę. Chyba od zawsze, a na pewno od czasów, kiedy został ministrantem. Stojąc u boku księdza celebrującego mszę świętą, czuł się ważny. Przybierał wtedy godną postawę i obserwował wiernych, którzy z niezmaconym posłuszeństwem wsłuchiwali się w słowa księdza i pokornie na nie reagowali. Czuł się wtedy jak rycerz służący królowi. Czuł się dumny.

Oczywiście najbardziej lubił ceremonie pogrzebowe. Ten niecodzienny nastrój, smutek na twarzach zebranych, śpiewy i zawodzenia starych kobiet, no i, co najważniejsze, umarli spokojnie spoczywający w trumnie. Przyglądał się z wielkim zaciekawieniem ich twarzom, dłoniom ułożonym do modlitwy oraz przepasanym różańcem, odświętnie ubranym nieporuszoną ciałom. Śmierć jest piękna – myślał wtedy i czuł, że serce zaczyna mu szybciej i mocniej bić. Gdy w trumnie leżała młoda dziewczyna, wyobrażał sobie, że zostaje z nią sam na sam, pochodzi do niej, przytula się, potem rozpiną bluzkę, ściąga biustonosz i chłonie niesamowite piękno jej zimnych piersi. Dostawał wówczas gęsiej skórki. W myślach odpinał pasek, spuszczał spodnie, majtki i...

– Moi umiłowani, coś takiego mógł uczynić tylko diabeł! – ksiądz krzyknął nagle i powiódł wzrokiem po przerażonych parafianach. Pokręcił głową, wznosił rękę

i pogroził palcem. Po chwili uśmiechnął się z politowaniem.

– Mówią nam, że nie ma diabła. Że to tylko wymysł poetów. Że to urojenia. Jakże się mylą wszyscy ci, którzy próbują nam wmówić, że nasz największy wróg to tylko fikcja. Jakże oni są nieodpowiedzialni... Otóż diabeł istnieje i cały czas nas wodzi na pokuszenie. Przedwczoraj dostaliśmy tego dowód. Diabeł opętał któregoś z mieszkańców naszego miasta i kazał mu zrobić coś, za co spotka go wieczny ogień piekielnej otchłani. Tak, tak, ktoś wczoraj powiedział diabłu „tak”. Ktoś wczoraj porzucił Boga na zawsze!

Patrzył jak urzeczony na przemawiającego z wielką pasją księdza, gdy nagle doszło go ciche mamrotanie. Spojrzał w bok. Siedząca obok niego w ławce sędziwa kobiecina wycierała chusteczką załzawione oczy.

– W piątkowy wieczór diabeł udowodnił, że istnieje i że ma wielki wpływ na nas grzeszników. Pytam więc, czy jest ktoś wśród nas, kto chce zaprzeczyć jego istnieniu. Czy znajdzie się tutaj ktoś, kto w obliczu tej potworności ośmieli się powiedzieć, że diabeł to tylko postać z bajki?!

Rozejrzał się wokoło, czując, że głos księdza zaczyna wbijać się w jego czaszkę. O czym on mówi? Co się stało?

Wśród wiernych podniósł się szmer.

– Nadchodzi zły czas, bardzo zły czas. Jedyłą naszą bronią w walce ze złem, z ofensywą złą, będzie modlitwa. Szczera, zaangażowana, nieustająca modlitwa.

Ksiądz zrobił znak krzyża. W milczeniu przyglądał się wiernym, w których oczach malował się strach.

– Pomódlmy się za Martynkę, dwunastoletniego, niewinnego aniołka z Naramowic. Ona poniosła karę za nasze grzechy. Mała męczennica.

Gdy ksiądz wypowiedział nazwę bardzo dobrze znanej mu dzielnicy, zamarł. Opuścił głowę. Co ja zrobiłem? – załkał w myślach. Boże drogi, co ja zrobiłem? Przeżegnał się, jednocześnie próbując odepchnąć obrazy z piątkowego wieczoru.

Bezskutecznie. Umysł podsuwał mu migawki, w których stoi nad martwą dziewczynką i chłonie rozkoszny widok jej nagiego ciała. Dlaczego ja to zrobiłem?

Gdy Kruger zaparkował pod szpitalem im. Raszei, Dagmara westchnęła przeciągle.

– Żeby mi się tak chciało, jak mi się nie chce – wymamrotała, przecierając zaspane oczy. W myślach była jeszcze w łóżku i przewracała się na drugi bok.

– Niedziela jak marzenie – rzucił Kruger i wyciągnął kluczyki ze stacyjki. On z kolei próbował zdusić w sobie wspomnienie bardzo zmysłowego poranka ze swoją żoną.

– No, a jutrzejszy poniedziałek będzie zaiste grobowy.

Freddy spojrzął na koleżankę i po chwili namysłu uśmiechnął się nieznacznie. Rzeczywiście, jutro jest pierwszy listopada.

– Święto wszystko trupów.

– Można i tak to ująć.

Ziewnęli, zapalili po papierosie, a potem z wielkim trudem opuścili samochód i ruszyli ku wejściu do szarego ponurego budynku. Akurat mostem kolejowym przejeżdżał pociąg, zakłócając senną ciszą spowijającą miasto.

Po dwudziestu minutach znaleźli się w gabinecie ordynatora oddziału kardiochirurgii; nikt inny z kierownictwa szpitala nie był wówczas dostępny. Przywitali się ze szczupłym pięćdziesięciolatkiem o arystokratycznych rysach twarzy. Był opalony, promieniał zdrowiem. Biła od niego wielka pewność siebie. Spojrzął na nich uważnie, odkładając jednocześnie wieczne pióro do kieszonki fartucha.

– W czwartek wieczorem dostaliśmy telefon od waszego pracownika – powiedziała Dagmara. – Bardzo niepokojący.

– Doprawdy? – Ordynator zmarszczył brwi. – Od jakiego pracownika?

– Nie pyta pan jakiej treści był to telefon? – zdziwił się Kruger, kładąc swoją brązową torbę na podłodze.

Ordynator przemilczał zaczepkę. Ułożył dłonie w piramidkę.

– Proszę przejść do rzeczy – powiedział sucho.

Dagmara zerknęła na Freddy'ego. Ten skinął jej głową i wbił wzrok w ordynatora.

– Otóż ta osoba przyłapała waszego pracownika... na... – urwał, po czym chrząknął dwa razy, zakrywając dłonią usta – ...na masturbowaniu się przy zmarłym. W kostnicy.

Oczy ordynatora zwięzły się.

– W naszym szpitalu? – zapytał groźnie.

– Przypuszczamy, że tak, w waszym szpitalu.

– Przypuszczacie? Więc to nie jest potwierdzona informacja?

– Czy coś panu o tym wiadomo?

Ordynator pokręcił głową.

– Nie – odparł i przysunął do siebie szklanek z parującą kawę. Wrzucił do niej trzy kostki cukru. – Ktoś zapewne zrobił głupi dowcip – powiedział. – Takie rzeczy nie mają miejsca w moim szpitalu.

Zamieszał kawę, pobrzękując srebrną łyżeczką.

– To podejrzenie obraża mnie jako jednego z szefów naszej znakomitej placówki – dopowiedział, po czym upił parę łyków. Wytarł usta i obrzucił ich nieprzyjemnym wzrokiem.

Ty opalony złamasie – pomyślała Dagmara.

– Czy ktoś wcześniej meldował panu o podobnym zdarzeniu?

– Niby jakim?

– Związanym z nekrofilia – rzucił Kruger szorstko i zrobił krok do przodu. – Czy ktoś kiedyś donosił panu o tym, że któryś z pracowników dopuszczał się bezczeszczenia zwłok na terenie waszego szpitala?

Rozpiął kurtkę i wyjął z brązowej torby zeszyt. Przekartkował go. Ordynator przyglądał się uważnie jego ruchom. Kruger zatrzymał się na jednej ze stron i przymrużył oczy. Robił wrażenie kogoś, kto znalazł ważny zapisek i zaraz zrobi z niego użytek.

– Nie – padła odpowiedź.

– Doprawdy?

Lekarz zagryzł wargi. Dagmara spojrzała na kolegę i uśmiechnęła się nieznacznie.

– Co to za podchody, panie poruczniku? Zaczyna mnie to drażnić.

– Żadne podchody. Po prostu zadaję pytania, a pan odpowiada na nie bardzo niechętnie, wręcz nieszczerze.

– Nieszczerze?

– Tak właśnie. Osoba, która do nas dzwoniła, powiedziała, że nie zgłosi tego panu, bo i tak pan jej nie uwierzy.

Ordynator oparł się o zagłówek fotela, splótł dłonie i położył je na piersi. Widać było, że bije się z myślami. Kruger podszedł do niego i nachylił się nad biurkiem.

– Pracujemy na zabójstwem małej dziewczynki, która została pokrojona przez jakiegoś cholernego nekrofila – jego głos był teraz poważny, głęboki i przejmujący.

– Sprawdzamy każdy trop. Facet może znowu zaatakować, zabić. W waszym szpitalu pracuje człowiek o tego typu skrzywieniu, musimy go namierzyć. Przykro mi to mówić, ale utrudnia pan śledztwo. Będę musiał zameldować o tym komendantowi, a ten...

Ordynator pokręcił głową.

– Ale przecież... – urwał, westchnął i spojrzał w bok.

– Co przecież?

– To jest jakaś bzdura, panie!

– Co jest bzdurą?

Ordynator zaczął zamazywać gestykulować dłońmi. Jego przystojna szczupła twarz nabrała rumieńców, na czole pojawiły się krople potu.

– Żeby pan Antek takie rzeczy robił! – powiedział, podnosząc głos. – Jaki nekrofil, jaki zabójca!? To dobry człowiek, świetny fachowiec. Jej się coś przywidziało!

Śledczy spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Imię i nazwisko tej pani – rzuciła Dagmara stanowczym głosem.

Ordynator zerknął na nią spłoszony.

– Nie pamiętam, to praktykantka – odezwał się. – Iza, zdaje się, ma na imię. Proszę zapytać w sekretariacie. Pani Stenia da wam na nią namiary.

– Dobrze. Co dokładnie panu zgłosiła? I kiedy?

Ordynator sapnął gniewnie.

– Jakiś miesiąc temu powiedziała, że przechodząc obok kostnicy, zobaczyła, jak pan Antek... – chrząknął – ...za przeproszeniem kopuluje z nieboszczykiem.

– Jak pan na to zareagował?

– A jak miałem zareagować? – oburzył się. – Powiedziałem, żeby nie opowiadała bzdur. Że nie godzi się mówić w ten sposób o porządnych ludziach. – Spojrzał na nich. – Bo to bzdury, szanowni państwo – powiedział z naciskiem, poruszając się nerwowo na fotelu. – Pan Antek to dobry człowiek, sprawdzona firma. Nie pije, nie pali, jest słowny, pracowity. Przyjeliśmy go do pracy z polecenia mojego starego przyjaciela. – Podniósł palec w górę. – Księdza zresztą – oznajmił. – Księdza proboszcza ze Śremu.

Sięgnął drżącą ręką po szklankę. Wypił parę łyków.

– Co się porobiło z tymi młodymi? Do kościoła nie chodzą, oglądają jakieś niemoralne filmy w kinach, obmawiają innych. – Popukał się po czole. – Jak można pana Antka o takie rzeczy oskarżać? Już ja tej Izie dam popalić!

– Nie radzę – rzuciła Dagmara.

Ordynator podniósł zdumiony brwi.

– Że co proszę?

Dagmara wbrew własnej woli uśmiechnęła się do niego.

– Nie radzę tego robić, zanim nie sprawdzimy zgłoszenia. Być może to wcale nie

jest pomówienie.

– Ależ...

Kruger przerwał mu gestem dłoni.

– Kim jest ten pan Antoni? – zapytał.

– To nasz „złota rączka”. Pracownik techniczny. Nieoceniony fachowiec. Naprawia wszystko, co się zepsuje. Jak trzeba, to przykręci śrubkę, pomaluje ścianę, załatwi pomoc przy trudniejszych awariach. To prawdziwy...

– Rozmawiał pan z nim na temat tych oskarżeń?

– Nie.

– Nie?

– No mówię, że nie. Uznałem to za bzdury i zakazałem donosić dyrekcji.

– Całkowicie pan to zignorował?

– Nie dałem wiary pomówieniom. Koniec kropka.

– Jest dzisiaj w pracy?

– Przyjdzie na nocną zmianę.

– Na którą godzinę?

– Na dwudziestą drugą.

Kruger skinął głową i zerknął na Dagmarę.

– Na dwudziestą drugą – powtórzył. Spojrzał do notesu i zagadnął: – A czy był w piątek w pracy?

– Nie mam pojęcia, w piątek byłem bardzo zajęty – rzucił zirytowany ordynator. Spojrzał na zegarek i zapytał opryskliwie: – W czymś jeszcze mogę państwu pomóc?

– Tak, w jednym.

– To znaczy?

– Proszę nam nie przeszkadzać w pracy – odpowiedział Kruger uprzejmie, ale stanowczo.

Ordynator poczerwieniał.

– Co ma pan na myśli? – wysapał.

– Proszę nie informować pana Antoniego, że pytaliśmy o niego. Proszę w ogóle

nie powiadamiać go o niczym. Dobrze?

– Dobrze.

– Zjawimy się tutaj wieczorem przed...

Porucznik nie zdążył dokończyć zdania. Nagle do gabinetu ktoś zapukał, w progu stanęła wystraszona pielęgniarka.

– Panie ordynatorze, mamy problem!

Ordynator wyprostował się i wbił wzrok w podwładną.

– Co się dzieje?

– Nie wiem, na sali operacyjnej jest jakiś problem. Doktor Matuszewski prosił, żebym pana zawołała.

Lekarz wstał z fotela.

– Już idę – rzucił, przeprosił milicjantów, sugerując, żeby o resztę dopytali panią Stenię, czyli jego sekretarkę, i pospiesznie wyszedł z gabinetu.

Pani Stenia, korpulentna i sympatyczna czterdziestolatka, dała im adres Antoniego Łazarskiego, który mieszkał na Starym Rynku, na ulicy Wodnej, oraz Izabeli Kiełczyńskiej, stażystki, mieszkującej u cioci na Ratajach, na osiedlu Piastowskim.

– Bardzo dobra dziewczyna – dodała, poprawiając swoją świeżą fryzurę podpatrzoną w jakimś zachodnim żurnalu. – Solidna, słowna, uczynna. Prawdziwa poznaniara, choć przyjechała z Warszawy. Będzie świetnym lekarzem.

Ta niespodziewana charakterystyka zainteresowała milicjantów.

– Można na niej polegać? – zapytała Dagmara.

– Oczywiście.

– Mówiła coś pani o innych pracownikach?

– Ale co?

– Tak w ogóle.

– Nie przypominam sobie. To dyskretna dziewczyna. Zazwyczaj rozmawiam z nią o pogodzie i ciuszkach.

– Rozumiem.

Sekretarka spojrzała na nich z ciekawością, ale powstrzymała się od pytań. Najwyraźniej była lojalnym pracownikiem, który stroni od plotek i ich nie roznosi. Przynajmniej w rozmowach z obcymi. Dagmara obserwowała ją z szacunkiem.

– Podobno pan Antoni to dobry fachowiec – rzucił Kruger, czekając na reakcję kobiety. Miał nadzieję, że to zachęci ją do dłuższej wypowiedzi wzmocnionej jakimiś dodatkowymi informacjami. Uśmiechnął się do niej zachęcająco. Niestety,

odpowieź była lakoniczna:

– Tak, to prawda. Zna się na wszystkim, no i jest bardzo miły – sekretarka uśmiechnęła się i spojrzała na swoje czerwone paznokcie.

– Czy pan Antoni był w pracy w piątek?

Sekretarka pokręciła głową.

– Nie.

– Nie – powtórzył jako echo Kruger i zerknął na koleżankę. Ta odpowiedź wydała im się interesująca.

– Nie. Zadzwoił w piątek po południu i powiedział, że miał włamanie do mieszkania.

Wbili w nią wzrok.

– Jak to? – zapytała Dagmara.

– Mówił, że jak wrócił po czwartkowej nocce, stwierdził, że ktoś mu się włamał do mieszkania i okradł – odpowiedziała sekretarka. – W związku z tym poprosił o wolne. – Kobieta poruszyła się na krześle i dodała: – Znajoma mi mówiła, że w tamtej okolicy ostatnio była cała seria włamań.

– Ciekawe – zareagował Freddy.

– Straszne czasy – skwitowała sekretarka. – Ludzie wariują ostatnio.

– A wczoraj?

– Co wczoraj?

– Czy był w pracy?

– Miał wolne. Ale takie normalne wolne.

– Aha.

Gdy zadzwonił telefon i pani Stenia chwyciła energicznie słuchawkę, śledczy skinęli głowami i wyszli na korytarz, po którym maszerowała różnym krokiem grupka mężczyzn w białych kitlach. Pięć minut później siedzieli w samochodzie, palili papierosy i w milczeniu przyglądali się sennej scenerii Jezyc.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegli dwóch wysokich nastolatków ubranych w skóry, kolorowe spodnie i glany. Szli chwiejnym krokiem w kierunku wiaduktu.

Na głowach mieli charakterystyczne punkowe irokezy. W dłoniach trzymali butelki, zapewne taniego wina owocowego.

– Dyskretna i wiarygodna – przerwał nagle ciszę Kruger.

– Kto? – zapytała Dagmara i wypuściła kłęb dymu, próbując z całkiem niezłym skutkiem sformować z niego kóleczo.

– Ta stażystka, Iza.

Dagmara zgasła papierosa i zamknęła z trzaskiem drzwi.

– To dobrze świadczy o jej opowieści – spojrzała na Freddy’ego. – Może to nasz klient?

– Może – odparł Kruger obojętnym głosem i wgniół niedopałek w popielniczkę. Po czym zamknął drzwi ze swojej strony i przekręcił kluczyk.

Dagmara lekko się zirytowała brakiem entuzjazmu kolegi. Czasami ta jego powściągliwość w wyrażaniu emocji szczerze ją wkurzała. „Życie to są emocje, moja kochana” – mawiała do niej matka i akurat w tym się z nią zgadzała w stu procentach.

Porucznik wzruszył ramionami i wjechał samochodem na ulicę. Zmienił bieg, dodał gazu i ruszył dynamicznie wzdłuż Poznańskiej.

– Trupojebca pieprzony – rzuciła Dagmara, zapinając pasy.

Dwadzieścia minut później znaleźli się na Osiedlu Piastowskim. Weszli do bloku usytuowanego nieopodal ronda Rataje i wdrapali się na czwarte piętro. Otworzyła im niewysoka szczupła dziewczyna o krótkich rudych włosach. Była ubrana w obcisły niebieski golf i czarną spódnicę do połowy ud. W dłoniach trzymała książkę obłożoną pośliską gazetą. Kiedy wyjaśnili cel wizyty, Kiełczyńska zaprosiła ich do środka i pokierowała do kuchni.

– To było w czwartek wieczorem, przed północą – mówiła, kiedy postawiła na stole trzy kubki herbaty i wyłożyła na talerzyku ciasteczka. – Zjechałam windą do podziemi, gdzie mieści się między innymi kostnica. Miałam zanieść do laboratorium próbkę krwi. Idąc wzdłuż korytarza, zobaczyłam, że drzwi od kostnicy są uchylone. Podeszłam, żeby je domknąć. Gdy dotknęłam ręką klamki, usłyszałam jakieś dziwne odgłosy. Wszędzie panowały bezruch i cisza, więc te odgłosy były... bardzo

wyraziste, no i w gruncie rzeczy... – urwała, spoglądając na milicjantów – ... zaskakujące. O tej porze nikogo tam raczej nie ma.

Patrzyli na nią z coraz większym zainteresowaniem.

– Takie kląskanie jak podczas... – chrząknęła zakłopotana – ...jak podczas stosunku seksualnego. To skojarzenie nasunęło mi się niemal od razu, więc zamarłam, bo coś sobie przypomniałam. Cofnęłam rękę, nabrałam powietrza i zerknęłam przez szczelinę.

Kiełczyńska się zaczerwieniła. Chwyciła ciasteczko i ugryzła je.

– Przy szufladzie, w której leżało jakieś ciało, stał pan Antoni. Nie pamiętam, jak się nazywa. Widziałam go od tyłu, trochę z boku. – Upiła łyk herbaty, po czym dotknęła ust. – Facet miał opuszczone spodnie... masturbował się, głośno dysząc i coś mamrocząc pod nosem. W pewnym momencie zaczął kląć. Przybliżył się jeszcze bardziej do szuflady i... – przełknęła ślinę – i najwyraźniej eksplodował.

Spojrzała na Dagmarę, a potem na Krugera. Była poruszona, jej piersi falowały niespokojnie.

– Myślałam, że się porzygam – podjęła. – Gdy oprzytomniałam, ruszyłam pospiesznie w stronę windy. Serce mi biło jak oszalałe. Myślałam, że znalazłam się w jakimś horrorze. Ciemny, wąski korytarz, brzęcząca jarzeniówka, no i... Wróciłam do siebie i po namyśle zadzwoniłam do was. Musiałam to z siebie wyrzucić. Potem zgłosiłam swojej przełożonej, że źle się czuję, i pojechałam do domu.

– To było ciało kobiety czy mężczyzny? – zapytał Kruger.

– Kobiety.

– W jakim wieku mogła być ta kobieta?

– W jakim wieku? – zdziwiła się Kiełczyńska.

– To ważne.

– Nie pamiętam. Nie wiem. Nie widziałam dokładnie.

– Nie powiedziała pani przełożonej o tym incydencie w kostnicy? – zagadnął Kruger.

– Nie – pokiwała energicznie głową. – Swoją drogą, ciekawe określenie na coś takiego: „incydent” – dodała, po czym zamilkła i przez dłuższą chwilę przyglądała się budzikowi, który stał na stole pod ścianą.

Kruger zerknął na Dagmarę, która wysunęła brodę w stronę Kiełczyńskiej.

– Nie należało tego zgłosić przełożonym? – zapytała uprzejmie, bez cienia wyrzutu.

Westchnienie.

– Należało, oczywiście, że ma pani rację! – odpowiedziała Kiełczyńska, podnosząc głos. – Tak właśnie zrobiłam za pierwszym razem.

– Za pierwszym razem? – zapytał Kruger.

– Tak. Pod koniec września wydarzyło się coś podobnego. Szłam około północy do laboratorium, już nie pamiętam po co. Przechodząc obok kostnicy, usłyszałam podobne odgłosy. Drzwi były uchylone, ale bardzo lekko, więc żeby przekonać się, co się tam dzieje, musiałam je otworzyć. Byłam pewna, że to normalna sytuacja. Ktoś przyszedł coś sprawdzić, coś w ten deseń. Otworzyłam więc drzwi i ku swojego osłupieniu zobaczyłam, jak...

Kiełczyńska urwała i pokręciła głową. Wbiła wzrok w swoje ręce. Dotknęła kolczyka w prawym uchu.

– ...jak pan Antoni kopuluje z nagim ciałem ułożonym w szufladzie – dokończyła zdanie. – Był tak skupiony na tym, co robił, że nie zauważył mojej obecności. Ledwo powstrzymałam się od krzyku. Uciekłam stamtąd czym prędzej. Traf chciał, że natknęłam się na ordynatora kardiochirurgii. Powiedziałam mu, co zobaczyłam, a on zmierzył mnie surowym wzrokiem, jakby chciał skarcić, że opowiadam głupoty. „Zaraz tam kogoś wyśle” – burknął i poszedł sobie. Na drugi dzień wezwał mnie do siebie i opieprzył, że źle mówię o świetnych pracownikach. Dał mi do zrozumienia, że jak wrócę do tematu, to wylecę z praktyk. Więcej więc o tym nie mówiłam i starałam się omijać to upiorne podziemie szerokim łukiem.

Powiedziawszy to, wstała od stołu, podeszła do półki i sięgnęła po paczkę papierosów, która tkwiła w blaszanym pudełku po angielskich biszkoptach. Spojrzała pytająco na milicjantów, ale ci pokręcili przecząco głowami. Zapaliła więc

sama i zaciągnęła się mocno. Przysunęła do siebie drewnianą popielniczkę, do której strzepnęła popiół, i odezwała się:

– No więc dlatego nikomu o tym teraz nie powiedziałam. Prawdę mówiąc, nie dziwię się tak bardzo ordynatorowi. Pan Antoni to bardzo miły, uczynny człowiek. Widziałam go kiedyś na mieście z wnukami. Pięknie się nimi zajmował. Po paru dniach pomyślałam sobie, że może miałam jakieś omamy albo że po prostu źle rozumiałam, co zobaczyłam. Przyznam, że nie mogłam uwierzyć, że pan Antoni zrobił coś tak... wynaturzonego.

Kruger się poruszył.

– Powiedziała pani, że coś sobie przypomniała – wtedy w czwartek, kiedy podeszła pani do uchylonych drzwi. Rozumiem, że chodziło właśnie o ten wcześniejszy...

– ...incydent – dopowiedziała Kiełczyńska nie bez pewnej złośliwości. – Tak. W związku z tym byłam przestraszona, ale i strasznie ciekawa, czy znowu zobaczę to samo. Ja byłam naprawdę gotowa uwierzyć, że miałam omamy.

– Rozumiem.

– Gdy wróciłam do swojego pokoju, biłam się z myślami, co powinnam zrobić. W końcu chwyciłam za słuchawkę i zadzwoniłam do was. Przecież to nie może dalej trwać! – Kiełczyńska uniosła się. – Cholera jasna! Nekrofilia to przestępstwo! Ale gdy wykrztusiłam ze dwa zdania, przestraszyłam się, że będę miała kłopoty... dlatego przerwałam połączenie. Stchórzyłam. Jak mnie namierzyliscie?

Dagmara uśmiechnęła się i spojrzała na Freddy'ego, który zignorował to pytanie. Upił parę łyków herbaty i zapytał:

– Mówiła pani o tym komuś?

– Nie.

– A czy ktoś mówił pani o podobnych zdarzeniach?

– Nie.

– Rozumiem, że nie rozmawiała pani o nich z panem Antonim.

– A skąd! Nie chcę na niego patrzeć!

Kruger skinął głową i zerknął na koleżankę.

– To chyba wszystko.

– Aresztujecie go? – zapytał Kiełczyńska.

Dagmara uśmiechnęła się do niej.

– Zrobimy, co w naszej mocy – powiedziała. – I proszę się nie bać ordynatora. Bardzo dobrze pani zrobiła. – Położyła ręce na kolanach i westchnęła teatralnie. – Tak to już niestety jest, że faceci czasami zbywają kobiety, gdy te mają rację. Smutne, ale prawdziwe.

Kiełczyńska spojrzała na nią z wdzięcznością.

– No właśnie – rzuciła, wgniatając wypalonego papierosa w dno popielniczki. – Kobiety to wariatki przecież, histeryczki.

– Nie czuję się właściwym adresatem tego oskarżenia, Zbój – Kruger odezwał się urażonym głosem.

Dagmara poklepała go po ramieniu.

– Tak się tylko drocę, Freddy – powiedziała. – Jesteś szlachetny jak sam kapitan Żbik, wszyscy o tym wiedzą.

Śledczy wymienili się uśmiechami, wstali, zapewnili Kiełczyńską, że sprawa zakończy się, jak należy, i nie powinna się obawiać żadnych złych konsekwencji swojej dzielnej postawy, po czym opuścili jej mieszkanie.

– A teraz na obiad – zaordynowała Dagmara.

– O tak – zgodził się Kruger. – Musimy się posilić przed wieczorną akcją.

– Zastawiamy w szpitalu pułapkę na trupojebcę?

– Bingo!

– Oby dzisiaj poczuł chętkę na seks.

– Oby.

Kruger zapalił silnik i ruszył z piskiem opon spod bloku ku niezadowoleniu starszej pary, która majestatycznie kroczyła przed siebie najpewniej na mszę świętą do pobliskiego kościoła.

Z nabożeństwa wrócił bardzo poruszony. Proboszcz nazwał go – co prawda nieświadomie, ale jednak! – mordercą, dzieckiem diabła, kimś, kto zapowiada „czas degrengolady moralnej”. Gdy wsłuchiwał się w gromki głos duchownego, który z każdym zdaniem nakręcał się coraz bardziej, przechodziły go dreszcze. W pewnym momencie poczuł ścisk w żołądku i zebrało mu się na wymioty. Ledwo udało mu się powstrzymać. W trakcie gniewnego kazania przeniósł się myślami do Żurawińca i przypatrywał się sobie stojącemu nad martwą dziewczynką.

Ja nie jestem mordercą, ja przecież tylko... – załkał w środku i pociągnął głośno nosem. Ja przecież tylko – zamknął oczy i przypomniał sobie, jak wyjął z wewnętrznej kieszeni nóż, swoją doskonale naostrzoną Osełkę, spadek po świętej pamięci ojcu, i zaczął wycinać ukochane fragmenty kobiecego ciała. Miał wrażenie, że dotyka miękkiego ciepłego jeszcze ciała. Spojrzał na swoje ręce. Zadrzał. Z podniecenia, ale i z przerażenia. Poczuł erekcję. W tym samym momencie proboszcz mówił z wielką pasją o piekielnych ogniach.

Będę potępiony – pomyślał i spuścił głowę. Pójdę się smażyć do piekła. Czuł autentyczne przerażenie.

W końcu ksiądz zakończył homilię i przeszedł do wyznania wiary, a on sam próbował całkowicie oddać się modlitwie. Przypomniał sobie świętej pamięci prababcie Matyldę, która mówiła, że tylko w modlitwie można znaleźć ukojenie duszy. Zazwyczaj to się sprawdzało, ale niestety nie dzisiaj.

Gdy wrócił do domu, zwymiotował, przebrał się w dresy i wziął środki uspokajające. Potem nastawił budzik na osiemnastą i położył się do łóżka; na

dwudziestą drugą musiał iść do pracy.

Przez jakiś czas wpatrywał się w sufit, czując przepływające przez jego ciało fale gorąca. W końcu zamknął powieki i odpłynął w głąb podświadomości. W którymś momencie przeniósł się na naramowicki cmentarz. Oparł rower o płot, a potem usiadł na ławce. Położył ręce na kolana, wystawił twarz do słońca. Było południe. Zamknął oczy. Przez chwilę trwał w bezruchu. Było mu bardzo dobrze, niczego nie czuł, niczego nie pożywał.

– Proszę pana, proszę pana! – To był dziewczęcy głos.

Otworzył oczy. Na widok dziewczynki zatkało mu dech.

– Co ty tu robisz? – wydukał.

– A dlaczego pan pyta? – zapytała dziewczynka, przyglądając mu się z wielką powagą.

– Przecież ty jesteś Martynka, prawda?

– To prawda – przytaknęła grzecznie.

– No właśnie, przecież... ty nie żyjesz.

– To prawda, nie żyję.

– To jak to jest możliwe, że teraz stoisz przede mną i wydajesz się żywa?

Dziewczynka podniosła ręce w geście bezradności.

– Nie wiem.

– Nie rozumiem tego zupełnie – wydukał i pokręcił głową zdezorientowany. – Lepiej idź sobie stąd – wymamrotał pod nosem.

Na chwilę zapadła cisza. Dziewczynka przyglądała mu się w bezruchu.

– Chciałam o coś pana zapytać – odezwała się w końcu, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

Zdziwił się.

– Mnie?

– Tak.

– O co?

– O coś bardzo ważnego.

Westchnął.

– No to pytaj – powiedział, czując, że podnosi mu się ciśnienie.

Dziewczyna poprawiła ręką jasną grzywkę i wbiła w niego wzrok. Jej spojrzenie było bardzo poważne. Nie spieszyła się z pytaniem.

Przyglądał się jej oczom i widział w nich niedowierzanie pomieszane z błaganiami.

– Dlaczego pan mnie zabił, proszę pana? – usłyszał.

Coś go ukłuło w piersiach.

– Dlaczego pan mnie zamordował? – pytała, podnosząc głos. – Co ja panu zrobiłam? W jaki sposób na to zasłużyłam?

Zamachał rękami, jakby chciał ją odpędzić od siebie. Ale ona cały czas stała w miejscu i spoglądała na niego coraz bardziej wilgotnymi oczami. Gdy na jej twarzy dostrzegł łzy, odezwał się markotnie, jakby nie wierząc w prawdziwość swoich słów:

– Ale przecież ja ciebie nie zabiłem, głupia!

– Jak to nie? – zaszlochała. – Przecież wszyscy mówią, że pan mnie zabił, a potem pokroił! Jak pan mógł to zrobić? Przecież to potworne. Zabić i pokroić niewinną dziewczynkę!

Pod naporem tych słów spuścił głowę i zatkał uszy. Chciał się zapaść pod ziemię. Dziewczynka nie dawała za wygraną.

– Czy pan wie, że to był dzień moich urodzin? Dwunastych urodzin? Jaki człowiek zabija dziecko w dniu jego urodzin?! – mówiła coraz głośniejszym głosem. – Czy pan wie, co teraz czują moi rodzice? Pan zabił także ich. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Popełnił trzykrotnie grzech śmiertelny. Zabił pan całą naszą trójkę! Całą naszą rodzinę!

Ostatnie zdanie wykrzyczała. Zamilkła raptownie i spojrzała na niego, ciężko dysząc. Z przestraszonej dziewczynki zamieniła się we wściekłą nastolatkę.

– Pójdzie się pan smażyć do piekła! – ryknęła i rzuciła się na niego z pięściami.

Poderwał się wtedy z ławki, chwycił ją za szyję i przygniótł do ziemi.

– Ty diablico! – warknął i zaczął ją dusić.

Ku jego zdumieniu stawiała zaciekle opór jak dorosły silny człowiek. Wiła się, szarpała, próbowała podrywać z ziemi. Zirytowany tym faktem wyjął Osełkę i zaczął zadawać ciosy z coraz większą furią. W końcu całkowicie zatracił się w tym morderczym dźganiu.

Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy usłyszał milicyjne syreny. Znieruchomiał. Spojrzał na zmasakrowane ciało leżące w kałuży krwi. Spojrzał na ręce, były zakrwawione. Coś go ścisnęło w żołądku.

– Co ja zrobiłem? – wymamrotał.

Odgłos syren stawał się coraz bardziej intensywny. Gdy poczuł ból w bębenkach, otworzył oczy.

Był u siebie w domu. Westchnął. Budzik wydawał z siebie nieprzyjemny dźwięk. Nie cierpiał go. To znowu tylko sen. Leżał w łóżku, ciężko oddychając. Po chwili uzmysłowił sobie, że jest podniecony. Dotknął ręką penisa, który był sztywny i twardy.

Myślami przeniósł się do przeszłości. Do pokoju w rodzinnym domu, gdzie w łóżku leżała odświętnie ubrana martwa Joasia. Wpatrywał się w nią jak w prześliczny malowany obraz. Teraz była spokojna, cicha. Można było bez przeszkód cieszyć się jej obecnością.

Gdy rodzice wyszli z domu coś załatwić w jakimś urzędzie, zbliżył się do Joasi i pocałował ją. Najpierw w policzek, potem w usta. Potem w szyję.

Cudowne było to, że nie stawiała oporu!

Poczuł, że opanowuje go uczucie rozkoszy. Jakież głosy podszeptowały mu różne nieprzyzwoite czynności. Zrób to! Zrób to wreszcie! Zobacz, jaka ona jest piękna! Zrób to, zanim ją zakopią!

W końcu uległ.

Zapamiętał dobrze ten moment, jeden z najważniejszych w jego życiu. Rozpiął jej białą koszulę i przyłożył rozanieloną twarz do dużych pełnych piersi ukrytych w czarnym biustonoszu. Po chwili drżącą ręką obnażył jedną z nich i zaczął ją całować. Wtedy poczuł, że jest szczęśliwy. Arcyszczęśliwy.

Doszedłszy, wrócił do rzeczywistości. Wytrzeł ręce w prześcieradło, wstał, wyszedł na korytarz i udał się do kuchni. Gdy postawił czajnik na gazie, przypomniał sobie sen sprzed paru dni, w którym stanął przed grobem młodej dziewczyny o imieniu Wioletta. Wsłuchując się w szum gotowanej wody, uzmysłowił sobie, że ten grób widział naprawdę w czasie spaceru. Dzień albo dwa przed tym snem.

– To jest znak – szepnął. – To jest znak opatrności.

Major Bielski, naczelnik Wydziału Zabójstw, zadzwonił na prośbę Krugera, który znalazł go na terenie Olimpii, do szpitala im. Raszei i uzyskał zgodę kierownictwa na współpracę z jego ludźmi planującymi zastawić pułapkę na Łazarskiego.

Plan był prosty. „Prosty jak budowa cepa” – stwierdził Bielski, popijając kawę, ale jednocześnie dodał, że może zadziałać.

„Zabójcza trójka” przybędzie do szpitala około dwudziestej i przebrawszy się w ubrania personelu szpitalnego zacznie przygotowania do akcji, czyli przede wszystkim zrobi dyskretnie rozpoznane budynku, a potem zainstaluje się w pomieszczeniu gospodarczym ulokowanym naprzeciwko kostnicy, żeby w odpowiednim momencie zaskoczyć klienta na gorącym uczynku. Parę minut po dwudziestej drugiej ordynator wezwie do siebie Łazarskiego i zleci mu jakąś naprawę w kostnicy. Ordynator został poproszony, żeby w rozmowę wplótł wzmiankę o nowych zwłokach młodej kobiety – „tak na zachętę”. Plan, rzecz jasna zakładał, że mężczyzna tej nocy poczuje potrzebę kontaktu seksualnego ze zwłokami.

– Kto wie, może ma teraz chciwę? – zastanawiała się Dagmara przy obiedzie, przy którym omawiali szczegóły akcji. – Zrobił to w czwartek, potem zaatakował w piątek... Może więc jest w jakimś seksualnym cugu i połakomi się dzisiaj na świeże martwe ciało?

– Może. – Kruger wzruszył ramionami. Ustalili, że nawet jeśli tej nocy do niczego nie dojdzie, do obserwacji Łazarskiego zostanie oddelegowany specjalny zespół.

– Czy według was Łazarski to nasz klient? – zapytał Bielski, kiedy Kruger

zakończył raport.

Odpowiedzią było wzruszenie ramion i lakoniczna formuła, do której porucznik czuł słabość:

– Okaże się. Trzeba sprawdzić.

Major skinął głową.

– Wczoraj rozmawiałem z seksuologiem, Leszkiem Glapińskim. Mówił mi, że sprawca to całkowicie zdegenerowany typ o bardzo nieprzyjemnej powierzchowności. Według niego to wysoki gruby facet.

– Lombrozjański typ?

– Tak twierdzi.

– Może, a może nie – odpowiedział po swojemu Kruger.

Naczelnik wzruszył ramionami, uścisnął podwładnemu dłoń i skierował się do sali, w której za chwilę miał się rozegrać mecz towarzyski poznańskich koszykarek ze szczecińską drużyną.

Gdy nadeszła dwudziesta, śledczy przyjechali do szpitala, założyli białe kitle, które wręczyła im wtajemniczona w sprawę pielęgniarka, trzydziestoletnia ładna brunetka z pieprzykiem nad ustami, i zanurzyli się w plątaninie korytarzy.

Zjechawszy do podziemi, stwierdzili, że Kiełczyńska miała rację. Panowała tu atmosfera rodem z horrorów, co komentowali przez dobry kwadrans. Cisza przerywana przez brzęczenie starych jarzeniówek oraz sporadyczne dziwne stukoty, całkowity brak ludzi, kręte korytarze prowadzące nie wiadomo gdzie, szarobure nieprzyjemne ściany, dziwny zapach. Kruger przypomniał sobie *Lśnienie* z Jackiem Nicholsonem w roli głównej, swoim ulubionym aktorem, i przez chwilę poczuł ciarki na plecach, o czym, oczywiście, nie powiedział swoim towarzyszom.

– Tutaj mogliby nakręcić *Kobrę* – rzucił Harry, omiatając ciekawym wzrokiem przestrzeń i gwizdząc jednocześnie melodię z jakiegoś amerykańskiego westernu.

Przed dwudziestą drugą uzbrojeni w latarki weszli do niezwykle zagraconego pomieszczenia gospodarczego, gdzie mieli zacząć się na nekrofila. Usiedli na dziurawych krzesłach, wypili po łyku whisky z piersiówki Harry'ego, po czym zgasili światło. Czekali.

Ciemność nadgryzało mdłe światło przedostające się przez szczelinę pod drzwiami.

Czekali i nasłuchiwali w narastającym napięciu. Dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut. Ale nic się nie działo. Nikt nie schodził do podziemi. Całkowity bezruch.

Gdy minęło czterdzieści parę minut, zniecierpliwiona Dagmara zapaliła latarkę.

– A może ordynator uprzedził Łazarskiego? – zapytała.

Kruger pokręcił głową.

– To niemożliwe, Bielski odpowiednio porozmawiał z samym dyrektorem szpitala – odpowiedział ściszym głosem.

Harry sięgnął po piersiówkę i upił parę łyków.

– Cierpliwości – powiedział. – On przecież schodził tutaj około północy. – Oświetlił tarczę zegarka. – A jest dopiero dwudziesta druga czterdzieści.

Dagmara skrzywiła się w odpowiedzi, cierpliwość nie była jej mocną stroną; kolejny element schedy po matce.

Czekali na rozwój wypadków, wsłuchując się w brzęczenie jarzeniówki. Ten dźwięk zdawał się dominować nad przestrzenią. Nagle o jedenastej na korytarzu rozległy się kroki. Śledczy drgnęli i natychmiast się wyprostowali. Każde z nich instynktownie dotknęło przez kitel kabury, w której mieściło się służbowe P-64.

Kroki były głośnie i dynamiczne. Ktoś odważnie maszerował w ich stronę. Nagle zatrzymał się i otworzył drzwi pomieszczenia gospodarczego. Zerwali się gwałtownie, czując, jak po ich ciałach przebiega fala ciepła. Wbili wzrok w postać, która stanęła w progu.

– Halo, jesteście tu? – to był miły kobiecy głos.

To była pielęgniarka, z którą dzisiaj rozmawiali.

– Tak, jesteśmy – odpowiedziała Dagmara.

– Co się dzieje? – zapytał Kruger.

Pielęgniarka uśmiechnęła się, weszła do środka, włączyła światło i spojrzała na nich, na dłużej zatrzymując wzrok na Harrym. Ten przejechał dłonią po czarnych

włosach i uśmiechnął się, pokazując białe zęby.

– No cóż, pan Antoni nie pojawił się w pracy.

– Że co? – zapytała Dagmara, marszcząc brwi.

– Nie wiemy dlaczego.

Spojrzeni po sobie.

– Nie ma w domu telefonu, więc nie można do niego zadzwonić, żeby się zorientować, co się dzieje – odezwała się pielęgniarka, po czym dodała: – Może się spóźni?

– Czy to mu się zdarza? – zapytał Kruger. – Spóźniać się do pracy?

– Raz na jakiś czas.

– Czyli jest nadzieja, że jeszcze się pojawi – stwierdził Harry, który był tego dnia zaskakująco optymistycznie nastawiony do rzeczywistości.

– Jest – potwierdziła pielęgniarka. – Jakiś miesiąc temu spóźnił się na przykład niecałą godzinę. Ale ordynator czuje do niego słabość, więc przymyka na to oko.

Kruger chrząknął.

– No dobrze, posiedzimy tu jeszcze jakąś godzinę, a potem... – powiedział – ... zobaczymy.

Pielęgniarka skinęła głową, pożegnała się i wyszła na korytarz.

– Mówię wam – powiedziała Dagmara. – Ordynator ostrzegł klienta.

Kruger i Harry nie byli przekonani.

Zgasili światło i znowu zatopili się w oczekiwaniu, któremu towarzyszyło wsłuchiwanie się w niez mordowane brzęczenie jarzeniówki. Każde z nich odpłynęło myślami do swoich spraw.

Parę minut po północy, zaraz po tym jak Dagmara, dość już znudzona, mruknęła „godzina duchów”, pojawiła się ponownie pielęgniarka, informując ich, że Łazarski nie pojawił się jednak w pracy.

– Nie wiem, co się stało – powiedziała, rozkładając ręce. – Może zaniemógł nagle? Nie mam pojęcia.

Rozczarowani, ale i zaintrygowani odwołali akcję, po czym wyszli energicznym

krokiem ze szpitala i udali się samochodem Krugera w stronę Starego Rynku. Postanowili zapukać do drzwi podejrzanego i przekonać się, co się dzieje.

Po dziesięciu minutach zaparkowali na Placu Wielkopolskim i ruszyli w kierunku Wodnej, mijając po drodze grupkę pijaczków kłócących się o coś ze wzrastającą wściekłością.

– Spieprzył – oznajmiła wkurzona Dagmara, wbijając ręce w kieszeni. – Mówię wam, spieprzył. Ktoś go uprzedził.

– Zobaczmy – rzucił Kruger i wsunął papierosa do ust.

Harry milczał i rozglądał się wokoło zaciekawionym wzrokiem. Myślał o tej serii włamań do mieszkań na Starym Rynku i zastanawiał się, czy ma to jakiś związek z ich sprawą. Jego instynkt nie pozwalał mu ignorować tego rodzaju zbiegów okoliczności. Sięgnął po piersiówkę i dopił resztkę alkoholu. Pewnie nie – pomyślał i wciągnął głęboko powietrze.

Zaczęło kropić, milicjanci przyspieszyli więc kroku.

Drzwi wejściowe do kamienicy, w której mieszkał Łazarski, skrzypnęły nieprzyjemnie. Weszli do środka i momentalnie poczuli jakąś bliżej nieokreśloną woń. Dagmara wymacała na chłodnej ścianie włącznik, nacisnęła, ale efektem był tylko odgłos przepalanej żarówki. Wydobyli więc z kieszeni latarki, w które się uzbroili przed nieudaną pułapką w szpitalu, i ruszyli po stromych drewnianych schodach.

Gdy byli na pierwszym piętrze, usłyszeli pijackie „sto lat”, adresowane do „Krzysia”, „starego byka”. Na drugim piętrze doszły ich odgłosy awantury domowej. Jakaś kobieta o wysokim i przenikliwym głosie wyrzucała z siebie przekleństwa w tempie karabinu maszynowego. Po wrzaskliwym „spierdalaj, pedale” zamilkła. Na trzecim piętrze panowała względna cisza.

Włączyli światło, podeszli ostrożnie do drzwi opatrzonych numerem siedem i przez chwilę nasłuchiwali. W końcu Kruger zapukał.

Nie było żadnego odzewu.

Dagmara przyłożyła głowę do drzwi.

– Nic – oznajmiła po kilku sekundach intensywnego nasłuchiwania.

– Co robimy? – spojrzała na kolegów.

– Zapukaj jeszcze raz, Zbóju – odezwał się Harry. – Głośniej.

Zapukała, z większym impetem niż Freddy. Oczekali dłuższą chwilę. Z mieszkania nie wydobył się żaden dźwięk.

– Wołamy techników, żeby nam otworzyli? – zagadnął Kruger.

– Nie będziemy im zawracać dupy – burknął Harry i wydobył z kieszeni kurtki

pęk specjalistycznych kluczy, które kiedyś podarował mu przyjaciel z kontrwywiadu w podzięce za pewną ryzykowną przysługę. Przez kilkanaście sekund manipulował przy zamku, aż w końcu coś szcęknęło. Chorąży cmoknął z zadowoleniem, nacisnął klamkę i pchnął lekko drzwi.

Znowu żadnej reakcji. Wyciągnął z kabury broń i przekroczył ostrożnie próg. W środku było ciemno i cicho.

– Panie Łazarski! – zawołał, zapalając światło. – Jest pan w domu?

Odpowiedzią była cisza.

– Jesteśmy z policji, chcieliśmy porozmawiać!

Zrobił parę kroków do przodu, omiatając wzrokiem długi korytarz. Wszystko wyglądało całkiem w porządku. Żadnych śladów jakiegokolwiek zamieszania. Otworzył drzwi, które miał po prawej stronie. To była sypialnia, niewielkie pomieszczenie. Dość zadbane, pomalowane na biało. I zimne. Przez uchylone okno dochodził go powiew wiatru.

– Panie Łazarski?

Łóżko było zaścielone. Nic nie zwróciło jego uwagi.

– Masz coś? – to był Freddy, który zajrzał do wnętrza.

– Nic.

Wyszli na korytarz i zobaczyli Dagmarę. Trzymając w dłoniach broń, ostrożnie stawiała kroki. Zerknęła na nich, skinęła głową i otworzyła drzwi, które miała po lewej stronie. Zlustrowała uważnie wnętrze łazienki.

– Tu też czysto – poinformowała kolegów.

Ruszyli dalej wzdłuż korytarza. Mieszkanie było duże i przestronne. Liczyło trzy pokoje, graciarnię, w której znaleźli sprzęt do wywoływania zdjęć, łazienkę, toaletę oraz kuchnię. Przeszukali pobieżnie wszystkie pomieszczenia. Nigdzie nie było Łazarskiego.

Z kilku zdjęć oprawionych w ramki, które dostrzegli na półkach, wynikało, że jest to wysoki, krzepki sześćdziesięciolatek, siwy, uśmiechnięty, z krótko przystrzyżonym wąsikiem. Towarzyski, rodzinny. Uosobienie łagodności –

pomyślała Dagmara. Dziadzia dobra rada.

Nie znaleźli też nigdzie niczego, co mogłoby zasugerować im coś ciekawego, podrzucić jakąś cenną wskazówkę.

Jedynym wyjątkiem była kuchnia. Na stole obciążonym ceratą w czerwone kropki stała opróżniona do połowy butelka wódki, jeden pusty kieliszek, pusta paczka papierosów oraz drewniana popielniczka z mnóstwem niedopałków, zimnych już.

Stali przez chwilę i przyglądali się w milczeniu tej, jak ją określił w myślach Kruger, „kompozycji”.

– Nie polazł do pracy – odezwał się Dagmara. – Nachlał się wódki i...

– I ruszył w tango? – podsunął Harry, wyciągnął z kieszeni marlboro. Poczęstował koleżeństwo. Zapalili i zaciągnęli się mocno.

– W tango mówisz? – powiedział Kruger i dotknął policzka, który zdążył przez cały dzień i wieczór pokryć się lekką szczeciną. – Chyba jednak nie.

– Dlaczego?

– Pamiętasz, Zbójcu, co mówił ordynator o Łazarskim?

Dagmara się zamyśliła.

– Że solidna firma i że... nie pije chyba...

– Właśnie! Nie pije i nie pali. Facet mocno to podkreślił.

– Więc albo zmyślał, albo się mylił, albo...

– Albo wydarzyło się coś, co wytrąciło gościa z równowagi, i w konsekwencji musiał jakoś ukoić nerwy.

– Może to włamanie go tak poruszyło? – odezwał się Harry po dłuższym namyśle.

– Może – powiedział Kruger. – Trzeba sprawdzić, czy zgłosił zdarzenie. Może ukradziono mu coś bardzo cennego.

– No dobrze, ale dlaczego zniknął? – odezwała się Dagmara. – I gdzie?

Spojrzeli na nią i wzruszyli ramionami, jakby chcieli dać do zrozumienia, że mogą jedynie spekulować.

Nagle Kruger zmarszczył brwi i zajrzał pod krzesło, które stało pomiędzy stołem a warczącą lodówką. W ręku trzymał zmiętą kartkę papieru. Rozwinął ją.

– Przepraszam – powiedział.

– Że co? – zdziwiła się Dagmara.

– Tak jest tu napisane: „Przepraszam”.

– Tylko tyle?

– Tak.

– No to mamy ciekawy rebus – prychnął Harry. – Jak w powieści detektywistycznej. Życie to jednak jest tandeta.

Sięgnął po pusty słoiczek stojący na parapecie, do którego wrzucił niedopałek. Dagmara i Kruger zrobili to samo.

– Jakkolwiek to brzmi – odezwał się Kruger, przybierając swój akademicki ton – tak właśnie wyglądają realia i musimy je podsumować.

– Tak jest, panie psorze.

Porucznik skrzywił się lekko i niezrażony drobną złośliwością mówił dalej:

– W czwartek facet uprawia seks z trupem w kostnicy. Zakładamy, że nie był świadomy, iż ktoś go na tym przyłapał. Wraca do domu w piątek rano. Orientuje się, że ktoś mu się włamał do mieszkania. Póki co nie wiemy, czy i co zostało skradzione. Dzwoni do szpitala i oznajmia, że nie przyjdzie do pracy, tłumacząc się włamaniem.

Kruger zamilkł.

– Mija piątek i sobota – podjęła Dagmara. – Nie wiemy, co robił w te dni. W niedzielę powinien pójść do roboty, ale zamiast tego pije wódkę, zaczyna smarować jakieś przeprosiny, a potem znika.

– Całkiem udane streszczenie – powiedział Harry, szczerząc zęby. – Na piątkę.

– Pytanie jest takie – wtrącił się Kruger. – Czy to wszystko ma związek z naszą sprawą?

– Chłopaki, a może wcale nie było włamania? – powiedziała Dagmara. – Może to tylko pretekst, żeby nie przyść do roboty i zająć się czymś innym, co nagle mu

wyskoczyło i wprawilo w zaniepokojenie?

– Może – rzucił Kruger, na co zachnęła się Dagmara.

– Myślę, że na dzisiaj wyczerpałeś limit użycia tego beznadziejnego słowa – warknęła.

Freddy spojrzał na nią, wyszczerzył zęby i rzucił prowokacyjnie:

– Może.

Zarechotali w trójkę. Harry spojrzał na budzik, który stał na lodówce. Była pierwsza trzydzieści. Ziewnął.

– Mordki moje, dzisiaj już tu nic nie wymyślimy – powiedział. – Spadamy stąd.

– Masz rację – zgodził się Kruger, który również ziewnął, zarażając tym odruchem Dagmarę. – Wracamy na komendę. Trzeba dyżurnemu powiedzieć, żeby przysłał tu jutro jakiegoś technika. Może coś fajnego znajdzie i zabezpieczy.

– Jakiego? – parsknęła Dagmara. – Wszyscy pewnie pojechali na groby. Jutro przecież Święto Zmarłych!

– No tak.

Jak się potem okazało, Dagmara miała rację. Dyżurny powiedział im po powrocie do komendy, że żaden technik nie pójdzie pierwszego listopada na robotę do takiej pierdoły, więc muszą poczekać do wtorku.

Rozejrzeli się jeszcze po mieszkaniu, nie znajdując, niestety, niczego nowego, po czym opuścili je i zaczęli zbiegać po schodach.

Na pierwszym piętrze trwała zabawa na całego. Na korytarzu roznosił się chóralny gromki śpiew. Imprezowicze z wielkim animuszem próbowali naśladować Felicjana Andrzejczaka wykonującego słynną *Jolkę*. Akurat mowa była o autobusie pełnym Arabów.

Godzinę później śledczy siedzieli w jednym z pokoi Wydziału Zabójstw przy rytualnym kielichu „na dobranoc”. Ustalili, że Harry pokręci się jutro po południu w okolicach Wodnej, żeby upewnić się, że Łazarski rzeczywiście zniknął, i zasięgnąć o nim języka u sąsiadów, a Dagmara i Kruger przejdą się wieczorem na naramowicki cmentarz i rozejrzą za podejrzanymi osobnikami. Być może

poszukiwany przez nich nekrofil, kimkolwiek jest, skusi się atmosferą Święta Zmarłych i spróbuje po raz kolejny zaatakować.

– Wypijmy za to – rzucił Harry.

Wypili i w bojowych nastrojach wrócili do swoich mieszkań.

Powoli, ale nieubłaganie zapadała noc. Naramowicki cmentarz oświetlony dziesiątkami świeczek oraz zniczy zaczął przypominać sztuczne zjawisko skonstruowane po to, żeby wywoływać silne wrażenie na widzach. Dagmarze wydawało się, że znalazła się na planie jakiegoś horroru. *Miasteczko Salem* – przypomniała sobie tytuł, który Freddy ostatnio parokrotnie przywołał.

Falujące pod wpływem powiewającego wiatru grobowe światełka pogłębiały odczucie niesamowitości. W jednej chwili uzmysłowiła sobie, że jest tu po to, żeby wypatrzyć grasującego w okolicy nekrofila. Kto wie, może kręci się tu gdzieś obok niej i szuka świeżego grobu? Przeszedł ją lekki dreszcz. A może przeniósł się na inny cmentarz, bojąc się, że po zabójstwie milicja będzie miała oko na Naramowice?

Rozejrzała się, próbując dostrzec Freddy'ego, który mignął jej jakąś godzinę temu na jednej z zatłoczonych alejek. Miał wówczas poważną, zamyśloną minę, w rękach trzymał duży znicz; nikt postronny nie mógłby się zorientować, że jest śledczym na służbie. Ciekawe, czy to kamuflaż, czy ma tu jakiś rodzinny grób.

Zerknęła na zegarek, przed chwilą minęła dwudziesta pierwsza. Było coraz zimniej. Z każdym kwadransiem chłód atakował ją z większym impetem. Miała już dość. Zamarzyła jej się gorąca kąpiel i setka wódki. I dużo snu. W końcu. Od piątku niewiele przecież spała. Narastające zimno wprawiało ją w stan irytacji. Przemarzną! Ogarnęły ją wątpliwości co do sensu tej akcji. Na pewno go tutaj nie ma. To byłoby zbyt proste.

Przyglądając się dyskretnie przechodniom, próbowała wyłowić podejrzanych osobników, choć oczywiście zdawała sobie sprawę, że ich klient może być zupełnie

normalnym człowiekiem – z zewnątrz, oczywiście. Tak naprawdę każdy mężczyzna może okazać się poszukiwanym przez nich nekrofilem i zabójcą. Im zwyczajniejszy facet, tym większy świr – powiedziała jej kiedyś matka. No cóż, było w tym trochę racji.

Jakby na potwierdzenie tego prowokacyjnego aforyzmu pamięć podsunęła jej wizerunek Łazarskiego, pana Antoniego, który cieszył się bardzo dobrą opinią i wyglądał jak człowiek dusza. Ciekawe, czy to on. To musi być on!

Przez chwilę – jakby zaprzeczając swoim myślom – wpatrywała się w niewysokiego mężczyznę, który idąc, kuśtykał na jedną nogę. Był niechlujnie ubrany, na głowie miał czapkę z reniferem i mamrotał coś niespokojnie pod nosem. Ludzie patrzyli na niego z niechęcią i odsuwali się instynktownie.

Przeniosła wzrok na młodą dziewczynę, która ze łzami w oczach wpatrywała się w świeży grób.

– To był moment – ktoś mówił za jej plecami. – Wjechał na główną drogę i wpadł prosto pod rozpędzoną ciężarówkę. Trup na miejscu, panie. Nikt nie wie, dlaczego to zrobił. Podobno nie pił tego dnia, a kierowcą był doświadczonym, no i bardzo ostrożnym; aż do przesady ostrożnym. Zagadka, panie.

– Daj pan spokój. Zawsze gdy wsiadam za kierownicę, boję się, że coś mnie złego spotka na trasie.

– No wszystko jest możliwe.

– No więc właśnie.

Dziewczyna wytarła łzy i zwiesiła głowę.

Dagmara poczuła smutek. Włożyła ręce do kieszeni swojego skórzanego płaszcza i przyspieszyła kroku. Krążąc wśród alejek, próbowała odepchnąć myśli o Zuzi, które zaczęły ożywać w jej głowie. Gdy mijała grób przyjaciółki, usłyszała jej szloch wydobywający się z głębi jej mózgu: „Zgwałcił mnie, gwałcił”. Zacisnęła szczęki, próbując uspokoić oddech. Dlaczego ja nie mogę wyrzucić tego z pamięci? – pomyślała. Minęło już tyle lat. Co jest nie tak z moją głową?

Zatrzymała się na chwilę i zacisnęła zęby. Miała wrażenie, że z oczu płyną jej łzy. Pociągnęła nosem, rozejrzała się nieuważnie wokół siebie i ruszyła wzdłuż

alejki. Miała nadzieję, że nie spotka dzisiaj rodziców Zuzi, którzy od samobójczej śmierci jedynej córki byli cieniami samych siebie i zarażali wszystkich wokół złą energią.

Parę minut później stanęła przy świeżym grobie obłożonym bukietami kwiatów i zniczami. Przyjrzała mu się uważnie. Z tabliczki wynikało, że zmarłą była dwudziestoletnia dziewczyna o imieniu Wioletta. Zgon nastąpił parę dni temu. Zgon? – skarciła się w myślach za milicyjny żargon. Odczytując napisy na wiązankach, zastanawiała się, w jakich okolicznościach umarła Wioletta. Wypadek, choroba? Samobójstwo? Daj spokój, żadne samobójstwo! Nie wpadaj w paranoję.

Przy grobie stanęła grupka smutnych dziewcząt, które w skupieniu zaczęły zapalać znicze. Dagmara odeszła na bok. Stanęła przy drzewie i pomyślała, że warto zacząć się dzisiaj przy świeżych grobach. Kto wie, może pojawi się przy nich ktoś podejrzany?

Przytupnęła z zimna i czekała. W końcu dziewczęta odeszły apatycznym krokiem. Nie patrzyły na siebie, nie odzywały się ani słowem. Ukradkiem przecierały wilgotne oczy.

Westchnęła. Dobrze wiedziała, co czują. Cmentarz powoli pustoszał. Robiło się coraz spokojniej, ciszej, ale i chłodniej. Skonstatowawszy to, poczuła burczenie w brzuchu. Znowu wrócił zły humor. Psia dola – pomyślała. Psia robota. Spojrzała na zegarek, zbliżała się dwudziesta druga. Rozejrzała się za Freddyem. Przez chwilę wydawało się jej, że dostrzega jego sylwetkę, ale jednak to był ktoś inny, podobny do niego z wyprostowanej postury.

Nagle usłyszała chrząknięcie. Przeniosła wzrok na grób Wioletty, przy którym stanął dziwak z czapką ozdobioną reniferem. Rozpoznawszy go, drgnęła. Czego tu szukasz, bratku?

Mimowolnie przypomniała sobie swojego pierwszego zabójcę w milicyjnej karierze. To był czterdziestoparoletni schizofrenik, który zamordował w przyпіływie szału swoich rodziców. Też wyglądał tak niepozornie, tak żałośnie. Biedny facecik, który wzbudza w innych zażenowanie albo nawet pogardę. Od tej pory na takich nieszczęśników patrzyła podejrzliwie. Fajtlapa może okazać się w ostatecznym

rozrachunku niebezpieczną bestią.

Przysunęła się do drzewa, żeby jej nie dostrzegł. Mężczyzna przeżegnał się.

– Ładna dziewczuszka z ciebie była – odezwał się. – Bardzo ładna.

Dagmara zmarszczyła krwi. Ożeż, kurwa! – pomyślała i podniecona wbiła w niego wzrok. Mężczyzna stał nieruchomo i przyglądał się grobowi z wielką uwagą. Trwało to parę minut, gdy nagle poczuła na ramionach czyjaś dłoń. Serce jej załomotało. Błyskawicznie odwróciła się, przybierając atakującą postawę.

– Spokojnie, Zbóju – odezwał się Freddy, podnosząc ręce w górę. – To tylko ja.

Dagmara sapnęła głośno, opuściła dłonie zwinięte w pięści.

– Nie rób tak więcej, chłopie – rzuciła ostro. – Ja tu się czaję na... – urwała i spojrzała przez ramię na grób Wioletty. Mężczyzna zniknął. – Spieprzył – syknęła. – Kurwa mać!

– Kto?

– Taki dziwny klient, trochę w typie Kasperskiego. Kręci się po cmentarzu. Przed chwilą stanął przy grobie młodej dziewczyny. – Dagmara wskazała go ręką. – I mamrotał coś pod nosem.

– Co?

– Jakieś dziwne rzeczy typu „ale ładna dziewczuszka”.

Freddy pokiwał głową w odpowiedzi.

– Ciekawe.

– Kiedy to usłyszałam, zaczęłam się mu przyglądać. To musi być niezły zjeb. – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Ale mi go spłoszyłeś.

– Przepraszam – powiedział Freddy i zaczął się rozglądać. – Jak wyglądał?

Dagmara opisała go w paru słowach.

– Spróbujmy go odszukać.

– Spróbujmy.

Ruszali przed siebie wzdłuż alejki, która prowadziła w stronę kapliczki. Obeszli ją parę razy, rozglądając się czujnie naokoło, ale mężczyzny nigdzie nie było. Rozpłynął się w powietrzu.

– A ty natknąłeś się na jakiś świeży grób?

– Tak, widziałem jeden.

– Może przy nim by się zaczął?

– Może.

Dagmara przewróciła oczami. Znowu to „może”.

– Ja bym raczej skupił się na kapliczce, to przecież z niej klient ukradł zwłoki – wyjaśnił Kruger.

– Masz rację.

Przystanęli na chwilę.

– Zgłodniałam – powiedziała Dagmara, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. Poczęstowała kolegę. Zapalili i zaciągnęli się łąpczywie.

– Mam kanapki w samochodzie – oznajmił Kruger. – Zapraszam na skromny poczęstunek.

Dagmara uśmiechnęła się promiennie.

– Jak cudownie. Małżonka zrobiła?

– A i owszem.

– Cudownie.

– Pokręćmy się jeszcze parę minut, a potem pójdźmy coś zjeść i wypalić po ćmiku.

– Genialna myśl.

Pomaszerowali na kraniec cmentarza, który był jego najslabiej oświetloną częścią. Przez nagie gałęzie rozłożystego dębu przebijał się błyszczący sierp księżyca. Dagmara zapatrzyła się w niego i odpłynęła myślami do jakichś bliżej nieokreślonych rejonów własnego umysłu. Czasami tak miała. Zastygała w bezruchu, zafiksowywała się na jakimś obiekcie i wpadała w swoisty trans. Nic wtedy nie myślała, nic wtedy nie czuła. Kolejna rzecz odziedziczona po matce. Wkrótce księżyc zniknął połknięty przez czarne kłębiaste chmury. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

Nagle zerwało się stado ptaków. Dagmara drgnęła. Przerażliwe krakanie

kołujących nad głowami ptaków sprawiło, że jej serce załomotało. Uspokoiwszy oddech, zerknęła na Freddy'ego przyglądającego się grobowi, na którym dogasały znicze. Jeszcze parę dni roboty przy tej sprawie, a sami staniemy się nekrofilami – pomyślała sarkastycznie.

– Kolejny świeży grób – zagadnął Kruger.

– Nasz klient ma w czym wybierać – stwierdziła Dagmara, ulegając wisielczemu humorowi.

– Tak... Ten jest najlepiej ulokowany.

– Cichutko, ciemniutko...

Freddy spojrział na koleżankę, unosząc brwi. Chciał coś powiedzieć, ale w zaroślach przy murze coś zaszeleściło gwałtownie. Obrócili się jak na komendę. Parę sekund później rozległo się miauczenie kota. Zaraz potem ostre syknięcie. Gdzieś w ciemnościach zakotłowało się. To były chyba odgłosy walki.

Po chwili wszystko ucichło.

– Spieprzajmy stąd – rzuciła Dagmara. – Bo zaraz nam padnie na głowę.

Gdy zjedli pyszne kanapki przyrządzone przez żonę Freddy'ego, Dagmarze poprawił się humor. Wytarła ręką usta i oparła się wygodnie o zagłówek. Jeszcze ciepła kawa by się przydała – pomyślała.

Z radia sączyła się instrumentalna muzyka. W pewnym momencie wybrzmiał głośniej bardzo charakterystyczny motyw, po którym każdy fan muzyki natychmiast rozpoznaje *Oxygène* Jean-Michela Jarre'a. Dagmara uderzyła parę razy dłońmi do rytmu o kolana. Bardzo lubiła ten kawałek. Zazwyczaj poprawiał jej samopoczucie, napędzał do działania.

Ponownie zapalili po papierosie. Tym razem częstował Freddy, który wraz z każdym kolejnym zaciąganiem się popadał w coraz większe zamyślenie.

– Coś się tak zamyślił? – zagadnęła w końcu Dagmara.

Freddy dopalił papierosa i zdusił go w popielniczce. Westchnął i spojrzał na swoją dłoń, którą położył na dźwigni skrzyni biegów.

– Nie lubię tego dnia – wyznał nieoczekiwanie.

Spojrzała na niego zaciekawiona. W tym jednym krótkim prostym zdaniu usłyszała jakieś zduszone emocje, których kompletnie się nie spodziewała. Dzisiaj w czasie cmentarnego patrolu sprawiał wrażenie kogoś, kto czuje się całkiem nieźle. Skąd więc nagle ta zmiana nastroju?

– To dziwny dzień – powiedziała Dagmara. – Mówi się, że w ten sposób czcimy pamięć bliskich, którzy odeszli, ale smutek, który temu towarzyszy, sprawia, że zagojone rany znowu się otwierają, cierpienie wraca... Niepotrzebnie zupełnie... To nie jest święto, to jest masochizm.

– Coś w tym jest.

Freddy zagryzł usta i przez chwilę spoglądał przez szybę niewidzącym wzrokiem. Ewidentnie coś go gryzło. Poczwała nagłą potrzebę wydobywania z niego, co to było. Od zawsze miała wrażenie, że gdzieś w głębi tego racjonalnego, poukładanego, spokojnego człowieka skrywa się sekret, jakaś tajemnica, mniej lub bardziej poważna, ale jednak.

– Nie wiem, czy ci kiedyś mówiłam, ale na tym cmentarzu leży moja przyjaciółka z wczesnej młodości.

Drgnął i przeniósł na nią wzrok.

– Naprawdę?

– Tak. Często ją tu odwiedzam. Prawdę mówiąc, była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką.

Freddy poruszył nozdrzami i przełknął ślinę.

– Co się z nią stało?

Dagmara poruszyła się na siedzeniu.

– Popełniła samobójstwo – odpowiedziała ciszej.

Freddy otworzył szerzej oczy.

– Przykro mi – wydukał. Wlepił wzrok w radio, które lekko przyciszył, jakby uznając, że wybrzmiewająca muzyka jest zbyt mało poważna na to, co przed chwilą zostało powiedziane.

Dagmara spojrzała na kolegę i dostrzegła, że próbuje zapanować nad swoim przyspieszonym oddechem. Zmarszczyła brwi.

– Wydajesz się poruszony – odezwała się.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. O dach samochodu zabębnił deszcz. Wkrótce zerwał się wiatr. Freddy włączył wycieraczki.

– Miałeś podobne zdarzenie w rodzinie? – zagadnęła ostrożnie.

Milczał. Położył ręce na kierownicy i lekko w nią uderzał palcami.

– Przepraszam, że pytam – szepnęła Dagmara.

– Uhm – odezwał się po chwili Freddy.

– Słucham?

– Tak, miałem.

– Mogę zapytać kto...?

Chrząknął i przejechał dłonią po twarzy.

– Siostra – rzucił szybko i spojrzał w bok, koncentrując się na oświetlonym kilkoma wysokimi lampami wejściu na cmentarz. Jakiś mężczyzna prowadził staruszkę do czerwonego malucha zaparkowanego nieopodal.

– Tu leży?

Pokręcił głową.

– Na Miłostowie.

Dagmara poczuła, że jej ciekawość się rozpała. Na końcu języka miała wiele pytań. Ledwie się powstrzymała od wyrzucenia ich z siebie. Była zażenowana samą sobą.

Nagle ktoś uderzył parę razy o dach samochodu. Po chwili do środka wszedł Harry, moszcząc się na tylnym siedzeniu.

– Serwus – rzucił, ścierając z twarzy krople deszczu. – Ale się rozpadało. – Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni piersiówkę i upił kilka solidnych łyków. We wnętrzu skody rozniósł się zapach whisky.

– Masz coś? – zapytał Kruger, przyglądając się tylnemu lusterku, w którym widział odbicie chorążego.

– Ważną wiadomość – oznajmił Harry.

– Dobrą czy złą? – zapytała Dagmara.

– Zależy, na jaką czekasz, Zbóju.

– Gadaj – zirytował się Kruger.

– Łazarski to nie nasz człowiek.

– Co?

– No niestety. Nie mógł zabić Martynki.

– Kurwa! – warknęła Dagmara. – To ilu nekrofilów jest w tym pieprzonym Poznaniu?!

Harry wyszczerzył zęby.

– Przekonamy się na końcu śledztwa.

– Ma alibi? – zagadnął Kruger.

– Tak. Na piątkowy wieczór. – Harry pociągnął nosem i nachylił się nad przednimi fotelami.

– Czy ja czuję mięso? – zapytał i przełknął głośno ślinę. – Jedliście kanapki?

– I to jakie dobre – rzuciła Dagmara.

– Zostało coś może?

– Nie – burknął Kruger. – Co to za alibi?

– Szkoda, zaczyna burczeć mi w brzuchu.

– Co to za alibi, Harry?

– Był wtedy na komisariacie Stare Miasto. Pomiędzy szesnastą a dziewiętnastą.

– Jak to?

– Składał zeznania w sprawie włamania.

– Czyli to włamanie jest faktem?

– Tak.

– Co robił potem?

– O dziewiętnastej pojechał razem ze swoim zięciem do Dusznik. Jego córka obchodziła imieniny. Zabawił tam ze dwie godziny. Przed północą był już w domu. Od soboty nikt, z kim rozmawiałem, łącznie z jego rodziną, go nie widział. Zapadł się pod ziemię. Zięć mi podpowiedział, że klient ma działkę nad jeziorem w Łęczeczkach, niedaleko Chrzypka. Trzeba będzie kogoś posłać, żeby sprawdzić, czy się tam z jakichś powodów nie zaszył, ale... – urwał, sięgnął po piersiówkę i po kilku łykach dokończył: – ...ale to już raczej nie nasza sprawa.

Kruger się zamyślił.

– Szkoda – burknęła Dagmara.

– No ja też myślę, że był świetnym podejrzanym – powiedział Harry i uśmiechnął się do koleżanki.

Nagle smoliste niebo przecięła błyskawica. Zagrzmiało. Deszcz nasilił się jeszcze

bardziej. Dach samochodu znalazł się pod ostrzałem ciężkich kropel. Dudnienie zamieniło się w okropny łomot. Harry zagwizdał.

– Matka natura się wściekła – rzucił.

– Trudno – odezwał się Kruger. – Oddamy to Robinowi, niech się zajmie wątkiem Łazarskiego. Muszę przyznać, że jestem ciekawy, co się z nim...

– Czy to nie jest grad? – przerwała Dagmara, wskazując palcem przednią szybę.

Rzeczywiście, o szybę uderzały białe grudki lodu.

– Mówię wam, idzie źle – prychnęła.

– Dobra – zakomenderował Kruger. – Kończymy na dzisiaj. W takich warunkach nawet zabójcy i nekrofile biorą sobie wolne. Widzimy się jutro o ósmej na odprawie u starego i szukamy nowego podejrzanego.

Zamienili jeszcze parę słów na odchodne, po czym Dagmara oraz Harry potruchtali do swoich samochodów, deptając po zabłoconym placu. W uszach świstał im wiatr. Harry najwyraźniej miał rację, matka natura się wściekła. I to bardzo.

Dagmara zatrzasnęła mocno drzwi, położyła ręce na kierownicy i przylgnęła do oparcia fotela. Wzięła głęboki oddech i zmierzwiła włosy rękawem bluzki. Spojrzała na zegarek. Zbliżała się północ.

Była przemarznięta i przemoknięta. Żałowała, że nie wzięła ze sobą termosu z gorącą kawą. Zaszczękała zębami i na chwilę zamknęła oczy. Spać, spać, spać! Otworzyła oczy i ziewnęła. Włączyła radio. Jakiś profesor opowiadał o zwyczajach związanych z kultem zmarłych. Pokręciła potencjometrem. Charakterystyczny głos, którego nie mogła jednak skojarzyć z żadnym nazwiskiem, czytał fragment powieści Agathy Christie pod tytułem *Zabójstwo Rogera Ackroyda*. Skrzywiła się, nie lubiła kryminałów, według niej były to bajki dla naiwniaków pisane przez amatorów, którzy nie mają bladego pojęcia o pracy operacyjnej czy nawet dochodzeniowej. W końcu natrafiła na stację, która nadawała muzykę. Gdy usłyszała Urszulę Trojanowską, zaprzestała dalszych poszukiwań. Pogłośniła. Przekręciła kluczyk w stacyjce, zapaliła światła, spojrzała przed siebie. I zamarła z przerażenia.

Przy masce jej auta stał obcy mężczyzna i wpatrywał się w nią uporczywie, nie zważając na siekący deszcz. Poczula, że coś ściska ją boleśnie za gardło. Wbiła w niego wzrok. Poznała go. Na czapce miał wyhaftowanego renifera. Spojrzała gwałtownie za siebie. Samochody Harry'ego oraz Freddy'ego dawno już odjechały. Przy cmentarzu nie było żywej duszy.

– Kurwa jego mać – szepnęła i odruchowo sięgnęła do kabury z bronią.

Mężczyzna wymamrotał coś pod nosem i ruszył w jej kierunku, wyciągając przed siebie rękę, w której trzymał coś podłużnego.

Kruger wszedł do pustego mieszkania, zrzucił z siebie buty, poszedł do łazienki i napuścił ciepłej wody do wanny. Wytarł się ręcznikiem i spojrzął w lustro. Miał bladą twarz i podkrążone oczy. Miał wrażenie, że jego usta drgają, jakby za chwilę miał wyrzucić z siebie zduszony płacz. Odbicie w lustrze uprzytomniło mu, jak bardzo jest zmęczony. Zamyślił się, ściągając z ręki zegarek.

Chętnie przytuliliby się do Basi i ucałował Nelkę, ale w gruncie rzeczy cieszył się, że dziewczyny wyjechały do teściów i w związku z tym mógł tej nocy pobycć sam na sam ze swoimi myślami.

Brutalne zabójstwo dziewczynki, potworne zbezczeszczenie jej ciała, sprawa Kasperskiego, który przyznał się do morderstwa sprzed lat, poszukiwania nekrofila ze szpitala – wszystko to zaczynało coraz mocniej obciążać go psychicznie. Kompletnie się tego nie spodziewał. Moment krytyczny nastąpił na cmentarzu, kiedy Zbój zagadnęła go o śmierć bliskiej osoby. Gdyby nie nadejście Harry'ego, mógłby się rozsypać. Na moment przed pojawieniem się kolegi zobaczył rozdierające migawki z pogrzebu Marysi, na który przyszło niemal całe miasteczko. Wspomnienie szlochających rodziców przyprawiło go o ból brzucha. Czeka mnie ciężka noc – pomyślał.

Ściągając resztę garderoby, udał się do kuchni. Otworzył lodówkę i wyciągnął z niej pół litra żytniej. Nalał pięćdziesiątkę i wypił jednym haustem. Przez chwilę siedział nieruchomo. W końcu wstał i ruszył z powrotem do łazienki. Zakręcił kurek i wszedł do wanny. Ułożył się w niej wygodnie i zamknął oczy.

Próbował się wyciszyć, zdławić wszelkie myśli, wyrzucić obrazy kłębiące się

w jego głowie. Bezskutecznie. Słyszał płacz rodziców i widział martwą Marysię leżącą w czarnej dębowej trumnie. Potem zrobił coś, co wielokrotnie widział na filmach – zanurzył się i odczekał, aż brak tlenu stanie się nieznośny.

Harry zaparkował pod blokiem, usiadł na ławce przed klatką i zapalił papierosa. Zaciągając się dymem, który przyjemnie drażnił gardło, zaczął mimowolnie wspominać pogrzeby, w których dane było mu uczestniczyć.

Pogrzeb ojca, którego nienawidził. Pogrzeb matki, do której czuł nigdy niewypowiedziany żal, że nie odważyła się opuścić swojego ślubnego tyrana. Pogrzeb pewnej pięknej dziewczyny, która zginęła w wypadku samochodowym na jego oczach. Pogrzeb komendanta, który przyjął go do pracy w milicji. Pogrzeb zabójcy, na którego egzekucji był obecny. I jeszcze kilka innych pogrzebów, które z pewnych powodów, nie zawsze dla niego jasnych, utkwily mu w pamięci.

Wypalił papierosa i otworzył drzwi klatki schodowej. Co za pieprzona sprawa – pomyślał. O czym ja w ogóle myślę? Przypomniał sobie zbolałą minę Freddy’ego. Dzisiaj w trakcie rozmowy w jego samochodzie uzmysłowił sobie, że facet jest od paru dni w gorszej formie niż zazwyczaj. Był niemal pewny, że ma to jakiś związek ze śledztwem, które ktoś w komendzie nazwał „najbardziej popierdolonym śledztwem dwudziestego wieku” i chyba miał rację. Wcale go to nie dziwiło, od dawna domyślał się, że Freddy to wrażliwy człowiek, czego większość pracowników firmy raczej nie dostrzegała. Ta sprawa nas przeczołga – stwierdził bezgłośnie i zapalił światło w korytarzu.

Stanął pod drzwiami swojego mieszkania, włożył klucz do zamka i nagle zanotował jakiś ruch z prawej strony. Obrócił się gwałtownie i dostrzegł stylowo odzianego mężczyznę, który apatycznie wstał ze schodów.

– Co ty tu robisz? – warknął Harry.

- Siedzę sobie – odpowiedział Cichy.
- To widzę, ale dlaczego akurat pod moimi drzwiami?
- Czekam na ciebie.

Harry zmierzył go surowym wzrokiem.

- Mówiłem ci, żebyś tu więcej nie przychodził. To moje prywatne mieszkanie! Mężczyzna spuścił głowę.

- O co chodzi?
- Przecież wiesz.
- Nie, nie wiem.

Cichy postąpił krok do przodu i spojrzał Harry'emu głęboko w oczy.

- Jak myślisz, dlaczego ja to wszystko robię? – zapytał drżącymi ustami.
- Co masz na myśli?

Cichy westchnął przeciągle.

- Dlaczego tak pracowicie sprzedaję ci informacje? – podniósł głos, machając swoimi wypielęgnowanymi dłońmi. – Dlaczego? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym?

Harry skrzywił się.

- Nie unoś się – wycedził.
- Nie unoszę się!
- Pomagasz mi, ponieważ kiedyś ja ci pomogłem. Pamiętasz?

Cichy pamiętał. Parę lat temu pewnej letniej nocy wracał po pijaku z nowo poznanym chłopcem z suto zakrapianej imprezy. Na Łazarzu, w okolicy Parku Kasprzaka, drogę zaszła im banda agresywnych nastolatków. Wysportowany chłopiec uciekł, ale on sam był na to zbyt pijany. Po mocnym ciosie w brzuch upadł i został brutalnie pobity. Gdyby w pewnym momencie nie pojawił się Harry, który wówczas maszerował Głogowską różnym krokiem po jakiejś udanej randce, napaść mogłaby się skończyć dla niego bardzo tragicznie.

- Wpuść mnie do siebie, musimy pogadać – powiedział Cichy, który tamtej nocy zadurzył się w dzielnym i przystojnym milicjancie.
- Spadaj, Cichy. Miałem dzisiaj pracowity dzień i wieczór. Muszę się przespać,

jutro wstaję o świcie, żeby znowu zapierdalać przez większą część doby. Idź sobie.

Cichy pokiwał głową.

– Pracujesz nad tym nekrofilem, prawda?

– Prawda.

Harry przekręcił klucz w drzwiach.

– Dobranoc, chłopie – burknął, chwytając za klamkę i otwierając drzwi.

– Mam pewną informację – rzucił Cichy z desperacją małego chłopca, który resztką sił walczy o uwagę rodziców. – Pewnie cię zainteresuje.

Chorąży spojrzali na niego nieufnie.

– Jaką?

– O pewnym chłopaku, który być może jest nekrofilem.

Harry puścił klamkę.

– Co to za chłopak?

– Taki jeden – padła lakoniczna odpowiedź. – Kto wie, może to gość, którego ścigacie?

– Co miałyby na to wskazywać.

– Często bywa na Miłostowie i...

Harry patrzył uważnie na Cichego, zastanawiając się, czy to nie jest jakaś głupia zabawa z jego strony. Słowa informatora brzmiały dość kuriozalnie. Harry jednak wiedział, że wiele przestępstw, nawet tych poważnych i bardzo poważnych, wykrywa się przypadkowo, czasami dzięki niespodziewanej informacji. Jego śledczy instynkt nie pozwalał mu całkowicie zignorować tej informacji. Albo plotki.

– Kto ci o nim powiedział?

– Znajomy. – Cichy uśmiechnął się do milicjanta i dotknął swoich wypiełgnowanych błyszczących wąsików.

– I on niby robi na tym cmentarzu? Nie mieliśmy żadnych zgłoszeń stamtąd.

– Widzę, że cię zainteresowałem!

– Mów, nie baw się ze mną! Jaki znajomy?

– Jeśli chcesz wiedzieć więcej, to wiesz, gdzie mnie szukać – oznajmił Cichy,

pokrywając się rumieńcami. – Powiem ci wszystko, co usłyszałem. – Pomachał ręką i zbiegł pospiesznie ze schodów.

– Kłamiesz! – rzucił za nim rozeźlony Harry.

– Nigdy bym cię nie okłamał – odkrzyknął Cichy z dołu. – Wiesz o tym doskonale.

Po chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi.

– Pieprzony kłamliwy pedał – warknął Harry i wszedł do mieszkania. Po ciemku udał się do dużego pokoju, który lekko oświetlała osiedlowa lampa, otworzył barek, chwycił butelkę wódki i upił parę łyków. Ściągnął kurtkę i rzucił na fotel. Rozbierając się, zastanawiał się nad tym, co powiedział Cichy.

Kolejny amator trupów w Poznaniu? To już, kurwa, przesada! Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Cichy kłamie. Kładąc się do łóżka, przypomniał sobie kiedyś ich wspólną rozmowę w lokalu operacyjnym. Pili wódkę i omawiali szczegóły na temat włamania do willi pewnego badylarza. Pod koniec spotkania Cichy był już mocno pijany. W pewnym momencie spojrzał Harry’emu prosto w oczy i szepnął: „Chciałbym ci obciągnąć, Harry. Tak bardzo chciałbym ci obciągnąć”. Harry w odpowiedzi na to wyznanie wykopał go z mieszkania i przez pół roku się do niego nie odzywał. Po wznowieniu kontaktu, służbowego, nigdy nie wracali do tamtego incydentu.

Zamknął oczy. Mam nadzieję, że znowu mu się nie zbiera na amory – pomyślał i zupełnie nieoczekiwanie przypomniał sobie wieczór, w którego trakcie podobną propozycję złożył przyjaciółce matki, przepięknej nauczycielce języka rosyjskiego, pani Nataszy.

Zaprosiła go, młodego milicjanta, do siebie na lampkę wina. Chciała mu podziękować za to, że pomógł jej pozyskać dowody na niewierność męża, dzięki czemu mogła się w końcu z nim rozwieść na własnych warunkach. Harry źle ją zrozumiał. W pewnym momencie nachyliła się, żeby podnieść z podłogi korek od butelki, a on, odurzony zapachem jej zachodnich perfum i widokiem ponętnego biustu ozdobionym pieprzykiem, zaproponował drżącym głosem pójście do łóżka. Był pewien, że ona do tego właśnie zmierzała. Ale to nie była prawda. „Tomeczku,

to miłe z twojej strony – powiedziała zaskoczona i trochę zniesmaczona. – Ale to jest niemożliwe”. Zrobiło mu się wtedy bardzo głupio. Dopił wino, pożegnał się zażenowany i wyszedł na ulicę, czując się jak ostatni idiota. Parę miesięcy później pani Natasza wyszła za mąż za komendanta komisariatu, w którym wówczas pracował.

Harry uśmiechnął się do tego wspomnienia i po chwili zasnął.

Obudził się zlany potem. Znowu śniła mu się dziewczynka z Naramowic, która oskarżała go o morderstwo. Tym razem nie miał sił zaprzeczać jej oskarżeniom. Poza tym bał się, że wpadnie w furję i... zrobi to, co przecież jest grzechem śmiertelnym.

Wsuwając stopy w laczki, przypomniał sobie nagle coś, co go przyprawiło o palpitację serca. Wyczytał kiedyś w jakiejś gazecie, że za zabicie dziecka dostaje się karę śmierci. Jego kuzyn parę lat temu na imieninach nazwał tę karę „skórką”. „Wchodzisz, bracie do piwnicy, gdzie sam diabeł rzadko zagląda, zakładają ci sznur na szyję, puszcza ją i kaput” – śmiał się kuzyn, polewając następną kolejkę bimbru własnej roboty. – „Nie ma cię! Do piachu. Tak że lepiej być grzecznym za życia! Ha, ha, ha!”.

Przeżegnał się i poszedł do łazienki. Myjąc zęby przed lustrem, przypominał sobie wczorajszą wizytę na cmentarzu. Pogoda nie była najlepsza, ale też za bardzo mu nie doskwierała. Bywało gorzej. Ubrał się ciepło, więc nie zmarzł. Na szczęście udało mu się wrócić do domu przed burzą, która potem nadeszła.

Zapalił znicz na grobie Joasi, włożył do wazonów świeże kwiaty, pomodlił się trochę za jej duszę, porozmawiał ze znajomymi, którzy przyszli na własne groby. Wszystko przebiegło spokojnie. Nic go nie męczyło, nie nawiedzało. Nie miał żadnych kosmatych myśli. Było tak jak trzeba. Po bożemu. Ale tylko do pewnego momentu.

Do spotkania z facetem, który porządnie go nastraszył. Trochę pospacerował, przyglądając się przy tym ludziom, którzy stali przy grobach pogrążeni we własnych

myślach. Jego uwagę zwróciła pewna kobieta po trzydziestce. Miał wrażenie, że ją kojarzy, że czasami spotyka ją na cmentarzu. Całkiem ładna. Długie włosy związane w kitkę. Długi skórzany płaszcz. Gdy ją mijał, stała nieruchomo przy grobie. Zerknął na nią zaintrygowany. Zatrzymał się na chwilę. Był ciekawy, kogo odwiedziła. Na marmurowej płycie widniała fotografia uśmiechniętej nastolatki. Miała na imię Zuzanna, nazwiska nie zapamiętał. Kiedy kobieta spojrzała na niego nagle swoimi zaczerwienionymi oczami, odwrócił zmieszany wzrok i wlepił go w sąsiedni grób. Przeżegnał się i poszedł dalej, wdychając przyjemny zapach płonących zniczy. Później mignęła mu gdzieś w tłumie – szła z jakimś przystojnym wąsatym blondynem o poważnej minie.

Gdy opuścił teren cmentarza, zapalił papierosa. Zaciągając się, spoglądał na lasek, który ostatnio przyniósł mu sporo intensywnych doznań.

– Co tam pan widzi? – usłyszał nagle.

Drgnął i spojrzał w bok. Obok niego stanął niewysoki mężczyzna o pospolitym wyglądzie. Na głowie miał czapkę z reniferem. Męskich nie było? – pomyślał z przekąsem.

– A tak sobie patrzę – odparł, wypuszczając dym.

– Proszę uważać. Tam może być niebezpiecznie.

Uniósł brwi i spojrzał na intruza.

– A to dlaczego?

– Tam straszy.

– Że co?

Mężczyzna nachylił się w stronę swojego rozmówcy.

– Zimą znaleziono tam zbezczeszczone zwłoki dziewczyny, które ktoś ukradł z tutejszej kaplicy – powiedział ściszym głosem. – Ludzie mówią, że od tamtej pory co wieczór pojawia się tam dusza tej nieszczęśnicy i wygraża nekrofilowi.

– Nekrofilowi? – powtórzył. – A co to jest?

– To ktoś, kto pieprzy się z trupami. Zboczeniec. Tak się mówi, nekrofil.

Poczuł nagle, że zaczyna go telepać.

– A poza tym w ostatni piątek – mówił dalej mężczyzna – ktoś zabił dziewczynkę, a potem ją wykroił.

Zrobiło mu się niedobrze. Zacisnął szczęki, próbując zapanować nad sobą.

– Nie słyszał pan?

Chrząknął nerwowo.

– Coś tam słyszałem – odburknął.

– Chyba mamy wampira w Poznaniu, panie.

Spojrzał na mężczyznę, który z podekscytowania wysunął język.

Zaraz go sobie przegryziesz, bambrze – warknął w myślach. Nie podobało mu się wyrażenie „pieprzyć się z trupami”. On się nie pieprzy z nimi. On je tylko pieści, kocha. I nie trupy, tylko kobiety. Piękne, miłe, grzeczne kobiety.

– Tak jak kiedyś na Śląsku. Pamięta pan sprawę Marchwickiego? Ale on nie wycinał, tylko zabijał. W końcu go złapali i gościu dostał czapę. Tak kończą mordercy. Na szubienicy. Ten też tak skończy.

Na plecach poczuł krople potu. Zaciągnął się mocno dymem i zakaszał.

– Podobno milicja jest już na tropie – rzucił mężczyzna i uśmiechnął się promiennie. – Niebiescy nie próżnują, panie.

Rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał go.

– Muszę już iść. Do widzenia panu – wymamrotał.

– Z panem bogiem.

Po tej nieprzyjemnej rozmowie ruszył w stronę miasta. Postanowił wrócić do domu na piechotę. Musiał ochłonać. Musiał się uspokoić. Ja nie chcę dostać czapy – powtarzał w myślach, idąc przed siebie. Ja chcę żyć. Był na granicy paniki.

Kiedy po godzinnym spacerze dotarł na miejsce, postanowił, że zrobi sobie przerwę od rozkopywania grobów. Czuł się już trochę lepiej. Wziął kąpiel, zjadł coś słodkiego, pogapił się w telewizor i udał na spoczynek. Kładąc się do łóżka, modlił się o siłę wytrwania w swoim postanowieniu.

A teraz, nazajutrz, gdy kończył poranną toaletę, był całkiem dobrej myśli. Pójdę przed pracą do kościoła – zdecydował. Wypowiadam się, pomodłę i będzie dobrze.

Musi być dobrze.

Spojrzał w lustro.

– Uda się – szepnął i poszedł do kuchni, skąd dobywał się gwizd czajnika.

Drugiego listopada, parę minut po dziesiątej „zabójcza trójka” siedziała przy stoliku w emeryckiej kawiarni Crystal, paląc papierosy i popijając kawę. Główną atrakcją tej krótkiej nasiadówki była opowieść Dagmary na temat wczorajszego zdarzenia, jakie miało miejsce przy cmentarzu zaraz po ich rozejściu się. Na odprawie zasygnalizowała je tylko w paru zdaniach.

– Ale się najadłam strachu, chłopaki – opowiadała milicjantka, strząsając popiół do szklanej popielniczki. – Posłuchajcie.

Nadstawili uszu.

– Spoglądam przez przednią szybę, a tam stoi facet i gapi się we mnie jak ciele w malowane wrota. Wszędzie ciemno, głucho. Wyście już odjechali. Pada deszcz, grzmią pioruny. Normalnie kino sensacyjne. – Upiła łyk kawy i kontynuowała: – Wyglądał jak jakiś psychol z tandetnego filmu grozy. Nagle coś mówi i rusza w moją stronę. W ręku trzyma kij. Podchodzi do drzwi. Myślałam, że mi serce wyskoczy z piersi.

Harry i Freddy słuchali jej w narastającym napięciu.

– Opuszczam boczną szybę, wyciągam broń, odbezpieczam i celuję w niego. „Czego?” – warczę tak groźnie, jak tylko mogę. On wbija we mnie zdumiony wzrok. „Czego?” – powtarzam. „Pani jest uzbrojona?” – pyta cienkim głosem. Gdy tylko poczułam, że klient jest zbity z tropu, nabrałam odwagi – Dagmara wyszczerzyła zęby – i wyszłam z samochodu. Był ode mnie niższy o głowę. Taki szcurek w czapce z reniferem. „Tak, jestem uzbrojona” – mówię i dodaję zaraz: – „Komenda Miejska w Poznaniu”. Cały czas trzymam go na muszce. Klient otwiera usta

i podnosi ręce w górę. „Może pani we mnie nie celować?” – prosi. „Wyrzuć kij” – odpowiadam, a on posłusznie spełnia polecenie. Wtedy opuszczam pistolet. „Co pan tu robi?” – pytam. „Odwiedziłem grób brata”. Przyglądam mu się uważnie. „O tej porze? W taką pogodę? Z kijem w łapach?” „Autobus powrotny mam dopiero za dwie godziny. Nie spiesz mi się do stacji. A deszczu się nie boję”. „Po chuj ci ten kij?” „Przecież tu jest niebezpiecznie!” – mówi oburzony. „Że co?” „Nie słyszała pani?” „Nie”. „Nekrofil tutaj grasuje. Siostra mi mówiła, że ostatnio znowu zaatakował. Zabił i wyciął jakąś dziewczynkę. Wołałem nie ryzykować. Wszędzie ciemno. Kto wie, czy dzisiaj znowu nie wyjdzie i nie zaatakuje?”.

Dagmara zaciągnęła się i spojrzała na kolegów, którzy chłonęli jej słowa.

– Coś takiego powiedział mniej więcej – rzuciła. – Potem spojrzał na mnie i dodał: „Więc kiedy zobaczyłem, jak samotna kobieta idzie w stronę samochodu, pomyślałem sobie, że ją przestrzegę. Że powiem, żeby uważała na siebie, bo może dojść do tragedii”. To powiedziawszy, zerknął na mnie. „A pani co sobie pomyślała?” – zapytał i sam sobie odpowiedział, robiąc przy tym smutną minę: „Pewnie pani sobie pomyślała, że jestem jakimś wariatem, który czyha na samotne kobiety. Tak?”.

– I co mu odpowiedziałas, Zbóju? – zapytał Harry.

– Kazałam mu się wylegitymować. Co zresztą zrobił bez ociągania się. – Dagmara sięgnęła do wewnętrznej kieszeni skórzanego płaszcza, który zawiesiła na oparciu krzesła, i wyciągnęła z niego notes. – Józef Kaczmarek, zamieszkały w Dusznikach. Pięćdziesiąt lat. Zaprowadził mnie na grób brata. Raczej nie zmyślał, dane na grobie zgadzały się mniej więcej z jego opowieścią. To mógł być brat.

– Nie bałaś się? – zagadnął Freddy.

– Jak już ochłonęłam i zobaczyłam, że to cienki boleć, to przestałam. Jeden fałszywy ruch, a dostałby takiego kopa prosto w swoje zmarszczone jajca, że trzeba by go było zawieźć na SOR.

Śmiech.

– Kiedy wchodziliśmy tutaj, mówiłaś, że widziałas go wcześniej przy grobie jakieś młodej dziewczyny – przypomniał Kruger. – Miał się... ślinić?

– Tak. Sprawdzę go w systemie, a potem zadzwonię na komisariat do Dusznik i powiem, żeby potwierdzili jego alibi.

– A jakie przedstawił?

– Był na jakimś zebraniu w kościele, w Dusznikach właśnie.

Dopili kawę, spoglądając na ruchliwą ulicę. Przez przejście dla pieszych przechodziła grupka przedszkolaków pod opieką dwóch młodych uśmiechniętych kobiet.

– Na pożegnanie – odezwała się Dagmara, zapalając kolejnego papierosa – klient powiedział mi, że w Żurawińcu straszy. „Kto straszy?” – zapytałam. „Duch tej pani, co to ją ktoś wykradł z kaplicy” – odpowiedział i powołał się na świadectwo swojej siostry, który mieszka gdzieś w okolicy. Musiał dostrzec niedowierzanie w moich oczach, bo powiedział, że w okolicy dużo ludzi wspomina o tym duchu, więc coś jest na rzeczy.

– To prawda – wtrącił Harry. – Parę osób mi mówiło, że w czasie rozmów z mieszkańcami Naramowic pojawiał się ten wątek. Nikt go nie zanotował w papierach, więc mogło to do was nie dotrzeć. – Chorąży zachichotał. – Rodzi się legenda miejska.

– Ktoś kiedyś zrobi z tego film, chłopaki, wspomnicie moje słowa – rzuciła Dagmara, podnosząc lewą rękę w górę.

– A jak się skończyła ta twoja nocna przygoda? – zapytał Kruger.

– Podziękowałam mu za informację i kazałam spieprzać na autobus. Posiedziałam jeszcze jakieś pół godziny w samochodzie, ale już nie wrócił. Być może grzecznie udał się do domu. – Dagmara zachichotała, kręcąc głową. – To tyle, jeśli chodziło o zeszłą noc, chłopaki. Na sen zostało mi niewiele godzin, ale muszę przyznać, że spało się dobrze.

W milczeniu dokończyli papierosy i kawy, a potem wrócili do firmy. Czekali ich pracowity dzień. Po stracie „znakomitego podejrzanego”, jakim był Antoni Łazarski, musieli niejako od nowa wziąć się do roboty, szukając nowych tropów.

Dagmara miała zacząć od sprawdzenia Józefa Kaczmarka, Freddy zamierzał przeczytać gruntownie powstające sukcesywnie dokumenty, a Harry, nie bez

pewnych oporów, postanowił, że jednak sprawdzi wiadomość, którą podrzucił mu wczoraj Cichy. Jeszcze nigdy niczego nie zmyślił – myślał, maszerując wzdłuż ulicy, na której zrobił się duży ruch. Nie mogę więc tego zignorować.

Późnym popołudniem pojawiła się informacja, że Łazarski został odnaleziony martwy w domku na swojej działce położonej w Łęczeczkach. Według lokalnych funkcjonariuszy klient prawdopodobnie popełnił samobójstwo. Nie było żadnych śladów skłaniających do przypuszczenia, że w śmierć „złotej rączki” były zamieszane osoby trzecie. Na stole leżał krótki list o następującej treści: „Bardzo wszystkim przepraszam. To było silniejsze ode mnie. Nie mogłem nad tym zapanować. Wspominajcie mnie dobrze. Bo mimo wszystko byłem dobry”. Na miejsce został oddelegowany kapitan Robiński.

Freddy całkowicie zatracił się w lekturze akt, których objętość z każdym dniem regularnie się powiększała. Większość z nich była pozbawiona interesujących informacji, choć raz na jakiś czas pojawiał się na kartach zapisanych niezgrabną polszczyzną jakiś detal warty wzmożonej uwagi. Tym razem porucznik wypatrzył, że dwie lub trzy osoby zeznały, iż w dniu zabójstwa pomiędzy siedemnastą a osiemnastą widziały mężczyznę na rowerze. Niestety, żadna z nich nie potrafiła dokładniej opisać ani roweru, ani mężczyzny. Rower był „całkiem normalny”, a mężczyzna „jakiś taki zwyczajny”.

Porucznik zanotował w zeszycie kilka słów na ten temat. Gdy zamyślony zagryzł końcówkę długopisu, rozległ się dźwięk telefonu. Podniósł słuchawkę i odezwał się nieprzyjemnym głosem, który zazwyczaj wydobywał z siebie, gdy był skupiony na robocie:

– Kruger, słucham.

– Dzień dobry, panie poruczniku – rozległ się znajomy głos dojrzałego mężczyzny.

Oficer przetarł zmęczone oczy i przylgnął do krzesła.

– Białkowski z tej strony.

– A dzień dobry panu. Co dobrego słyszeć?

– Panie poruczniku, proszę wybaczyć, ale nie dzwonię do pana, żeby zajmować mu czas błahymi sprawami. Nie odpowiem więc na to miłe pytanie, tylko od razu przejdę do rzeczy.

– Przepraszam i zamieniam się w słuch.

– Otóż mówiłem panu w czasie waszej wizyty o pewnym mężczyźnie, który miał kłopoty z prawem.

Kruger wyteżył pamięć i po chwili przypomniał sobie ten wątek.

– Tak, kojarzę. Mówił pan o gwałcicielu, który przyjeżdża czasami na wasze osiedle z wizytą do kogoś z rodziny. Podobno zaczepiał w pobliżu Żurawińca jakąś młodą dziewczynę.

– Doskonała pamięć, poruczniku.

– No cóż, to ważna informacja. Właśnie powoli zabierałem się za jej sprawdzenie.

– W takim razie dobrze się składa. Otóż przypomniałem sobie personalia tego jegomościa.

– Słucham.

– Stefan Grubiński.

Oficer zanotował „personalia”.

– Podobno to paskudna postać – dodał Białkowski. – Kobiety, gdy go widzą, schodzą mu z drogi. Jest arogancki i obrzydliwy. Po prostu zło czai się w jego oczach.

– Dziękuję bardzo, sprawdzę go.

– Do usług, panie poruczniku, nie zabieram więcej czasu. Uszanowanie.

– Uszanowanie.

Ten telefon przypomniał mu, że miał zadzwonić do siostry matki Janka Świtalskiego. Byłoby dobrze nawiązać kontakt z chłopakiem i wypytać go o tego zboczonego księdza. Zerknął do zeszytu i wykręcił podany przez Białkowskiego numer. Niestety, mimo że dzwonił kilka razy, nikt nie podnosił słuchawki. Skupił się więc na innych zadaniach.

Dwie godziny później Kruger uzyskał informację, że Grubiński nie żyje. W Zakładzie Karnym we Wronkach został powieszony przez współosadzonych, którzy wpadli w furję, kiedy się dowiedzieli, że Gruby został skazany za zgwałcenie i zabójstwo siedmioletniej dziewczynki. Rzecz wydarzyła się parę miesięcy temu.

Kolejny podejrzany odpada – pomyślał niepocieszony Kruger.

Mniej więcej w tym samym czasie Dagmara ustaliła, że Józef Kaczmarek ma murowane alibi. Rzeczywiście, jak sam jej powiedział, w piątek był w Dusznikach. Wieczorem uczestniczył we mszy świętej, a potem w jakimś kościelnym zebraniu.

Przekląła pod nosem, założyła kurtkę i poszła do baru mlecznego, żeby zabić głód, który ją męczył od ładnych paru godzin. Przełykając z trudem schabowego z ziemniakami oraz kapustą kiszoną, przeglądała „Express Poznański”. W pewnym momencie natknęła się na informację, że „w dniu wczorajszym funkcjonariusze kryminalni z Komendy Miejskiej MO zatrzymali w jednym z mieszkań na ulicy Głogowskiej szajkę włamywaczy, którzy okradli pięć domów willowych na Sołacz”. Zaraz, zaraz – pomyślała, rozgrzebując blaszanym widelcem niedogotowane ziemniaki. Czy Harry czasem nie maczał w tym palców?

Miała wrażenie, że w piątkowy wieczór, tuż po wyjściu Cichego z mieszkania, Harry wyszeptał słowo „Głogowska” do słuchawki telefonu. Pewnie ten cały Cichy to jego informator – stwierdziła, odsunęła talerz i wstała od stołu. Gdy zapinała kurtkę, przy jej stole usiadł cuchnący mężczyzna opatulony w podziurawiony płaszcz, chwycił widelec i wbił go w niedojedzony kawałek mięsa na talerzu.

– Smacznego – rzuciła, widząc, jak łapczywie pochłania zdobyczne jedzenie. Mężczyzna kiwnął głową, nie przerywając jedzenia.

Wyszła na ulicę i wróciła do firmy.

Późnym wieczorem, mniej więcej o dwudziestej pierwszej, „zabójcza trójka” ponownie spotkała się w kawiarni Crystal. Przy kawie, papierosach i kielichu zaczęły referować urobek dnia.

– Mój uchol podrzucił mi ciekawy trop – oznajmił Harry, wysłuchawszy, co mają do powiedzenia Dagmara i Kruger.

Zerknęli na niego z zaciekawieni.

– Jest klient, który ma bardzo osobliwe hobby.

– Jakie?

Harry zaciągnął się i pokręcił głową, jakby miał powiedzieć coś absurdalnego.

– Szwenda się po miłostowskim cmentarzu i robi zdjęcia świeżym grobom.

To lekko wypowiedziane zdanie sprawiło, że chylący się ku końcowi trzeci dzień listopada nabrał wreszcie w oczach zdziwionych milicjantów jakiegoś sensu.

Harry pokiwał głową zadowolony z efektu, jaki wywołał u swoich kolegów. Zaciągnął się parę razy, zdusił papierosa w popielniczce i wrócił pamięcią do rozmowy z Cichym, którego odwiedził dzisiaj w jednej z wildeckich knajp o niewyszukanej nazwie U Florka.

Cichy, bezdzietny kawaler, utrzymujący się z włamań, kradzieży i innych tego typu przestępstw, lubił tam spędzać popołudniowe godziny. Jadł U Florka obiad, składający się z golonki, chrzanu, bułki oraz piwa, czytał sportowe strony wielkopolskich dzienników, rozmawiał ze swoimi kontrahentami i wypatrywał chłopców, których ściągała tutaj fama lokalu przyjaznego dojrzałym koneserom młodych męskich ciał. Cichy gustował w chudych maturzystach, którzy z bezradnością spoglądali w swoją zamazaną przyszłość. Uwielbiał się nimi opiekować, pokazywać im różne możliwości rozwoju, zarówno zawodowego, jak i osobistego. Z dużą pasją zachwalał uroki miłości homoseksualnej, powołując się przy tym niekiedy na starożytnych Greków. Jego znajomi mówili, że w zeszycie prowadził ewidencję uwiedzionych młodzieńców i że ich liczba sięgała setki. Fascynacja Harrym, o której wiedzieli tylko nieliczni jego przyjaciele, była więc sporą niespodzianką. Tłumaczoną ją „wielką tęsknotą za starszym bratem”. Cichy był młodszy o parę lat od trzydziestoczteroletniego chorążego.

Gdy Harry wszedł parę minut po osiemnastej do knajpy, westchnął, zamówił sobie piwo i przysiadł się do Cichego, który piłował w skupieniu paznokcie.

– Przyszedeś – odezwał się Cichy, uśmiechając się promiennie i chowając do portfela stylowy pilniczek.

Harry upił solidny łyk.

– Przyszedłem.

– Bardzo się cieszę.

Harry postanowił odwołać się do kłamstwa, żeby trochę wystraszyć rozmówcę i z miejsca zburzyć klimat intymnych pogaduszek. Fascynacja erotyczna Cichego jego osobą bardzo go irytowała. Nie mógł jednak zrezygnować z tej znajomości, ponieważ klient był znakomitym źródłem informacji i pomagał mu regularnie nabijać statystyki.

– Chciałem cię ostrzec – burknął.

Cichy spojrzał na milicjanta spłoszony.

– Przed czym? – szepnął.

– Nasi kryminalni biorą na celownik złodziei. Chcą ostro przetrzepać wasze środowisko.

– Dlaczego?

– Minister jest wkurwiony. Podobno z raportów wyłania się obraz Polski jako narodu bezkarnych złodziei. Komendant wojewódzki przestraszył się go i oznajmił swoim podwładnym, że, cytuję, „trzeba wygrzmocić te złodziejskie gnidy”.

Cichy spojrzał uważnie na milicjanta.

– Nic o tym nie słyszałem – powiedział.

– Bardzo tajna informacja.

– Dziękuję ci, Harry, że o mnie pomyślałeś.

– Przyczaj się na jakiś czas – Harry starał się brzmieć odpowiednio niepokojąco, choć miał poczucie, że zachowuje się jak głupek. Bał się jednak, że urażony Cichy przestanie współpracować tak ochoczo i owocnie jak do tej pory. Zapalił papierosa, zaciągnął się i dodał na wypadek, gdyby Cichy zorientował się za jakiś czas, że wspomniana akcja to brednie wyssane z palca: – Być może to jakaś gra obliczona na odciążenie uwagi od czegoś innego. Ale warto zachować czujność.

Cichy przyglądał się Harry’emu, który dopijał piwo.

– Dziękuję – powtórzył.

– Chciałbym, żebyś wiedział, że doceniam naszą współpracę. I że dbam o ciebie, Janusz.

Posłużenie się imieniem było skutecznym chwytem. Cichy niemal wzruszył się dobrocią Harry’ego. Można to było dostrzec w jego oczach, które na moment zrobiły się maślane.

Harry zdusił papierosa i wstał.

– Muszę uciekać – rzucił, wypuszczając dym kącikiem ust. – Mamy mnóstwo roboty w związku z nekrofilem. – Podał rękę informatorowi, mając nadzieję, że ten sam nawiąże do wątku, który zasygnalizował w poniedziałek na schodach. Z ulgą stwierdził, że tak się właśnie stało.

– Opowiedzieć ci o tym chłopaku?

– Jakim chłopaku? – udał głupiego.

– Tym z cmentarza.

– A właśnie, jasne.

– Chyba nie myślałeś, że cię okłamałem?

– A skąd, Cichy!

Cichy uśmiechnął się.

– To klapnij na chwilę – wskazał rękę krzesło. – Opowiem w kilku zdaniach w czym rzecz.

Harry usiadł i spojrzał uważnie na swojego rozmówcę, który z zadowoleniem zaplótł dłonie i położył je na brzuchu.

– Chłopak ma jakieś dwadzieścia lat – zaczął i zaaferowany nachylił się nad stołem. – To studencik. Chyba medycyny. Od jakiegoś roku chodzi po poznańskich cmentarzach i robi zdjęcia nagrobkom. Ma słabość do pogrzebów.

Cichy zerknął na milicjanta, który słuchał go, marszcząc brwi, i upił parę łyków piwa. Otarł usta i podjął:

– Podobno jest zafascynowany śmiercią, ciałem opuszczonym przez duszę – zniżył trochę głos, jakby chciał być bardziej przekonujący. – Mówi, że ciało, które umarło i zostało odpowiednio zabalsamowane, jest najpiękniejszą rzeczą na świecie.

Arcydziełem, które trzeba odpowiednio celebrować.

Harry zamrugał oczami.

– Cichy, co ty pierdolisz? – burknął. – Ty miałeś mi sprzedać dobrą informację na temat, a nie streszczać jakiś głupi amerykański film.

Cichy się obruszył.

– Ale ja mówię prawdę! I mówię na temat! – odparł podniesionym głosem. – Chłopak ma na imię Julian. Możecie go sprawdzić.

– Skąd o nim wiesz?

– Od serdecznego przyjaciela.

– A skąd ten „serdeczny przyjaciel” o nim wie?

– Przyjaźni się z nim.

– Przyjaźni się z nim?

Cichy wyszczerzył zęby.

– Tak to nazwijmy.

– Dobra, tak to nazwiemy.

– Ten mój serdeczny przyjaciel stwierdził ostatnio, że Julian jednak zaczyna go przerażać. Ostatnio w łóżku przyznał się, że uwielbia myć trupy.

Harry wbił w niego wzrok.

– Uwielbia myć trupy? – powtórzył.

– Tak. Jego wujek ma gdzieś w Kaliszu zakład pogrzebowy i chłopak czasami dorabia sobie u niego, wykonując różne prace.

Harry zamyślił się.

– Opowiadał o tym myciu trupów z taką tęsknotą w głosie, że mojego przyjaciela wręcz zmroziło.

– No nie dziwię się.

– Podobno bardzo się zainteresował waszą sprawą. Podpytuje o nią ludzi, którzy mają jakieś związki z milicją i dziennikarzami.

– W jakim sensie podpytuje?

– Chyba chciałby się dowiedzieć, kim jest ten nekrofil. Zdaje się, że

zafascynowała go ta tajemnicza postać. Ostatnio chodzi do biblioteki uniwersyteckiej i szuka informacji o nekrofilii, a potem... – Cichy ściszył nieco głos. – A potem opowiada naokoło o różnych ciekawszych przypadkach. Ostatnio referował w łóżku Filipowi – tak ma na imię ten przyjaciel – historię jakiegoś sierżanta z Francji i jakiejś babki z Ameryki, który ukradła trupa chłopaka i uprawiała z nim seks.

Harry zbaraniał.

– Babka z Ameryki uprawiała z ukradzionym trupem seks? – wyszeptał.

– Harry, co ty tak dzisiaj po mnie powtarzasz?

Chorąży się zirytował.

– Bo to, co mówisz, jest niewiarygodne – burknął i sięgnął po paczkę papierosów.

– A to prawda – przytaknął Cichy, po czym dodał: – Niewiarygodne, ale prawdziwe.

Harry znowu zapalił. Miał wrażenie, że za sprawą opowieści Cichego zabrnął w jakąś absurdalną ślepią uliczkę. Musiał jednak przyznać sam przed sobą, że niezależnie od tego, czy ten wątek ma coś wspólnego z ich śledztwem, chciałby go lepiej poznać. Czuł się zaintrygowany. To chyba będzie śledztwo mojego życia – pomyślał.

– Kiedy ci o tym powiedział?

Cichy zastanowił się.

– W niedzielę. Na popijawie, tutaj zresztą, U Florka. O jakiejś trzeciej w nocy, gdy zostaliśmy przy stole sami, zaczął mi się żalić na Juliana. Mówił, że to taki fajny chłopak, ale chyba jednak nienormalny z powodu obsesji na punkcie trupów.

Zamilkli.

– Pójdę zamówić sobie jeszcze jedno piwo – rzucił Cichy, zerkając na zegarek. – Chcesz coś?

Harry pokiwał odmownie głową, chociaż poczuł wielką ochotę na coś mocniejszego.

– Od kiedy są razem? – zagadnął Harry, czując, że od papierosowego dymu i tych

opowieści o pieprzeniu trupów robi mu się mdło. – Twój przyjaciel i Julian.

– Od jakiegoś roku.

Choraży wyciągnął z wewnętrznej kieszeni notes i zanotował w nim parę słów.

– Jak się nazywa ten cały Julian?

– Nie mam pojęcia.

– Widziałeś go?

– Parę razy.

– Jak wygląda?

Cichy zamyślił się.

– Niewysoki – powiedział, marszcząc brwi. – Drobnny... brunet. Blady.

– Blady?

– Tak.

– Pewnie nie wiesz, gdzie mieszka?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Harry pokiwał głową.

– Chciałbym pogadać z tym przyjacielem.

Cichy opróżnił kufel i oblizał usta.

– Załatwię to – odparł, uśmiechnął się i spojrzał chorażemu głęboko w oczy.

Harry zacisnął szczęki i rozejrzał się. Kątem oka dostrzegł dwóch młodych mężczyzn, którzy trzymając się za rękę, zniknęli w toalecie. Z głośników popłynęła skoczna piosenka Village People YMCA. Choraży zaobserwował nagłe ożywienie wśród klientów, składających się głównie z mężczyzn w różnym wieku i reprezentujących rozmaite środowiska.

– *Young man* – zanucił bezwiednie pod nosem, czując, że rytmiczny kawałek znanego amerykańskiego bandu zaczyna w nim coraz energiczniej pulsować.

– I co, spotkałeś się z tym Filipem? – zapytała Dagmara, kiedy Harry skończył streszczać przebieg spotkania, pomijając szczegóły związane z kłopotliwym zaangażowaniem emocjonalnym Cichego w ich relację.

– Tak.

– I co? – Kruger wbił w niego wzrok.

– Mówiłem już, że opadnie wam szczęka, jak dojdę do pointy?

– Nie pierdol, Harry. – Dagmara się zirytowała. – Tylko gadaj co i jak.

Harry popatrzył na nich przez chwilę, chwycił się za ucho, jakby naśladował Leonarda Pietraszaka w filmie *Vabank* i powiedział tajemniczo:

– Zamówmy sobie po pięćdziesiątce.

– Po co? – naburmuszył się Kruger.

– Żeby lepiej przyjąć to, co wam powiem. Sam jeszcze tego nie przetrawiłem.

– Czego?

– Zamówmy po pięćdziesiątce.

Zamówili. Harry spojrzał na nich, zaciągnął się kolejnym papierosem, mimo że poczucie mdłości narastało w nim nieprzerwanie od ładnych paru godzin.

– Julian, który fascynuje się martwymi ciałami, nazywa się Sajkiewicz – oznajmił.

– Sajkiewicz? – Dagmara zmarszczyła brwi. – Tak samo jak...

Kruger wlepił wzrok w kolegę, który przyglądał się z zaciekawieniem ich reakcji.

– Jak Alojzy? – szepnął.

- To jego wnuk.
- Ożeż ty! – jęknęła Dagmara.
- Sprawdziłeś to? – zapytał Kruger.
- Sprawdziłem.

Zapadła cisza, którą nieśmiało zakłócała grupka starszych panów siedzącym parę stolików dalej i grających w karty.

- Miałeś rację, Harry, napijmy się.

Chwycili pięćdziesiątki wypełnione ciepłą wódką i opróżnili je jednym haustem. Przez chwilę trwali w milczeniu.

– I co? – zagadnęła w końcu Dagmara, krzywiąc się, jakby spodziewała się niedobrej wiadomości.

Harry przypomniał sobie rozmowę z medykiem.

– Byłem u Alojzego zaraz po rozmowie z kumplem Cichego – powiedział. – Przedstawiłem mu to, czego się dowiedziałem na temat jego wnuka.

Harry strzepnął popiół, przypominając sobie jednocześnie twarz lekko podpitego medyka.

– I?

Cmoknięcie.

– Załamał się? – dopytywała Dagmara.

Harry uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Przeciwnie.

– Jak to przeciwnie?

– Wydał się zaintrygowany.

– Co ty pieprzysz? Jak to zaintrygowany?

– Powiedział, że Julian od zawsze wydawał się interesującym młodym człowiekiem. „Harry, on nas jeszcze zaskoczy w jakiejś dziedzinie – tak to skomentował. – To człowiek, który nie przejmuje się konwencjami. Zuch chłopak”.

– Medycy są pojebani. – Dagmara przewróciła oczami.

– No dobra – odezwał się Kruger. – Ale nas interesuje coś innego. Czy Julian ma

jakiś związek z naszym zabójstwem?

Harry pokręcił głową.

– Nie.

– Ma alibi? – zapytał Kruger.

– Alojzy mówi, że byli całą rodziną w Koninie na grobie syna Alojzego, a ojca Juliana.

– Nie wiedziałam, że on nie żyje.

Kruger przejechał w zamyśleniu dłonią po wąsach.

– A zdarzenie lutowe? Pamiętałeś, żeby zapytać o to?

Harry spojrzął na kolegę rozbawiony.

– Pamiętałem, panie profesorze.

– I?

– W piątki Julian jest zawsze w Kaliszu, gdzie dorabia sobie w zakładzie pogrzebowym swojego wujka. Alojzy na moją prośbę zadzwonił do niego i potwierdził, że chłopak był tam wtedy. Wtedy, czyli dwudziestego szóstego lutego.

Harry rozłożył ręce.

– Czyli to nie jest nasz człowiek – dodał.

Dagmara zerknęła na chorążego.

– Ja bym na miejscu Alojzego uważała na wnuka – powiedziała. – Nie zdziwiłabym się, gdyby za parę lat okazało się, że został nekrofilem.

Jej uwaga pozostała bez komentarza.

Dagmara ziewnęła, Harry przecierał zmęczone oczy. W przeciwieństwie do nich Kruger wydawał się nagle pobudzony. Zabębnił palcami po blacie.

– Piątek – powiedział nagle, bardziej do siebie niż do nich.

Spojrzeli na niego pytająco.

– Obydwa czyny miały miejsce w piątek – wyjaśnił. – To jeszcze za mało, żeby wyciągać jakiegokolwiek wnioski, ale... – podniósł palec w górę – ale może nasz klient wyrusza na polowanie właśnie w piątki? Może następnym razem znowu uderzy w piątek?

Dagmara i Harry pokiwali z uznaniem głowami.

– W piątek trzynastego – rzuciła Dagmara, która była już potwornie zmęczona i chciała jak najszybciej dostać się do łóżka.

Harry uśmiechnął się do niej.

– Punkt dla ciebie, Freddy. Kto wie, może masz rację?

Przez chwilę posiedzieli jeszcze w milczeniu, po czym wstali, wyszli na zewnątrz, gdzie powiewał dość agresywny wiatr, pożegnali się i ruszyli do swoich mieszkań. Tej nocy nikt z nich nie miał żadnych snów.

Następnego dnia, czyli w czwartek czwartego listopada, major Bielski wezwał wieczorem „zabójczą trójkę” do swojego gabinetu. Gdy usadowili się na krzesłach ustawionych naprzeciwko jego biurka, sięgnął do miseczki wypełnionej orzechami włoskimi i schrupał jednego z wielkim smakiem.

– Moja żona mówi, że orzechy poprawiają pamięć, ale jakoś to się nie sprawdza w moim przypadku – odezwał się z przekąsem. – Ostatnio cały czas je podjadam, a pamięć mam coraz bardziej dziurawą. Dzisiaj na przykład miałem rano chwilowe zaćmienie. Zapomniałem, gdzie mieści się w samochodzie wajcha, którą otwiera się przednią klapę. – Pokręcił głową. – Muszę wam powiedzieć, że wpadłem w panikę. Pomyślałem sobie, że zbliża się alzheimer, cholera jasna. – Westchnął i zapatrzył się na stertę dokumentów, która leżała na środku biurka.

– Szefie, dlaczego pan nas wezwał? – zapytał Kruger.

Naczelnik chrząknął, po czym wyjął z szuflady kartkę papieru zapisaną ręcznym pismem.

– Dostałem dzisiaj notatkę służbową od komendanta z komisariatu Stare Miasto, która zawiera bardzo interesującą informację.

Wlepili zaintrygowani wzrok w swojego zwierzchnika.

– Otóż dwudziestego piątego września bieżącego roku – kontynuował Bielski, przebiegając wzrokiem po notatce – ktoś z naramowickiego cmentarza zawiadomił nas o nocnym włamaniu do kaplicy. Jeden z pracowników, robiąc obchód, nagle usłyszał jakieś podejrzanе dźwięki wydobywające się z kaplicy. Podszedł do niej. Zobaczył na wpół otwarte drzwi. Po krótkim namyśle zdecydował się wejść do

środku. Zapytał, cytując, „Co za licho tam weszło?”. Nie otrzymał odpowiedzi, więc wszedł do wnętrza, zapalając latarkę. Gdy stanął na środku pomieszczenia, nagle ktoś wybiegł z niego. Facet przeraził się i pospiesznie wyszedł na zewnątrz.

Naczelnik spojrział na podwładnych.

– Podobno osiwił tej nocy – oznajmił, ściągając okulary.

– Auć – syknęła Dargmara.

Bielski z powrotem założył na nos okulary i kontynuował:

– Następnego dnia stwierdzono, że ktoś otworzył trumnę ze świeżymi zwłokami kobiety. Miała rozpiętą bluzkę...

Naczelnik spojrział na swoich podwładnych.

– Interesujące, prawda? – zapytał.

– Bardzo – przytaknęła Dagmara, po czym dodała: – Czyli mamy już trzy trupie incydenty na naramowickim cmentarzu.

Zapadła cisza, podczas której każdy z milicjantów próbował w myślach wyciągnąć jakieś wnioski z przedstawionej właśnie informacji.

– Jaki to był dzień? – zapytał Kruger.

Naczelnik zerknął do kartki.

– Zawiadomienie było w sobotę – odparł – a zdarzenie w piątek.

Kruger pstryknął palcami.

– Piątek, wiedziałem!

Wszyscy zebrani spojrzeli na podekscytowanego porucznika, który oznajmił, gładząc się po swoich zadbanych jasnych wąsach:

– Musimy zastawić na niego pułapkę. W piątek, oczywiście.

Naczelnik odłożył notatkę na biurko, splótł dłonie i wlepił wzrok w porucznika.

– To sensowny pomysł – stwierdził. – Kiedy chcesz to zrobić? W najbliższy piątek?

Kruger pokręcił głową.

– Nie, to byłoby za wcześnie – odezwał się i sięgnął po zeszyt, który położył sobie na kolanach. Przekartkował go, zatrzymując się mniej więcej w połowie.

– Pierwszy znany nam czyn na naramowickim cmentarzu miał miejsce dwudziestego szóstego lutego bieżącego roku – powiedział. – Drugi, jak się teraz dowiedzieliśmy, dwudziestego piątego września. Czyli minęło jakieś pół roku. Trzeci dwudziestego dziewiątego października...

– Odstęp czasowy radykalnie się skrócił – zauważyła Dagmara.

– Tak. – Kruger zamyślił się i zanotował coś w zeszycie.

– Może więc następnym razem uderzy w ciągu paru tygodni? – dodała Dagmara.

Harry poruszył się na krześle.

– Ja bym poczekał do połowy listopada – powiedział. – Dajmy mu czas, niech klient dojdzie do siebie i poczuje znowu... głód czy co on tam czuje.

– Zauważcie – wtrącił Kruger – że to było jego pierwsze zabójstwo. Do tej pory wykradał albo próbował wykraść martwe ciała. Teraz zaatakował żywą osobę! To jest przełom w jego życiu. Według mnie Harry ma rację. Klient będzie potrzebował czasu, żeby to jakoś przetrwać.

– No właśnie – przytaknęła naczelnik, sięgając do miseczki z orzechami. – To jest jego pierwsze zabójstwo. Załóżmy, że pierwsze, bo absolutnej pewności mieć nie możemy. – Schrupał kawałek orzecha i podjął: – Musi chyba sobie zdawać sprawę, że swoim czynem ściągnął uwagę na ten cmentarz.

Podwładni przysłuchiwali mu się z uwagą.

– Zmierzam do tego, że może teraz przeniesie się na inny cmentarz. Żeby nie kusić losu na przykład.

– Brzmi to sensownie – potwierdził Kruger.

– A nam skomplikuje to robotę – kontynuował naczelnik. – Będziemy potrzebowali wielu ludzi, żeby prowadzić skuteczną obserwację cmentarzy. Nie wiem, czy komendant zechce nam wydzielić odpowiednie siły.

– Nie martwiłbym się tym na zapas – stwierdził Harry, bawiąc się pudełkiem zapalek. – Teraz po prostu skupmy się na Naramowicach. I czekajmy na to, co się wydarzy. I gdzie. No i róbmy swoje.

Naczelnik pokiwał głową.

– Wyślemy tam jutro wieczorem patrol – oznajmił. – Lepiej trzymać rękę na pulsie. Postaram się załatwić, żeby to byli inteligentni chłopcy, którzy nie rzucają się w oczy. – Schrupał kolejnego orzeszka. – A wy tropcie dalej – rzucił i spojrzał na Harry’ego. – Mówiliście coś o podejrzanym księdzu. Ruszyliście ten wątek?

– Jutro do niego wrócę – powiedział Harry i wzruszył ramionami. – Niestety, nic tu konkretnego nie mamy. Kasperski wydusił z siebie, że ten ksiądz od dziewczynki był wysoki i miał na głowie czapkę z daszkiem. To jak szukanie igły w stogu siana.

– Ale ta czapka z daszkiem – wyszczerzył zęby Kruger – brzmi interesująco.

– Freddy, a co z Jankiem Świtalskim? On przecież widział w Żurawińcu jakiegoś księdza, który zabawiał się z małolatą – zagadnęła Dagmara. – Dodzwoniłeś się do jego ciotki.

– Niestety, nie odbiera. Może też gdzieś wyjechała.

Harry wyciągnął z pudełka zapalniczkę i włożył ją do ust. Przypomniawszy sobie Grossa, mówiącego o księdzu Edmundzie i jego podejrzanym relacjach z jakąś uczennicą.

– Tylko ostrożnie z wątkiem księdza – napomniawszy ich naczelnik. – Nie chciałbym, żeby z tego wynikła jakaś awantura. Bezpieczniacy nie lubią, jak się kręcimy przy czarnych.

– Szefie, mam wszystko pod kontrolą.

– No to charaszo.

O szyby gabinetu zaczął uderzać deszcz. To Bóg się gniewa – Dagmara przypomniała sobie słowa Kasperskiej. Myślami przeniosła się na Naramowice, a potem na cmentarz. Poczowała chłód.

– Jestem ciekawa, czy nasz klient był na cmentarzu pierwszego listopada – rzuciła Dagmara. – Czy minęliśmy go gdzieś w tłumie? Może nas widział?

Pod wpływem tych nieoczekiwanych słów wszyscy członkowie narady zaczęli wyobrażać sobie postać mężczyzny przemykającego wśród grobów na pogrążonym w ciemnościach cmentarzu. Coraz intensywniejszy deszcz i świszczący w rurach wiatr podsycił ich wyobraźnię.

Piątek zaczął się kiepsko. Mniej więcej o dziesiątej przyszła informacja, że rodzina Świtalskich, która wyjechała do Hiszpanii, miała wypadek samochodowy. „Na miejscu zginął Janek, jego ojciec zmarł w drodze do szpitala – raportował oficer dyżurny. – Matka przeżyła, jej stan jest ciężki, ale stabilny”.

Zniknęła zatem szansa na pozyskanie rysopisu księdza, który był widziany w Żurawińcu w sytuacji intymnej z dziewczynką. Szkoda chłopaka – pomyślała Dagmara, maszerując na stołówkę. Po drodze natknęła się na Halinkę Biedakową. Na jej widok pomyślała sobie, że może poszukiwany przez nich ksiądz, amator młodych dziewcząt, korzysta z usług nieletnich prostytutek. Zagadnęła o to „łowczynię kurew”, która obiecała, że „popyta tu i tam i da znać”.

Po południu „zabójcza trójka” spotkała się w „knajpie za rogiem”, żeby wymienić się przemyśleniami na temat aktualnej sytuacji śledztwa. Każde z nich zaczęło się obawiać, że jego impet zaczyna wygasać i że w końcu utkną w martwym punkcie. A taki obrót sprawy znali bardzo dobrze z własnego doświadczenia, niestety. Początkowo wszystko idzie bardzo dobrze, co jakiś czas pojawiają się kolejni intrygujący podejrzani, a potem coś się psuje, los przestaje sprzyjać, sprawa zamiera i sfrustrowana grupa operacyjna czeka już tylko na cud. Na jakąś magiczną informację, która czasami się pojawia, ale najczęściej jednak nie.

W rzeczywistości jest inaczej niż na tych głupich filmach – Dagmara pastwiła się w myślach nad filmową twórczością kryminalną – gdzie genialny detektyw za pomocą swojego geniuszu rozwiązuje zagadki. Nie ma żadnej dedukcji, liczy się przede wszystkim żmudna praca operacyjna. I fuks. Pieprzone szczęście. Na

przykład w postaci donosu kogoś, kto zna sprawcę i z jakiegoś powodu chce go sypnąć.

Na niasiadówce przy kawie i papierosach wyszło na jaw, że nie bardzo wierzą w wątek księdza. Ksiądz gwałciciel? Owszem, zdarza się, ale ksiądz nekrofil? Bez przesady!

W czasie jednego z przesłuchań Kasperskiego Robiński okazał mu zdjęcie księdza Edmunda. „To nie jego widziałem na łące” – oznajmił mężczyzna. – Na pińcet procent. Serio. Tamten był jakby szerszy. Tak mi się zdaje”.

– To tylko przypadkowa zbieżność wydarzeń – powiedział Harry, wypuszczając kłęb dymu.

– Może – rzucił Kruger, przeglądając notatki w zeszycie.

– Tak czy owak – oznajmiła Dagmara – fajnie byłoby złapać klienta i uciąć mu zboczoną fujarę. Kto wie, ilu dziewczynkom zrobił krzywdę.

Gdy pograżyli się w milczeniu, do ich stolika podszedł kapitan Robiński.

– Dyżurny mówił mi, że was tutaj znajdę – powiedział, uśmiechając się promiennie.

– Cześć, Robin – powitał go Harry, dolewając do kawy whisky z piersiówki.

– Co się tak szczerzysz, chłopie? – spytała Dagmara.

– Mam powód, kochani – odparł oficer, ściskając mi dłonie.

– Jaki?

– Kolejna wykryta sprawa.

– Zrobiłeś Łazarskiego? – zapytał Kruger.

– Tak, Freddy, otóż to, zrobiłem Łazarskiego. Chcecie posłuchać?

– Jak widzisz, Robin, nudzi nam się. – Dagmara posłała mu kpiące spojrzenie. – Chętnie więc posłuchamy o cudzych zwycięstwach.

Kapitan uśmiechnął i usiadł pomiędzy Krugerem a Dagmarą. Podciągnął pas i oznajmił:

– Łazarski popełnił samobójstwo.

– Ustaliłeś dlaczego?

– Ustaliłem.

– No to mów!

– Macie jakieś pomysły? – zagadnął Robin, który uwielbiał w ten właśnie sposób opowiadać o swoich rozwiązanych sprawach. Może dlatego, że jego ojciec, który był pisarzem, mającym na koncie kilka kryminałów z serii Ewa Wzywa 07, uwielbiał opowiadać Albertowi o swoim literackim warsztacie. – Nie wierzę, że tak szybko zapomnieliście o swoim bardzo obiecującym podejrzanym. No dalej!

Popatrzyli na niego krzywo. Na twarzy Robina odmalowało się rozczarowanie.

– Może w końcu przerosło go to, że był nekrofilem? – podsunęła Dagmara, oglądając swoje paznokcie. – Miał tego dość i postanowił skończyć ze sobą.

Robin pokręcił głową.

– Nie jest to wykluczone na sto procent – powiedział, gładząc się po krawacie. – Ten element mógł być obecny w sprawie. Wyrzuty sumienia. Nie przeczę. Ale ja i moi ludzie znaleźliśmy jeszcze jeden czynnik... mniej... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – romantyczny.

– Robin, przestań – zirytował się Harry. – Mów, co wiesz, nie jesteśmy na planie *Columbo*. A potem spadaj, bo jesteśmy zajęci własną robotą.

– W trakcie rozpytania mieszkańców kamienicy, przy której mieszkał Łazarski, dowiedzieliśmy się bardzo ciekawej rzeczy. – Robin spojrzał na nich, podnosząc wymownie palec w górę. – Bardzo ciekawej rzeczy – powtórzył.

Mimo nadętej formy przekazu, zainteresowali się tą „ciekawą rzeczą”. Jak na komendę wlepili w niego wzrok.

– Otóż klient poskarżył się w sobotę przy kielichu swojemu sąsiadowi – podjął Robin – że ktoś go, jak się domyśliliśmy, próbuje szantażować. „Jeden skurwysyn chce wyciągnąć ode mnie pieniądze” – powiedział po którejś tam kolejce. Mamrotał coś o ludzkich słabościach, że on, cytując, „ma swoje za uszami, nie jest święty, ale przecież nie wolno żerować na grzechach bliźniego”. Jednak żadne konkrety nie pojawiły się w tych jego alkoholowych lamentach. – Uśmiechnął się.

– No nie dziwię się – mruknął Harry. – Też bym nie był wylewny na jego miejscu.

Do stolika podeszła kelnerka i postawiła przed kapitanem filiżankę z parującą kawą. Robin podziękował uprzejmie, nasypał cukru, wymieszał, upił i wrócił do swojej opowieści:

– Zrobiliśmy bardzo dokładne przeszukanie mieszkania. Mam w swojej sekcji gościa, który jest bardzo utalentowany w tej robocie. Pewnie kojarzycie, ksywa Mischu, ale z błędem, bo on do wszystkich mówi...

– Robin, do rzeczy – syknęła Dagmara.

– Ale wy dzisiaj nerwowie jesteście – odparł oficer, zapalając papierosa. – No dobrze, do rzeczy. Mischu znalazł w dwóch książkach, w *Słowniku języka polskiego* oraz w *W sprawie nr 78/68* Wilhelminy Skulskiej, dwie czarno-białe fotografie. Bardzo kontrowersyjne fotografie. – Robiński pokiwał głową i patrząc uważnie na swoich odbiorców, oznajmił: – Jedna przedstawia nagie ciało leżące w szufladzie w prosektorium. Drugie zaś – kapitan chrząknął, nie spuszczać ich z oczu – samego Łazarskiego przy innym nagim ciele także spoczywającym w szufladzie. Dodam, że „pan złota rączka” ma opuszczone spodnie i trzyma się za sterczącego kutasa.

Szeroko otworzyli oczy.

– Robin, czy ty sobie z nas robisz jaja? – zawołała Dagmara.

Robiński z pełną powagą zaprzeczył ruchem głowy.

– Wszystko znajdziecie w protokołach, Zbójcu – oznajmił i położył dłoń na sercu.
– Nic nie koloryzuję.

– Dzięki intensywnemu rozpytaniu mieszkańców ulicy Wodnej udało nam się natrafić na pewną starszą panią, która widziała, jak Łazarski w sobotę około południa rozmawiał z jakimś mężczyzną, którego określiła jako, cytuję, „obywatela upiornie białego o czerwonych oczach”. Ich rozmowa wyglądała jak kłótnia.

– Upiornie białego o czerwonych oczach? – zapytał Kruger.

– Tak, doszliśmy do wniosku, że mówi po prostu o... – Robiński nasypał jeszcze jedną łyżeczkę cukru do filiżanki i zamieszał – albinosie. – Upił łyk kawy. – Poszliśmy tym tropem. Zaczęliśmy szukać włamywacza i złodzieja, który jest albinosem.

Kapitan wyszczerzył zęby.

– No i znaleźliśmy – powiedział z triumfem w głosie.

– Długi Ola ze Śródki – rzucił Harry i zaciągnął się papierosem.

Robiński wbił w niego wzrok.

– Skąd wiesz? – zapytał zaskoczony.

Chorąży wzruszył ramionami.

– Któryś z moich uchoi wspomniał kiedyś o złodzieju-albinosie – odpowiedział.

Dagmara i Kruger popatrzyli na niego z uznaniem.

– Rozumiem. – Robiński cmoknął, strzepując popiół do popielniczki. – Zatrzymaliśmy gościa i rozkuliśmy bez większych problemów. W czasie przesłuchania potwierdził, że szantażował Łazarskiego. Było tak, że włamał się do jego mieszkania i w trakcie plądrowania natrafił na zdjęcia nagich trupów leżących na stole kostnicy. Na niektórych z nich widniał nagi Łazarski. Olo pomyślał sobie, że takie „trupie porno” to jest niezły materiał na szantaż. Zaczął go śledzić, no i w sobotę około południa zaszedł mu w okolicach Starego Rynku drogę. Pokazał najlepsze zdjęcie i powiedział, czego chce. W niedzielę wieczorem Łazarski miał dać mu odpowiedź. Kiedy mu powiedziałem, że klient się powiesił, stwierdził, że może zaśpiewał za dużą sumkę. Ewidentnie było mu przykro.

Robiński uśmiechnął się, zdusił papierosa i obdarzył swoich słuchaczy promiennym uśmiechem.

– *End of Story* – oznajmił i sięgnął po filiżankę kawy. – Upił parę łyków i dodał, naśladując efekciarską frazę swojego ojca: – Reszta to sprawa psychologów albo innych znawców ludzkich dusz, które pogrążyły się w mrokach grzechu.

Zaśmiali się, dobrze wiedząc, że ta „reszta” to jednak przede wszystkim sprawa dochodzeniowców, którzy muszą informacje, domysły, plotki przekształcić w dowody procesowe.

Późnym wieczorem Harry zajechał pod motel Jagienka położony nieopodal Pniew. W tym mało uczęszczanym, ale przyjemnym lokalu, zaaranżowanym w stylu rustykalnym, spotykał się czasami z majorem Grossem, który weekendy spędzał zazwyczaj w jednej z okolicznych wiosek, gdzie miał całkiem imponującą daczę.

Chorąży palił papierosa, przyglądając się niebieskiemu neonowi. Był lekko przybity. Jeszcze w komendzie zadzwonił do żony, która z ich córką, siedmioletnią Kasią, pomieszkiwała aktualnie u swoich rodziców w Puszczykowie. Próbował ją udobruchać, obiecał, że ograniczy picie, będzie częściej przebywał w domu, ale najwyraźniej nie brzmiał zbyt przekonująco. „Tomek, przestań pieprzyć, nie wierzę ci” – burknęła rozeźlona Agnieszka. – „Po prostu przestałam ci ufać”. Zapytał ją, co może zrobić, żeby to się zmieniło, żeby znowu było jak dawniej, ale ograniczyła swoją odpowiedź do oschłego „nie wiem”, i odłożyła słuchawkę.

Przez całą drogą zastanawiał się, czy ich małżeństwo da się jeszcze naprawić albo raczej ocalić. Może to drugie słowo jest bardziej na miejscu.

Kochał ją, ale podejrzewał już od jakiegoś czasu, że nie potrafi się zmienić, że bycie dobrym, grzecznym mężem jest ponad jego siły. „Mamy złe geny” – stwierdził jego brat, duchowny, kiedy zwierzył mu się z tego parę tygodni temu przy urodzinowym kielichu. „Nie powinienem tego mówić jako katolicki ksiądz” – dodał. – „Ale nad nami wszystkimi wisi fatum, z którym nie wygrasz”. To rozpoznanie siebie samego jako kogoś uszkodzonego wprawiało go w stan melancholii.

Zdusiwszy papierosa w papierośnicy ustawionej pod motelem, Harry westchnął i wszedł do środka. Skinął głową recepcjonistce i skierował się od razu do sali

restauracyjnej. Omiótł ją wzrokiem i po chwili w rogu przy dwuosobowym stoliku wypatrzył Grossa. Na sali było niewielu gości. Jakieś starsze małżeństwo, grupka dwudziestolatków, która szeptała na kufłami piwa, samotny mężczyzna, wyglądający jak stereotypowy dyrektor państwowego przedsiębiorstwa.

Idąc w stronę Grossa, minął młodą jasnowłosą kobietę, która siedziała do niego plecami. Założywszy nogę na nogę, sączyła drinka. Spod seksownej sukienki wystawał kawałek koronki czarnych pończoch, co Harry skrzętnie zauważył, reagując na ten widok lekkim przymrużeniem oczu..

Przywitał się z kolegą i od razu zapalił papierosa. Rozmowę o niczym przerwała im uprzejmie kelnerka. Harry zamówił flaczki i pięćdziesiątkę, a major pięćdziesiątkę i golonkę z chrzanem.

Gdy uporali się z zamówieniem, Gross położył na stole kopertę i przysunął ją w stronę Harry'ego. Ten wydobył z niej kilka zdjęć, które przedstawiały księdza Edmunda w trakcie odważnych pieszczot na łonie przyrody z czarnowłosą nastolatką. Na jednym z nich dziewczyna klęczała przed duchownym i trzymała w dłoni jego sztywnego penisa. Nie wyglądała na kogoś, kto jest do czegoś zmuszany. Była całkiem zadowolona z tego, co robi. Ale może to tylko złudzenie? Kłamstwo fotografii.

Harry zapalił papierosa.

– Gdzie to jest? – zapytał.

– Nad Wartą.

– A dokładniej?

– Za hotelem Naramowice.

Czyli jakieś dwa kilometry od Żurawińca – pomyślał. Po drugiej stronie Naramowickiej. Blisko. Całkiem interesujące. Całkiem. Harry nie mógł się jednak pozbyć myśli, że sprawa księdza to zupełnie inna historia. Że to ślepa uliczka. Już od dawna tak czuł.

– Kiedy to było?

– Na odwrocie masz datę.

Sprawdził. Dwudziestego czwartego lipca 1982 roku. Harry przypomniał sobie

wyjaśnienia Kasperskiego, który oznajmił Krugerowi, że widział jakiegoś księdza z nastolatką zeszłego lata na łące w Żurawińcu.

Harry pokiwał głową, odłożył zdjęcia i przywarł do oparcia. Westchnął, czując, że całodzienne zmęczenie zaczyna dawać o sobie znać. Nagle usłyszał w tyle głowy smutny głos swojego brata: „Celibat to jest nasz wielki błąd. Prędzej czy później Kościół zapłaci za niego”.

– Skoro go śledzicie, to może wiecie, czy ma alibi na dzień zabójstwa Alinki? – zapytał, wbijając wzrok w rozmówcę.

Gross spojrział na zegarek.

– Czas już na mnie. – Wstał, założył kurtkę i podał dłoń chorążemu. – Jeśli będziecie chcieli coś z nim zrobić, dajcie najpierw nam znać. Pogadamy wtedy. Z takimi grzeszkami byłby dobrym agentem.

Harry skinął głową.

– A co z tym cinkciarzem, który chciał poderwać Rominę? Udało się? – zagadnął po chwili, mając nadzieję w duchu, że odpowiedź będzie negatywna. Wierzył, że Romina to mądra babka, której nie podejdzie byle króliczek.

Major się skrzywił.

– Twoje informacje okazały się przydatne, ale podryw zakończył się klapą.

– Dlaczego?

– Romina go zatrzymała.

– W jakim sensie?

– W dosłownym sensie. Pozbawiła go wolności, zakładając mu kajdanki na ręce.

Harry cmoknął.

– Nie wiedziałem, że ona lubi takie zabawy w łóżku.

– Harry, kurwa, ona go jakby zaaresztowała! W tym sensie.

– Jak to?

– Klient był tak nieostrożny, że zaprosił ją do domu. Gdy wyszedł na parę minut z salonu, ona zaczęła myszkować i znalazła nielegalne dolary i jakąś kradzioną biżuterię.

Teraz Harry zarechotał. Ludzie są jednak jak ćmy – pomyślał. – Wszystkich ciągnie do ognia. Nikt nie jest w stanie mu się oprzeć.

– Doigrał się – powiedział.

– To prawda, będzie miał nauczkę, żeby bardziej cenić intelekt pięknych kobiet – rzucił ironicznie Gross. – Trzymaj się.

Gdy esbek odszedł, Harry zaciągnął się mocno papierosem i odchylił lekko głowę. Przymknął oczy. Spróbował rozluźnić mięśnie.

– Można się przysiąc? – usłyszał nagle kobiecy głos, wzmocniony lekką chrypką.

Otworzył oczy i ujrzał przed sobą blondynkę w seksownej czarnej sukience, którą dostrzegł wcześniej przy jednym ze stolików na sali. Miała ładną twarz, brązowe oczy, usta podkreślone czerwoną szminką. Zapach słodkich perfum podrażnił nozdrza Harry’ego, który łapczywym okiem zlustrował zgrabną sylwetkę, po czym uśmiechnął się zawadiacko.

– Jasne – odpowiedział i wyprostował się na krześle. – Zapraszam.

Odwzajemniła uśmiech, odgarnęła włosy, owiewając Harry’ego swoim ciepłem, i usiadła naprzeciwko niego.

– Czego się napijesz?

– Czegoś mocnego.

Wymienili się spojrzeniami. Dziewczyna miała pełne usta i piękne białe zęby. W jej oddechu czuł zapach wina.

– Zaraz coś zorganizuję.

– Liczę na to, przystojniaku – powiedziała, wyciągając z torebki marlboro. Ludzie są jak ćmy – powtórzył w myślach aforyzm, który parę minut temu przyszedł mu do głowy, wydobyl z kieszeni zapalniczkę, przypalił jej papierosa i ruszył sprężystym krokiem w stronę baru.

Po napisaniu notatek służbowych Dagmara poszła do pokoju Halinki Biedakowej.

– Dobrze, że cię widzę, kochanie – powiedziała na jej widok starsza koleżanka, która akurat podlewała kwiatki stojące na parapecie. – Rozmawiałam dzisiaj z taką jedną młodziutką niunią, która spotyka się czasami z pewnym księdzem. – Wlała resztkę wody do doniczki z kaktusem, odłożyła butelkę i spojrzała na Dagmarę. – Chcesz posłuchać?

– Jasne.

– To siadaj, rybko.

Dagmara usiadła i nastawiła uszu. Biedakowa wyjęła z szafki przetłuszczoną papierową torebkę z pączkami, rozerwała ją i położyła na biurku.

– Sama robiłam – pochwaliła się. – Mój stary mówi, że palce lizać. Częstuj się, myszko.

Dagmara przełknęła ślinę i uzmysłowiła sobie, że jest cholernie głodna. Jak na komendę zaburczało jej w brzuchu.

– Chętnie.

Pączek był pyszny. Halinka z radością obserwowała, jak młodsza koleżanka pałaszuje jej wypiek.

– No więc ta niunia, czarnowłosa szesnastolatka – podjęła, podgryzając pączka – od jakiegoś roku spotyka się z księdzem, niezłym ogierem, jak twierdzi. Mówiąc ściślej, z księdzem Edmundem z parafii na Naramowicach. Latem lubił się z nią zabawiać na łonie natury.

– Gdzie?

– Nad Wartą.

– A dokładniej?

– Za hotelem Naramowice. Kojarzysz? Musisz przed hotelem skręcić w prawo, patrząc od strony miasta, i potem jechać do samego końca asfaltowej drogi. Mniej więcej do mostu. A potem pójść piechotą nad samą rzekę. Tam się spotkali parę razy na dymanku, podobno ostrym.

Halinka dojadła pączka, złożyła torebkę, wrzuciła do kosza na śmieci, wytarła ręce i zapytała:

– Napijesz się kawusi?

– Z wielką przyjemnością.

Halinka wydobyła z biurka termos oraz dwie szklanki, do których naląa parującej kawy.

– A Żurawiniec? – spytała Dagmara. – Spotykali się na terenie Żurawińca?

– Nie.

– Jesteś pewna?

– Pytałam o to wyraźnie, odpowiedź była również wyraźna i przecząca. Nigdy się tam nie seksili. Tylko nad Wartą, no i w motelu, regularnie, gdzie spotykają się cały czas. I dzisiaj zresztą pewnie też. – Halinka się zaśmiała. – Piątek to ich dzień.

– W jakim motelu?

– Za Poznaniem. W... cholerka, zapomniałam. Coś na „k” albo „g”. Jak się jedzie na Kórnik.

– W Gądkach?

– Bingo.

Milicjantki napiły się kawy i przez chwilę milczały.

– Ale prawdę mówiąc – odezwała się Halinka – mam dla was niezbyt dobrą wiadomość.

– No?

– Na tamten piątek ksiądz Edmund ma alibi.

Dagmara westchnęła.

- Był z nią w Gądkach?
- Ano. Od siedemnastej do dwudziestej pierwszej, proszę ciebie.
- Jesteś pewna?
- Niestety na tysiąc procent. Moja dziewczucha jest prawdomówna.
- Szkoda.

Halinka rozłożyła ręce w geście bezradności. Dagmara zaklęła pod nosem, zamieniła parę słów z uczynną koleżanką i wróciła do siebie, żeby napisać jeszcze jedną notatkę służbową. Potem założyła swój skórzany płaszcz, zapukała do oficera dyżurnego, porozmawiała z nim i w końcu opuściła komendę.

Była wolna. Spojrzała na zegarek. Minęła dwudziesta druga. Czas przestawić się z trybu pracy na tryb odpoczynku. Gdy uzmysłowiła sobie, że nadchodzący weekend będzie miała wolny, uśmiechnęła się szeroko.

Przebiegła wzrokiem po wyludnionym placu Wielkopolskim. Na jednej z ławek dostrzegła grupkę starych kurewek, które bezskutecznie próbowały zaczepiać przechodzących pospiesznie mężczyzn. „Za pół darmo, kawalerze” – to był jej ulubiony tekst.

Dagmara wsiadła do samochodu, zapaliła papierosa i zamyśliła się. Nie myślała o niczym konkretnym. To był raczej strumień luźno ze sobą powiązanych obrazów, z których wynikało, że ma wielką ochotę na jakąś knajpę.

Gasząc papierosa, dostrzegła przechodzącą tuż obok jej samochodu znajomą sylwetkę. Był to wysoki mężczyzna, którego długie włosy powiewały na wietrze. Wyróżniał się na tle innych przechodniów. Dżinsowa kurtka, długi szal, dżinsowe spodnie i oficerki, które stuknęły głośno o betonowe płyty.

Wysiadła z samochodu.

– Cześć, Kogut!

Mężczyzna obrócił się w jej stronę, zwalniając kroku. Gdy ją dostrzegł, uśmiechnął się.

- Cześć, piękny Zbóju – zawołał.
- Podwieźć cię gdzieś?

Podszedł do niej, objął i pocałował w usta. Uwielbiała zapach jego perfum, które zawsze kojarzyły jej się z wiatrem, rockiem, ryzykiem.

– Może do mnie? Mam dobre wino i kilka nowych płyt – wyszczerzył zęby.

– A masz prysznic? Muszę wziąć solidny prysznic.

Oczy Koguta zabłyśły.

– Mam wannę, w której mogę ci nawet umyć plecy, a potem je wymasować.

– W takim razie wskakuj do auta.

– Genialnie!

Godzinę później Dagmara zdjęła na oczach zachwyconego Koguta bieliznę kupioną niedawno w pewexie i zanurzyła się w wannie pełnej ciepłej wody i aromatycznej piany. Tego mi było trzeba, pomyślała, zerkając na swojego półnagiego dwudziestoparoletniego przyjaciela. Był doskonale zbudowany, dokładnie tak jak lubiła. Wbiła wzrok w imponujące wybrzuszenie w slipkach. Zagryzła usta.

– Pokaż go – szepnęła.

Pokazał i podszedł do niej. A potem pozwolił się objąć ustami.

W tym samym mniej więcej czasie Freddy rozlewał wino własnej roboty sobie i swojej żonie. Nelka już spała, więc mogli w końcu zająć się sobą. Stuknęli się i upili po parę łyków.

– Pocałuj mnie, kapitanie Żbiku – szepnęła Basia, rozwiązując paseczek swojego czarnego jedwabnego szlafrocza.

Zobaczywszy jej małe, kształtne i sterczące piersi, cmoknął mimowolnie.

Basia wstała, a on z narastającym podnieceniem wpatrywał się w jej ciało. Rozsiadł się wygodnie, czując przyjemny ucisk w podbrzuszu. Zupełnie nieoczekiwanie przyszło mu do głowy, że jest szczęśliwy.

– Pewnie się nie spodziewałeś, oficerze, że małżeństwo oznacza regularne pieprzenie się z fajną dziewczyną, co?

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. Zdjęła czarne figi, wyrzuciła je za sofę, a potem zrobiła obrót zgrabnie jak baletnica.

– Pocałuj mnie, ale zacznij od dołu.

Objęła go za szyję i przysunęła jego twarz do swojego ciepłego brzucha. Gdy zaczął z coraz większym zaangażowaniem spełniać jej rozkoszne polecenie, rozległ się telefon. Kurwa jego mać – zaklął w myślach.

Mając nadzieję, że intruz wkrótce przestanie zakłócać im małżeńską randkę, całował dalej biały brzuch swojej podnieconej żony.

Telefon umilkł, ale tylko na chwilę.

– Tylko nie teraz! – jęknęła Basia.

Freddy westchnął i podniósł się z sofy.

– Przepraszam, kochanie, ale muszę odebrać – wymamrotał, wycierając wilgotne usta.

Począł do przedpokoju i podniósł słuchawkę.

– Freddy, przepraszam, że ci przerywam wieczór z małżonką – to był dyżurny. – Ale zmuszają mnie do tego siły wyższe.

– Co jest?

– Zabójstwo. I to chyba razy kilka!

– Chyba?

Freddy spojrzał na nagą żonę, która piła wino i uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

– Zaraz podjedzie po ciebie nyska.

– Ale powiedz, co się stało, do cholery!

– Mamy tu pana, który twierdzi, że zabił, cytuję, „tatusia, mamusię i brata”.

Freddy uniósł w zdziwieniu brwi.

– Co ty pierdolisz?

– Nie pierdołę. To potwierdzone info. W jego mieszkaniu rzeczywiście znaleziono wymordowaną rodzinę. Na razie. Za pięć minut poznasz szczegóły. Zakładaj gacie!

Dyżurny przerwał połączenie.

– Kurwa mać – zaklął Freddy i spojrzał na Basię, która zrobiła smutną minę i opadła na sofę.

Gdy wcześnie rano otworzył oczy, czuł się, jakby spędził całą noc w kinie na oglądaniu amerykańskich filmów, w których odgrywał rolę czarnych charakterów. Fakt, że robił złe rzeczy niewinnym ludziom, przejął go do szpiku kości.

Przecież ja nie jestem złym człowiekiem – zaprzeczał gorączkowo w myślach. Ja nie jestem zły. To jakaś pomyłka!

Na moment przed przebudzeniem zobaczył siebie skradającego się za jakąś kobietą. Wokoło panowały ciemności. Gdzieś z przodu tliło się światło. To był chyba tunel, może przy Cytadeli albo na Śródcie. A może w zupełnie innym mieście? Do jego nozdrzy dochodziła dławiąca woń moczu. Skradał się za tą kobietą i czuł, że serce wali mu jak oszałałe.

Gdy dostrzegł w swoich dłoniach nóż, chciał wrzasnąć, chciał rykiem powstrzymać samego siebie, ale głos ugrzązł mu w gardle. Wtedy zrozumiał, że nie jest już w stanie powstrzymać człowieka, którym był on sam.

To dziwne rozdwojenie przyprawiało go o zawrót głowy. Przyspieszył kroku. W pewnym momencie źle postawił nogę, potknął się i kopnął leżącą na ziemi butelkę. Dźwięk tłuczonego szkła rozniósł się po tunelu. Skrzywił się.

Kobieta odwróciła się gwałtownie i wbiła w niego przerażony wzrok. Przyspieszył, czując, że przez jego ciało przechodzą dreszcze. Przez chwilę miał wrażenie, że jest na polowaniu, na którym był kiedyś ze swoim chrestnym. Ten sam dreszczyk podniecenia. Ta sama żądza krwi. Potrzeba ustrzelenia zwierzyny. Mocniej ścisnął nóż.

Kobieta krzyknęła i rzuciła się do ucieczki. Ruszył za nią, ale ona była niezwykle

szybka. Po parunastu metrach skręciła w prawą stronę i zniknęła mu z oczu. Do jego uszu dobiegł odgłos oddalających się po schodach kroków. Sapnął niepokieszony.

Nagle na końcu tunelu – w świetle rzucanym przez uliczną latarnię – ujrzał dziewczynkę. Podniosła rękę, jakby chciała go przed czymś powstrzymać. To była Martynka.

Przystanął i ciężko dysząc, przyglądał się jej z rosnącym zdumieniem.

– Dlaczego mnie zabiłeś? – zapytała swoim niewinnym głosem.

Pokręcił rozeźlony głową.

– Ja cię nie zabiłem! – wrzasnął. – To ktoś inny!

Wtedy usłyszał przejeżdżający górą tramwaj i w tym właśnie momencie otworzył oczy. Ja nie jestem złym człowiekiem – próbował sam siebie przekonać. To jakaś pomyłka. Spojrzał na żonę, która leżąc obok, głośno pochrapywała. Westchnął i podniósł się z łóżka.

Zrobił sobie śniadanie, a potem wydobył ze skrytki kluczyk i poszedł na swój stryżek. Wciągnął powietrze, w którym unosił się trupi zaduch, i postanowił, że zrywa z tym. Na zawsze. Potem wyciągnął z pustej klatki na króliki kartonik, w którym trzymał swoje skarby. Chwilę później czytał stare listy od Karoliny, czując, że serce zaczyna mu szybciej bić. Wreszcie podniósł głowę i rozejrzał się wokoło.

– Napiszę do niej – powiedział do siebie. – Napiszę do niej i zacznę wszystko od nowa.

Potem przejrzał listy, które napisał, marząc o Karolinie, a których nie ośmielił się wysłać. Po lekturze pierwszego się podniecił. Odłożył kartki na półkę i rozpiął rozporek. Dygotał.

CZEŚĆ

TRZECIA

Śledztwo o kryptonimie „Chirurg” z każdym kolejnym tygodniem wytracało swój impet. W końcu, gdzieś na początku marca 1983 roku, kompletnie utknęło w miejscu. Zmasowane siły milicyjne przeczesały cały Poznań, Kruger przy pomocy Robińskiego przewertował stosy akt, w których pojawiały się wątki dewiacji seksualnych, Dagmara z Halinką Biedakową przepętały niemal wszystkie miejscowe prostytutki oraz ich klientów o bardziej ekscentrycznych potrzebach, Harry objechał zakłady karne, w których miał zainstalowaną agenturę – niestety, nic z tego nie wynikło.

Mimo wielkich starań nie udało się natrafić na trop prowadzący do perwersyjnego przestępcy, którego mieszkańcy Poznania i okolic nazywali po prostu „wampirem”.

W połowie marca pułkownik Ernest Kamiński, szef Komendy Miejskiej, zwołał naradę kierownictwa swojej jednostki, na której pojawił się również major Bielski, naczelnik Wydziału Zabójstw.

– Gdzie jest ten złamany chuj, który grasuje po cmentarzach i wycina trupy? – ryknął Kamiński, uderzając pięścią w blat biurka.

Wszyscy zebrani zamarli. W dupę – pomyślał Bielski, nieświadomie składając rękę jak do modlitwy. Nie jest dobrze.

Kamiński wytarł pot z czoła i spojrzał na Bielskiego.

– Sławek, kurwa, stworzyliśmy twój wydział specjalnie na takie okazje i co, kurwa? I nic, kurwa! Pytam się, gdzie jest ten jebany „wampir”? Dlaczego go jeszcze nie wykryliśmy?

Bielski wyprostował się jak oparzony i chrząknął.

– Klient się przyczaił – powiedział, z trudem dobierając słowa. – Cały czas go namierzamy. To musi trochę potrwać.

Kamiński spojrzał na swojego zastępcę, podpułkownika Mariusza Bejdę, który siedział po jego prawicy. Uśmiechnął się ironicznie.

– Rozumiem, że teraz modlimy się z całych sił, żeby ten popierdoleniec raczył raz jeszcze zaatakować jakiegoś truposza, tak? I wtedy go łaskawie zdejmujemy, tak? Dobrze rozumiem tym swoim biednym łbem?

Bejda prychnął pogardliwie. Bielski poczerwieniał. Z tym się akurat zgadzam – odgryzł się w myślach. Twój zakuty łeb jest bardzo biedny.

– Nie ująłbym tak tego – odezwał się.

– Nie ująłbyś tak tego?

– Raczej nie.

Kamiński westchnął ciężko i oparł łokcie na biurku.

– Dzwonił do mnie komendant główny i wysyczał mi do słuchawki, że jeśli nie wykryjemy „wampira” do końca kwietnia, oddaje sprawę Komendzie Wojewódzkiej.

Kamiński sięgnął drżącą ręką po paczkę bielomorkanałów, swoich ulubionych papierosów, zapalił i zaciągnął się.

Spłoszeni podwładni przyglądali się w milczeniu swojemu zwierzchnikowi, który w skupieniu wypuszczał dym. Po jakiejś minucie Kamiński oznajmił:

– W ciągu tygodnia chcę mieć coś konkretnego. – Zdusił papierosa. – A teraz wypierdalać do roboty – burknął.

Najwyraźniej odprawa miała być czymś w rodzaju motywującego aktu terroru.

Kamiński spojrzał na Bejdę.

– Zostań, będziemy się modlić o nowe zdarzenie.

Bejda, stary ateusz, pokiwał posłusznie głową. Oficerowie w grobowym milczeniu opuścili gabinet szefa.

Najwyraźniej modły komendantów zostały wysłuchane. W piątek 25 marca 1983 roku „wampir” ponownie zaatakował naramowicki cmentarz. Nazajutrz rano

pracownicy cmentarza powiadomili milicję, że ktoś rozkopał świeży grób szesnastoletniej dziewczyny.

Wezwany na miejsce doktor Kulej poddał wnikliwym oględzinom odnalezione ciało. Było zbezczeszczone tak jak ciało Martyńki: ktoś wyciął jej piersi oraz genitalia. Medyk stwierdził, że cięcia są coraz bardziej fachowe.

Technicy zabezpieczyli ślady obuwia, które świadczyły o tym, że sprawcą jest niewysoki mężczyzna.

Któryś z funkcjonariuszy biorących udział w rozpytaniu ustalił, że około północy pewien pijaczek widział „chudego penerka”, który pędził jak szalony na zielonym rowerze, chyba Wigry, wzdłuż Jasnej Roli w stronę cmentarza. Niestety, świadek nie potrafił opisać jego wyglądu.

Po tym zdarzeniu, które Kamiński z Bejdą skomentowali ironicznie jako „święty owoc naszych modłów”, postanowiono patrolować naramowicki cmentarz po zmierzchu każdego piątku.

W piątek 29 kwietnia około dwudziestej trzeciej Dagmara i Harry weszli na teren naramowickiego cmentarza jako nocny patrol, zastępując dwóch młodych chłopaków z prewencji. Z tyłu kapliczki, pod osłoną drzew i krzewów, zamienili z nimi parę zdań ściszonymi głosami.

- Wszystko w porządku?
- Cisza, spokój, nic się nie dzieje.
- Ale jakoś tak nieprzyjemnie.
- Nic dziwnego.
- Miałem cały czas wrażenie, że ktoś mnie obserwuje.
- No dobra, spadamy.
- Powodzenia.

Gdy sierżanci odeszli, Dagmara i Harry zrobili mały obchód, krążąc pogrążonymi w ciemnościach alejkami.

Z każdą kolejną minutą robiło im się coraz bardziej nieswojo. Każdy trzask brzącający w tej ponurej ciszy o wiele intensywniej, każdy szmer w zaroślach czy głośniejszy odgłos ptaka sprawiał, że serca zaczynały im szybciej bić.

Jakieś pół godziny później podeszli do grobu, w którym od paru dni spoczywała trzydziestoletnia kobieta, Anna Tylman. To był jedyny świeży grób w miarę młodej osoby na tym cmentarzu. Plan, powstały podczas odprawy u majora Bielskiego, był taki, żeby przed północą ulokować się obok tego grobu w zaroślach i cierpliwie czekać przez jakąś godzinę czy dwie na przybycie klienta.

„Jeśli przyjdzie w ten piątek i będzie chciał coś wykopać, powinien skusić się na

ten właśnie grób” – orzekł Kruger, z czym każdy się zgodził.

– Myślisz, że połakomi się na martwą trzydziestkę? – szepnęła Dagmara, rozglądając się wokół.

– Oby – mruknął Harry. – Oby.

Gdzieś w tyle głowy Dagmarze pobrzmiwały słowa kolegi z prewencji: „Miałem cały czas wrażenie, że ktoś mnie obserwuje”. A jak to jest naprawdę jakiś świr, pierdolony rzeźnik? – pomyślała nagle, czując, że zalewa ją fala gorąca. I rzuci się na nas z siekierą albo nożem myśliwskim?

Rozpięła swój skórzany płaszczyk, położyła dłoń na kaburze i odpięła ją. Harry dostrzegł ten gest.

– Będzie dobrze – powiedział i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni swojej kurtki piersiówkę. – Napij się.

Wzięła kilka porządnych łyków.

– Lepiej? – zagadnął.

– Lepiej.

Miała wielką ochotę przytulić się do niego i zapomnieć o całej tej akcji. Czuła narastający niepokój. Zaczął boleć ją brzuch. Weź się w garść – mówiła do siebie, zaciskając szczęki.

Harry uśmiechnął się, przyłożył szyjkę piersiówki do ust i opróżnił ją.

– Dzisiaj wziąłem dwie – wytarł usta i wyszczerzył zęby. – Dla wzmocnienia nerwów.

– Mogłeś wziąć od razu pół litra. Dla wzmocnienia skołatanych nerwów.

Zachichotali. Zbliżała się północ. Brakowało jeszcze dziesięciu minut. Oddalili się więc od grobu, chowając się w gęstych zaroślach. Usiedli na zimnej kamiennej płycie i przez szparę obserwowali całkiem nieźle oświetloną teraz ścieżkę prowadzącą do grobu dziewczyny.

Nagle księżyc zniknął za chmurami i zrobiło się ciemno. I właśnie w tym momencie ciszę przerwał przenikliwy i nieprzyjemny dźwięk.

Dagmara drgnęła i szybko wyciągnęła z kabury broń. Żołądek podszedł jej do

gardła.

– Co to, kurwa mać? – szepnęła, wychylając się zza zarośli.

Niewiele jednak dało się dojrzeć w zalegających ciemnościach.

– To chyba sowa – odparł Harry.

Dagmara schowała broń, próbując uspokoić oddech.

– Myślałam, że to jakieś zombie – burknęła.

– Chyba nie.

Gdzieś w oddali odezwał się kościelny dzwon. Wybiła północ. W końcu zza smolistych chmur wyszedł księżyc i zrobiło się jaśniej. Harry podniósł się ostrożnie i zlustrował teren.

– Widzisz coś?

– Nic.

Harry sięgnął po drugą piersiówkę. Wypili po parę łyków, dzięki czemu rozluźnili się trochę, szczególnie Dagmara, której wyobraźnia zaczęła podszeptywać różne czarne myśli. Czas płynął, ale przy grobie nikt się nie pojawiał. Kwadrans przed pierwszą Harry oznajmił, że zrobi obchód cmentarza.

– Kto wie, może jednak wybrał inny grób – szepnęła. – Odbezpiecz broń, ale pamiętaj, że musimy go wziąć żywego.

Na myśl o tym, że zabójca i nekrofil mógłby się tutaj pojawić podczas nieobecności Harry'ego, Dagmara poczuła na plecach dreszcze.

– Będę pamiętała – zapewniła go.

Gdy Harry zniknął w ciemności, odbezpieczyła broń i w napięciu oczekiwała, co przyniesie czas. Żeby jakoś osłabić pulsujący lęk, próbowała myśleć o czymś innym, o czymś przyjemnym, ale niestety, umysł podsunął jej sceny z Zuzią, której grób był oddalony o jakieś sto metrów. Bezwiednie spojrzała w jego kierunku. Westchnęła i zabezpieczyła broń.

Przypomniała sobie ponurą atmosferę w szkole po pogrzebie tej lubianej ogólnie uczennicy. Wszyscy zastanawiali się gorączkowo, dlaczego to zrobiła. Przecież była wesołą, energiczną dziewczyną, pełną planów na przyszłość. Nikt nie wiedział

o gwałcie. Nawet jej rodzice. Zuzia zwierzyła się z tego tylko Dagmarze.

Któregoś dnia jeden z kolegów, Mikry, którego ojciec był milicjantem, rzucił na korytarzu w czasie przerwy, że Zuzię mógł ktoś zgwałcić. Wszyscy byli w szoku. „Kto?” – pytali. „Nie mam pojęcia” – odpowiadał Mikry. – „Podśluchałem starego, jak rozmawiał z kimś przez telefon. Podobno taka jest wersja śledcza”.

Po paru dniach Mikry przyniósł do szkoły elektryzującą wiadomość. Podobno dyrektor ich budy, Edmund Męczyński, kiedy pracował parę lat temu jako nauczyciel historii we Wrześniu, był podejrzewany o gwałt na uczennicy. Sprawa rozeszła się po kościach, a on miesiąc później zaczął pracować u nich.

Dagmara zaczęła podpytywać koleżanki o dyrektora. Okazało się, że to był dość obleśny facet, który w rozmowach przeprowadzanych na osobności z uczennicami często wypowiadał uwagi o seksualnym charakterze. Podobno parę z nich klepnął po tyłkach.

A może to rzeczywiście on zgwałcił Zuzię? – pomyślała w pewnym momencie. Któregoś razu przemogła się, poszła na pobliski komisariat i poinformowała umundurowaną kobietę po pięćdziesiątce o swoich podejrzeniach.

Parę dni później Męczyński zniknął. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Nauczyciele milczeli jak zakłęci. Mikry podpytywany przez koleżanki i kolegów, zaklinał się, że nic nie wie. Podobno komuś powiedział podczas jakiejś popijawy, że Męczyński musi być „z jakichś pieprzonych powodów pod ochroną SB”.

Pod wpływem tych obrazów z przeszłości Dagmara zaczęła szybciej oddychać. Zrobiło jej się słabo. Wstała, pocierając ręką twarz. Nagle usłyszała szelest w zaroślach za sobą. Odwróciła się gwałtownie, gdy ktoś dotknął jej ramienia. To był Harry. Odetchnęła z ulgą.

– Ktoś idzie – szepnął.

– Kto?

– Skąd mam wiedzieć?

No tak – pomyślała zażenowana. Strach ściska mi jaja i mózg. Weź się opanuj, kobieto.

Przytknęli głowy do zarośli. Księżyc oświetlał teraz doskonale ścieżkę, po której

przemykała jakaś postać trzymająca w dłoniach podłużne narzędzie. Ki chuj?

Postać podeszła do grobu i przeżegnała się. To był mężczyzna. Wysoki, zwały, ubrany w wojskowe moro. Na głowie miał czapkę z daszkiem, na nogach oficerki. W dłoniach trzymał młotek.

– Jesteś bezpieczna, córeczko – powiedział łamiącym się głosem. – Żaden zboczeniec nie zrobi ci krzywdy. Obiecuję.

Przeżegnał się raz jeszcze i ukrył wśród drzew naprzeciwko zarośli, w których czaili się śledczy.

Harry i Dagmara spojrzeli po sobie w osłupieniu.

Dziesięć minut później na ścieżce pojawiła się kolejna postać. Zmrużyli oczy, żeby ją lepiej widzieć. To był niewysoki, szczupły mężczyzna. W wiosennym płaszczyku, z beretem na głowie. Przez ramię miał przewieszoną torbę. Pogwizdywał niewyraźnie nieznaną im melodię. Przystanął przy jakimś grobie, oddalonym od nich mniej więcej o trzydzieści metrów. Przeżegnał się, wydobyl z torby znicze, zapalił je i ustawił na marmurowych płytach. Coś przy tym mamrotał, ale nie słyszeli co. Padło chyba imię „Asia”.

Księżyc wychylił się w całej swojej okazałości zza chmur i oświetlał teraz fragment obserwowanego przez nich cmentarza jak teatralną scenę.

Po kwadransie mężczyzna rozejrzał się wokoło, jakby sprawdzał, czy nikt go nie śledzi, i ruszył w ich kierunku. Śledczy wyciągnęli broń z kabury, nie spuszczać go z oka. Mężczyzna stanął przy grobie Tylman, wyciągnął z torby saperkę i zaczął ją w skupieniu skręcać.

Napięcie rosło.

Przyglądali się jego ruchom i jednocześnie zerkali na drzewa, wśród których skrył się tajemniczy mężczyzna w wojskowym moro. Po chwili dostrzegli tam minimalny ruch. Coś trzasnęło, ale mężczyzna skręcający saperkę nie zwrócił na to uwagi.

Harry nachylił się do Dagmary.

– Zbóju, ja wezmę Wojaka, a ty Szczurka – szepnęła.

– Tak jest.

– Ale na razie obserwujemy, co tu się będzie odpierdalać.

– Dobra.

Dagmara poczuła mrowienie na plecach. W czymś takim jeszcze nigdy nie brała udziału. Przez chwilę wydawało jej się, że to sen, jakiś majak na jawie. Zamrugła oczami parę razy. To jest, kurwa mać, rzeczywistość – pomyślała i zacisnęła mocniej dłoń na broni. To nie film! To się dzieje naprawdę! Zaraz go złapiemy!

Przyptyw adrenaliny dodał jej pewności siebie. Zerknęła na kolegę, który mrużąc oczy, lustrował przez szparę w zaroślach scenę wydarzeń. Wydawał się całkowicie opanowany.

Szczurek rozłożył w końcu saperkę, stanął przy krzyżu ustawionym na grobie i przeżegnał się. Przez parę minut trwał w bezruchu. Potem pogładził się po kroczu, splunął, wzniosł saperkę i wbił ją w kopiec ziemi. Wykonał parę ruchów i przetarł ręką czoło. Zdjął płaszcz, a potem bluzę.

Spocił się kutafon – pomyślała Dagmara.

– Idę po ciebie – powiedział mężczyzna, mlaskając z podniecenia, i wrócił do pracy. – Poczekaj, moja maleńka.

Zaczął energicznie kopać. Nagle ciszę przerwał trzask łamanej gałęzi.

– To ja idę po ciebie, zboczony łachmyto – rozległo się gniewne warknięcie.

Śledczy spojrzeli na drzewa, zza których wyłonił się Wojak. Jego twarz była wykrzywiona potwornym grymasem. Sprężystym krokiem szedł w stronę Szczurka i wymachiwał groźnie młotkiem.

– Zaraz cię zajebię, cmentarna hieno – ryknął. – Zaraz ci roztrzaskam ten popierdolony łeb, gnido.

W oddali rozległ się nieprzyjemny odgłos sowy. Dagmara wzdrygnęła się. Miała wrażenie, że ktoś wrzucił jej za kołnierz grudki lodu.

– Zbóju – szepnął Harry. – Ty Szczurka, ja Wojaka. Dalej!

Zerwali się na nogi i wybiegli na ścieżkę.

– Na glebę, kurwa! – wrzasnął Harry.

– Na glebę! – zawtórowała Dagmara, czując nagły przyptyw mocy.

– Dalej, dalej, kurwa jego mać!

Dwie godziny później Harry i Dagmara siedzieli w milicyjnej nysce i potwornie zmęczeni opowiadali o swojej nocnej przygodzie. Słuchacze w skupieniu chłonęli każde ich słowo. Gdy dotarli do momentu, w którym rzucili się do ataku na dwóch mężczyzn, nazywanych przez siebie Wojakiem oraz Szczurkiem, zamilkli i upili parę łyków parującej kawy.

– No i co było potem? – zagadnął Kruger, zerkając na nich zaciekawiony.

– Katastrofa – odparł Harry i odstawił kubek na bok.

Wszyscy wbili w niego wzrok. Dagmara przymknęła na chwilę oczy, raz jeszcze przyglądając się poszczególnym scenom z nieudanej akcji.

– Wycelowałem kłamię w klienta, który ścisnął w łapach młotek – kontynuował chorąży. – Ale on był w jakimś amoku. Kręcił tylko głową i mówił, żebyśmy się odpiardolili, że on sam to załatwi z tym pojebem. Przeładowałem broń. „Uspokój się” – warknąłem. „Jesteśmy z milicji i załatwimy to jak trzeba”. „Gównie załatwicie – wrzasnął. – Spierdalajcie. Zabiję go i wtedy możecie go sobie zatrzymać”.

Dagmara ujrzała przerażającą postać Wojaka. Miał rozbiegane oczy, trząsł się strasznie. „Spierdalajcie stąd, sam to załatwię. Jestem ojcem i nie pozwolę takim bestiom jak on chodzić po świecie” – mamrotał. Potem zobaczyła siebie. Podeszła do Szczurka, który grzecznie padł na glebę. Sięgnęła po kajdanki.

– Facet w ogóle mnie nie słuchał – opowiadał Harry. – Czaił się na mnie z tym pieprzonym młotkiem. Krzyknąłem raz jeszcze, żeby się położył na ziemi.

Dagmara otworzyła oczy i zatrzęsała się.

– A on rzucił młotek w krzaki i ruszył na mnie z pięściami. Strzeliłem w górę.

Nie zareagował. Strzeliłem mu w nogę, ale to badziewie zacięło się i klient przewrócił mnie na ziemię. Na szczęście Zbój opanował sytuację. – Harry spojrzał na Dagmarę i skinął głową.

Wszyscy przenieśli wzrok na nią. A ona po raz kolejny w ciągu tych dwóch godzin zobaczyła, jak puszcza Szczurka i podbiega do Wojaka, który rzucił się na Harry'ego w akcie desperacji i powalił go na ziemię, a potem, przerażona jak nigdy, uderza go w głowę chwytem pistoletu.

– Rąbnęła go w ten zakuty łeb i założyła kajdanki. Niestety, wykorzystał to ten nasz trupojad i spierdolił.

– No i klops – stwierdził major Bielski i klasnął dłońmi w uda. Spojrzał na Harry'ego i Zbója, pokiwał głową i dodał: – Ale najważniejsze, że jesteście cali i zdrowi.

Naczelnik podniósł się z siedzenia.

– Dajcie im wódki, żeby doszli do siebie – zakomenderował i wyskoczył na zewnątrz.

– Co z psami? Podjęły trop? – zawołał.

– Podjęły i zgubiły.

– No żeż – warknął Bielski. – Ile ich puściliście?

– Trzy – padła odpowiedź. – Po kolei.

– To wydzwońcie jeszcze czwartego. Może coś wyniucha. Kto wie, czy ten skurwiel nie mieszka gdzieś w pobliżu. Na tych zdegenerowanych Naramowicach. Przepraszam, jeśli ktoś tu mieszka.

Gdy Bielski odszedł, Kruger uścisnął zimną dłoń Dagmary i powiedział z wielką serdecznością:

– Dobrze było, naprawdę! Na twoim miejscu zrobiłbym tak samo. Skupił się na partnerze, któremu groziło niebezpieczeństwo.

Dagmara zerknęła na niego, zagryzła wargi, skinęła głową i spojrzała na swoje brudne buty. Harry wyciągnął piersiówkę i podał ją Dagmarze.

– Dziękuję, Zbóju, uratowałaś mnie.

Upiła solidny łyk, wytarła usta i wyskoczyła z nyski, żeby nabrać świeżego powietrza. Kwadrans później Kruger zaprowadził ich do grobu, na którym Szczurek, czyli najprawdopodobniej poszukiwany przez nich nekrofil oraz zabójca, zapalił znicze.

– Zastanawiam się, kim ona jest – oznajmił Kruger, używając z lekka pytającej intonacji. Otworzył zeszyt i zapisał coś. – Kim ona jest dla niego?

Wlepili wzrok w wizerunek uśmiechniętej dziewczyny przytwierdzonej do marmurowej płyty. Miała czarne włosy i duże brązowe oczy, z których emanowało szczęście.

– Joanna Gołębiowska – Dagmara zaczęła odczytywać informacje z nagrobka. – Urodziła się dwudziestego szóstego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, zmarła trzynastego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku...

Pociągnęła nosem.

– Młodziutka – odezwała się markotnie.

Harry oświetlił napis, który niknął w cieniu rzucanym przez marmurowy wazon wypełniony sztucznymi kwiatami.

– „Nie my wyznaczamy czas przyjścia i czas odejścia” – wyrecytował.

Zapadła cisza, zakłócana przez wiatr, który zaczął pogwizdywać, oraz techników, którzy cały czas krzatali się przy grobie Tylman.

– Pewnie to ktoś z rodziny – zasugerowała Dagmara.

– Albo przyjaciółka – rzucił Harry.

– Obstawiam siostrę – powiedział Kruger.

Zamilkli. Nagle doszedł ich głos jednego z techników:

– Ten nekrofil ma stosunkowo małą girę, kurczę pieczone. A ja myślałem, że to jakiś Frankenstein. Chłop na dwa metry wysoki. Niewiarygodne!

W sobotę „zabójcza trójka” z wielkim zainteresowaniem przeczytała protokół oględzin miejsca zdarzenia z zeszłej nocy. Ich uwagę zwróciły głównie trzy rzeczy.

Po pierwsze, odciski palców sprawcy nie widniały w milicyjnym systemie. Zatem klient najprawdopodobniej nie był dotychczas karany. Po drugie, ściągnięta przez niego w trakcie rozkopywania grobu bluza była częścią ubrania roboczego, w którym chodzili pracownicy Elektrociepłowni Garbary. Co więcej, na wewnętrznej stronie bluzy, tuż pod karkiem, były wyszyte ciemną nitką inicjały: „F.G” .

– „G”, czyli może rzeczywiście świętej pamięci Asia jest jego siostrą lub po prostu kimś z rodziny? – skomentowała ten fakt Dagmara.

– Może – zamyślił się Kruger.

– Gołębiewski – odezwał się Harry i zaczął przeczesywać swoją pamięć, ale bezskutecznie. Nie znał nikogo o tym nazwisku.

Po trzecie, przed wejściem na cmentarz został zabezpieczony czerwony rower model Wigry 2, który powiązano z rowerem wspomnianym przez świadków przesłuchiwanym na okoliczność zabójstwa Martynki.

– To jest nasz człowiek – zawyrokował major Bielski.

„Zabójcza trójka” też tak sądziła. Pozyskane informacje świetnie pasowały do śledczej układanki.

– Sprawdziłem daty z grobu dziewczynki – wtrącił się Kruger.

– I co?

– Urodziła się i zmarła w piątek.

– Cudownie. – Naczelnik zatarł ręce z podekscytowaniem. – Namierzajcie tego całego Gołębiowskiego.

Po tej krótkiej naradzie Kruger przesłuchał Wojaka, czyli Eugeniusza Tylmana. To była bardzo ciężka czynność. Klient całkowicie się rozsypał. Podczas przesłuchania cały czas szlochał, przepraszał i opowiadał o swojej ukochanej córeczce.

Okazało się, że jest pięćdziesięcioletnim leśniczym zatrudnionym w pniewskim nadleśnictwie. Prywatnie od dziesięciu lat całkowicie skupionym na Anulce, która przez niemal całe swoje trzydziestoletnie życie miała problem z błędnikiem i która umarła na raka. Tylman mieszkał na Naramowicach, na Dziewanny, więc był dobrze poinformowany o grasującym w piątce nekrofilu, który bezczęści zwłoki młodych dziewczyn. W przeddzień pogrzebu przyśnił mu się koszmar. Ktoś rozkopał grób Anulki, wyciągnął jej ciało, zgwałcił, a potem pociął za pomocą myśliwskiego noża. Gdy się obudził, był zlany potem i przerażony tym, że sen może stać się rzeczywistością. Po całym dniu rozmyślań postanowił w najbliższy piątek zacząć się na tego „zwyrola” i zrobić z nim porządek.

– Przysięgam, panu, panie poruczniku – mówił zdławionym głosem Tylman do Krugera. – Nie chciałem zrobić krzywdy panu koledze. Kiedy zobaczyłem tamtego gościa, tamtą bestię, tego popierdolonego psychola, wstąpił we mnie diabeł. Myślałem wówczas tylko o tym, żeby wszyscy się odczepili od mojej Anulki. Miałem wrażenie, że cały świat chce jej zrobić krzywdę. Nie byłem sobą. Proszę mi uwierzyć. Nie byłem sobą. Byłem zrozpaczonym człowiekiem.

Kruger patrzył smutnym wzrokiem na szlochającego mężczyznę i czuł, że mu współczuje. Pozwolił mu się wygadać do woli. Wyłączył magnetofon, który nagrywał przesłuchanie, dotknął ramienia Tylmana, podziękował za współpracę i oznajmił mu, że przesłuchanie uznaje za zakończone. Po krótkim namyśle dodał, że go rozumie i że na jego miejscu zrobiłby chyba tak samo. Było to zresztą prawdą. Wsłuchując się w opowieść Tylmana, po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że przecież i jego Nelka może stać się ofiarą jakiegoś zwyrodnialca, których teraz nie brakuje w kraju. Od tej przerażającej myśli zrobiło mu się zimno.

Gdy konwojenci wyprowadzali Tylmana z gabinetu, rzucił mu na odchodne, że spróbuje nakłonić prokuratora, aby łagodnie potraktował jego czyn. Tylman zareagował na to płaczem.

W poniedziałek drugiego maja udało się ustalić, że zmarła 13 lipca 1962 roku Joanna Gołębiewska była siostrą Franciszka Gołębiewskiego. Według uzyskanych informacji ten trzydziestodwuletni poznaniak był zatrudniony na dwie trzecie etatu w Elektrociepłowni Garbary jako strażnik przy bramie wejściowej. Mieszkał razem z żoną, Iwoną, i dwójką dzieci w kamienicy przy Żydowskiej na poznańskim Starym Rynku.

Parę minut przed jedenastą Kruger i Dagmara stanęli przed drzwiami ich mieszkania. Na ulicy czekała na nich w pogotowiu nyska z trzema kolegami z Wydziału Kryminalnego. Kruger chrząknął, spojrzął odruchowo na zegarek i zapukał.

Po chwili w progu stanęła młoda przeraźliwie chuda kobieta. Miała jakieś dwadzieścia pięć lat. Ubrana była w czerwoną bluzkę, sztruksową spódnicę do kolan i znoszone kaptcie. Miała całkiem sympatyczną twarz.

– Słucham?

– Pani Gołębiewska?

– Tak, a co?

Kruger przywitał się uprzejmie i wyjaśnił, że są pracownikami Komendy Miejskiej.

– Zastaliśmy męża?

– Nie.

Gołębiewska zmarszczyła brwi i spojrzała na nich nieufnie.

– Jesteście z milicji? A o co chodzi?

– Chcieliśmy z nim porozmawiać w pewnej ważnej sprawie.

– Czy on coś – kobieta zawahała się na moment – przeszkrobał?

Przeszkrobał – powtórzyła w myślach rozbawiona Dagmara i przestąpiła z nogi na nogę. Była ciekawa, kim jest kobieta będąca żoną nekrofila oraz zabójcy.

Kruger uśmiechnął się.

– Musimy po prostu zapytać go o coś.

– Rozumiem.

– Możemy wejść na moment do środka? Po co mają nas słyszeć sąsiedzi?

Gołębiowska skinęła głową.

– Proszę – otworzyła drzwi na oścież i zrobiła zachęcający ruch ręką.

Weszli do środka i przystanęli. Na środku dość przestronnego i zagraconego pomieszczenia dostrzegli odkurzacz. Najwyraźniej zastali Gołębiowską w trakcie porządków.

– Gdzie znajdziemy pani męża? – zapytała Dagmara. – Musimy z nim pilnie porozmawiać.

Gołębiowska zerknęła na nią i wzruszyła ramionami.

– Nie wiem.

– Jak to pani nie wie?

– Mój pan ma to do siebie, że czasami znika na dwa, trzy dni. Nie mówi mi, gdzie się wybiera. Bierze sobie wolne i znika.

– A pani nie dopytuje?

– A co go będę dopytywać, jak on mi w ogóle nic nie mówi? Tylko burczy stale, że żona ma być posłuszna mężczyźnie i nie wnikać w jego życie.

– Kiedy zniknął?

– Wczoraj.

– Tak po prostu zniknął?

– Czy ja wiem, czy tak po prostu? Po kościele zjadł z nami obiad. Potem wyszedł gdzieś. A jak wrócił, to powiedział, że musi wyjechać coś załatwić. Tyle go widziałam.

– A czy mógł komuś powiedzieć, gdzie się wybiera?

– Niby komu? – Gołębiewska złapała się za boki. – To jest najbardziej małomówny człowiek, jakiego znam. Aż się sama sobie dziwię, że wyszłam za niego za mąż. Już mi zbrzydło to jego milczenie. No ale co mam teraz zrobić? Mam dwoje małych dzieci, nie pracuję, czasami dorabiam tylko jako krawcowa. – Cmoknęła głośno z niechęcią. – Gdzie ja pójdę, jak rzucę tego mruka?

– No tak, rozumiem. – Kruger zrobił zafrasowaną minę, po czym dodał: – Moja siostra też chce rzucić swojego starego, ale boi się, że nie wyrobi finansowo.

Dagmara spojrzała zdziwiona na kolegę, nigdy jej o tym nie wspominał. Gołębiewska uśmiechnęła się i pomachała palcem.

– No widzi pan, jak to jest. Widzi pan, co nie?

– Tak, tak – przytaknął Kruger. Nabrał powietrza, złożył ręce jak do modlitwy i zagadnął: – Pani Gołębiew-ska, chcieliśmy zapytać, czy wie pani, co robił pani mąż w piątek wieczorem pod koniec października?

Gołębiewska zamrugła oczami.

– W piątek wieczorem pod koniec października? – powtórzyła zdumiona. – Ale dlaczego o to pytacie? – Zmarszczyła brwi. – Gadacie tak, jakbyście mnie przesłuchiwali – spojrzała na nich przestraszona. – Bajerujecie mnie. On coś zrobił, tak?

– Niekoniecznie – powiedział Kruger. – Szukamy świadków pewnego zdarzenia, które miało miejsce w piątek dwudziestego dziewiątego października tego roku. Być może pani mąż coś widział. Jest takie podejrzenie, że coś widział.

– Ale gdzie?

– O szczegółach chcielibyśmy porozmawiać z pani mężem.

– No dobrze, niech wam będzie.

Z głębi mieszkania rozległo się szczekanie psa.

– Zamknij się, Burek – krzyknęła zniecierpliwiona Gołębiewska, klaszcząc przy tym dłońmi. Pies jednak nie posłuchał polecenia i dalej poszczekiwał. – Przepraszam, muszę mu wrzucić trochę żarcia do michy. Zaraz przyjdę. A wy

wejdźcie do salonu – wskazała ręką sąsiednie pomieszczenie, a sama ruszyła wzdłuż długiego korytarza i wkrótce zniknęła za jakimiś drzwiami.

Po chwili milicjanci usłyszeli radosne psie odgłosy. Dagmara i Kruger wymienili się spojrzeniami, po czym weszli do salonu. Rozejrzeli się po całkiem schludnie urządzonej sali, którego centralnym punktem był wielki czarno-biały telewizor marki Rubin. Usiedli na wersalce, do której dosunięto ławę obciągniętą białym obrusem. Zaraz potem pojawiła się Gołębiowska.

– Przyniosłam coś do schrupania – powiedziała, siadając w fotelu. Postawiła na stole talerz z pokrojoną babką piaskową. – Proszę się częstować i nie bać, że pokruszycie. Dzisiaj odkurzam w całej chacie. Można kruszyć do woli – zaśmiała się. – Mój mąż bardzo lubi słodkie. Zupełnie niż inne chłopcy. Nie przepada za mięsem, wódką, za to słodkie mógłby jeść cały czas. Normalnie dziwadło.

Kruger kiwnął głową, nie komentując jej potoku słów.

– Pamięta pani ten dzień? – zapytał. – Ostatni piątek października?

Gołębiowska sięgnęła po kawałek babki i ugryzła go.

– Trochę za suchy – stwierdziła. – Proszę się częstować, nie jest taki zły, da się zjeść – mówiła, podając im talerzyki.

Spróbowali i odłożyli bez słowa na talerzyki.

– Pamięta pani ten dzień, pani Gołębiowska? – powtórzyła pytanie Dagmara.

– Niech no pomyślę. – Gołębiowska zamyśliła się, jednocześnie spoglądając w sufit. – Ano tak, pamiętam. Pojechałam z dziećmi do rodziców. Na groby rodzinne. – Chwyciła babkę i zjadła ją pospiesznie.

Śledczy przyglądali się jej w milczeniu.

– Mieszkają w Kaliszu – wyjaśniła, pocierając ręce. – Wróciłam we wtorek, dzień po Wszystkich Świętych.

– A co z mężem? Pojechał razem z wami? – zapytała Dagmara, bojąc się, że odpowiedź będzie pozytywna i w efekcie stracą podejrzanego o zabójstwo Martynki. A to byłaby kompletna katastrofa.

– Nie. Został na miejscu – padła odpowiedź.

Punkt dla nas – pomyślała Dagmara.

– Dlaczego?

– On ma tutaj groby.

– Ach tak?

– Tak, tak. To poznaniak z dziada pradziada. Jego dziadkowe leżą na Miłostowie. A siostra, Asia, leży na Naramowicach. Nie wiem, czy pojechał na Miłostowo, ale na pewno odwiedził w poniedziałek grób siostry.

– Jego siostra umarła? – zainteresował się Kruger.

– Utonęła. Jak miała czternaście lat. Piękna, młoda dziewczyna. Widziałam ją na jakimś zdjęciu. Wygląda na nim jak amerykańska aktorka. Franek strasznie ją kochał. Do dzisiaj często o niej mówi i jeździ na jej... Ale zaraz, zaraz! – Gołębiwska podniosła głos i spojrzała na nich podejrzliwie. – Zaraz, zaraz!

Poruszyła się w fotelu.

– Czy wtedy w Poznaniu w Żurawińcu nie znaleziono zabitej dziewczynki? Właśnie w piątek?! Tak, tak. Mówili mi sąsiedzi. Franek też wspominał. – Położyła ręce na swoich chudych udach. – To w tej sprawie chcecie z nim porozmawiać, prawda? Myślicie, że coś widział? – Zmarszczyła brwi. – On mógł tam być, to prawda! W ten piątek. Jak go znam, pewnie wziął rower i pojechał posprzątać grób.

– Rower? – zapytał Kruger. – Pani mąż ma rower?

– Tak, ma hopla na jego punkcie. Ciągle jeździ tym swoim rowerem. Wigry chyba. Coś takiego.

– Jakiego koloru?

– Czerwonego.

Dagmara spojrzała na kolegę. No pięknie – pomyślała. – Kolejny element układanki.

– Coś więcej mówił o tym piątku? – zapytała.

– Nie, nie. Mało rozmawiamy. Jak już nadmieniałam.

– No tak.

– Czyli w piątek pani mąż mógł być wieczorem na naramowickim cmentarzu? –

upewnił się Kruger.

– Jak najbardziej.

Na chwilę zapadła cisza, którą Gołębiowska przerwała, zachęcając swoich gości do dokończenia babki. Ci skubnęli ją bez entuzjazmu i zadali parę pytań, które jednak do niczego konkretnego ich nie doprowadziły.

– Czyli nie ma pani pomysłu, gdzie mógł pojechać mąż? – zapytał Dagmara.

– Niestety, nie.

– Może do kogoś z rodziny? – podsunął Kruger.

– Z nikim nie utrzymuje kontaktu poza siostrą.

– On ma jeszcze jedną siostrę?

– Tak. Monikę, mieszka na Kościuszki.

– Może u niej jest?

– Bez żartów. Oni żyją ze sobą jak pies z kotem. Poza tym byłam u niej, żeby pożyczyć trochę pieniędzy, bo Franek marnie zarabia. Mówiła, że nie widziała go już od miesiąca.

Kruger pstryknął długopisem.

– Może pani podać jej adres?

Podziała. Kruger skrzątnie go zapisał.

– Jak się nazywa?

– Pacuła.

– Dziękuję. – Długopis porucznika zaskrzypiał na papierze.

Dagmara zerknęła na Gołębiowską, ona zaś odwzajemniła spojrzenie i wzruszyła ramionami.

– Nic nie wiem, niestety – bąknęła.

Dagmara sięgnęła po swój kawałek babki piaskowej i ku widocznemu zadowoleniu Gołębiowskiej zjadła niemal cały. Ale suche gówno – pomyślała, otrzepując ręce z okruszków.

– O czym ostatnio rozmawialiście? – zagadnęła.

– O niczym – padła odpowiedź.

– Jak to?

– A tak to. Od paru dni był jakiś markotny. Odzywał się do mnie półsłówkami. Dzieciaki też raczej omijał.

– Pokłóciliście się?

– Nie.

– To dlaczego?

– Nie wiem!

Kruger spojrział na nią i pokiwał głową. Poprawił poluzowany węzeł krawata.

– Jedyne, co mówił, to przez sen – rzuciła nagle Gołębiewska, wydymając usta.

– Przez sen?

– Tak, ostatnio miał niespokojne sny.

– Ciekawe, ciekawe.

– No nie bardzo. Strasznie mnie to denerwowało. Człowiek nie może spać spokojnie. – Gołębiewska wyciągnęła z kieszeni spódnicy chustkę, głośno wydmuchiwała nos i mówiła dalej, składając na mniejsze części szary materiał. – On w ogóle ma niespokojne sny. Często się poci w nocy, kręci, budzi, chrząka. Normalnie jak wariat. Albo jakby go sumienie męczyło.

– A ostatnio? – zapytał Kruger. – Mówił coś? Wykrzykiwał przez sen?

Kobieta zamyśliła się.

– Czy ja wiem? – Przez chwilę drapała się po swoim piegowatym nosie. – Przez sen to chyba nie, ale ostatnio przy śniadaniu powiedział coś takiego: „Chyba umarła”. Śniło mu się, że umarła.

Dagmara i Kruger spojrzeli na nią uważniej.

– Ostatnio to znaczy kiedy? – zapytał porucznik.

Zastanowiła się.

– W sobotę, tak w sobotę, bo tego dnia jedliśmy parówki na śniadanie – popatrzyła na nich poważnie i ciągnęła dalej: – „Kto niby umarł?” – pytam. „Pani Januszek” – on na to. A ja wtedy znowu pytam: „A kim jest, cholera, pani Januszek?”. Więc on mi opowiada, że uczyła go przyrody, że była bardzo fajna i że

się nawet podkochiwał. Miał wtedy chyba dwanaście lat. Gadał o niej jak najęty przy tym śniadaniu, aż mnie znudził. Podobno kiedyś na lekcji opowiedziała dzieciakom, jak się przeprowadza sekcję zwłok. Według niego to była najlepsza lekcja świata. Tak powiedział. – Gołębiowska pokiwała głową z politowaniem.

– Sekcję zwłok? – powtórzyła Dagmara i spojrzała na kolegę.

– Dziwne, prawda? Ale w tym samym roku utonęła Joasia, co strasznie przeżył. Więc może dlatego tak go to zainteresowało? Gdy spuszczone trumnę, strasznie szlochał. Ktoś mi mówił, chyba jego świętej pamięci ojciec, że chciał wskoczyć z nią do dołu. Ledwo go powstrzymano.

– I co, pani Januszek rzeczywiście umarła? – zapytał Kruger.

– A nie wiem, ucięłam rozmowę, bo ile można o trupach rozmawiać, co nie?

– No tak.

Zapadła cisza, którą przerwał dobiegający zza okna sygnał karetki.

– Ma pani jakieś zdjęcie męża? – zapytał Kruger.

– A mam.

– Pokaże pani?

– Już się robi. – Gołębiowska podeszła do barku, sięgnęła po kopertę, wydobyła z niej plik zdjęć i wertowała go przez chwilę.

– Proszę – powiedziała, kładąc jedno z nich na ławie.

Wbili wzrok w czarno-biały portret uśmiechniętego całkiem sympatycznego mężczyzny. Miał szczupłą podłużną twarz ozdobioną delikatnym wąsikiem. Krótkie włosy były czesane z przedziałkiem. Na prawym policzku miał pieprzyk. Ubrany był w białą koszulę, zapiętą na ostatni guzik. Całości dopełniał wielki krawat w romby.

– Miły facet – stwierdziła Dagmara, uśmiechając się promiennie.

– Zależy kiedy – burknęła Gołębiowska.

– Możemy je wziąć? – zapytał Kruger.

– A bierzcie.

Kruger zerknął do zeszytu.

– A ostatni piątek? – zagadnął. – Co robił w ostatni piątek?

Do pomieszczenia wbiegł pies bliżej nieokreślonej rasy, zaszczekał radośnie i wskoczył Gołębiewskiej na kolana.

– Wrócił po południu z roboty – opowiedziała, głaszcząc psa. – Zjadł obiad i poszedł na imieniny jakiegoś kolegi z pracy. Ale ja nie wiem, czy rzeczywiście był na tych imieninach. On się raczej z nikim nie koleguje.

– O której wrócił?

– Nie wiem. Spałam już.

– Rozumiem.

Chwilę później śledczy podnieśli się z foteli, podziękowali za rozmowę i ruszyli w stronę wyjściowych drzwi. Gdy przekroczyli próg, Kruger odwrócił się nagle, jakby sobie coś przypomniał.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – powiedział.

– Tak?

– Pani Gołębiewska, czy pani mąż ma piwniczkę albo jakąś działkę z altanką? Albo garaż? Coś takiego, gdzie mógłby spędzać wolny czas. Wie pani, jak to faceci – uśmiechnął się zachęcająco.

Gołębiewska wzniosła palce w górę, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

– Strych – odparła. – Piętro wyżej. To jego królestwo. Nikogo tam nie wpuszcza.

– Może nam pani otworzyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie mam klucza. Franciszek zawsze ma go przy sobie. Kiedyś chciałam tam wejść, to mnie strasznie skrzyczał. Nie wiem, co on tam trzyma. – Spojrzała na nich niepewnie. – Mam nadzieję, że nic politycznego – bąknęła i zasłoniła dłonią usta.

– Nic nam o tym nie wiadomo, proszę pani.

– Dziękujemy, do widzenia.

– A z panem bogiem.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Wymienili się spojrzeniami i zgodnie ruszyli po schodach na ostatnie piętro. Do ich uszu przez chwilę dochodził odgłos odkurzacza.

– Myślisz, że ona wie?

– Trudno powiedzieć na tym etapie.

Zachnęła się.

– Freddy, jesteś prawdziwym mistrzem towarzyskich pogaduszek.

– Wiem.

Chichocząc, stanęli przed szarymi drzwiami zamkniętymi na trzy kłódki.

– Ale się zabezpieczył – prychnęła Dagmara.

– Ciekawe. – Kruger szarpnął za uchwyt.

Drzwi lekko drgnęły, kłódki zabrzęczały.

– Co robimy?

– Zdobędziemy nakaz, a potem wezwiemy techników, którzy otworzą nam ten sezam i go przetrzepią – zdecydował Kruger.

– Nie korci cię, żeby wejść tam w stylu Harry’ego?

– Zbóju, przecież sama twierdzisz, że moim wzorem jest kapitan Żbik.

Zaśmiała się.

– Zżera mnie ciekawość, czy znajdziemy tam ucięte kawałki biednych nieboszczek.

Kruger przyłożył głowę do drzwi i pociągnął nosem.

– Trochę śmierdzi.

Dagmara zrobiła tak samo.

– A nawet bardzo.

– Dobra, wracamy do firmy i próbujemy namierzyć panią Januszek.

– Mużę od sekcji zwłok – prychnęła Dagmara, po czym uderzyła pięścią w drzwi i ruszyła w stronę schodów. Za nią podążył zamyślony Kruger.

Parę godzin później Kruger ustalił, że Barbara Januszek, magister biologii, emerytowana nauczycielka, zmarła w piątek i że jej pogrzeb ma się odbyć na gostyńskim cmentarzu w najbliższy wtorek o godzinie dwunastej.

W trakcie narady odbytej w kawiarni Crystal „zabójcza trójka” stwierdziła, że Gołębiewski mógł wybrać się na jej pogrzeb.

– Jedziemy tam – rzucił Harry. – Jeszcze dzisiaj.

– Myślisz, że będzie chciał ją... – urwała i zagryzła wskazujący palec prawej ręki jak mała dziewczynka – ...ten tego, wyciąć? Do tej pory wycinał młode dziewczyny.

Chorąży wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje w tym jego zboczonym łbie – powiedział, strzepując popiół do popielnicy. – I chyba nie chcę wiedzieć. Najważniejsze, żeby go tam dorwać.

– Też racja.

– Dzwoniłem dzisiaj do zarządcy cmentarza – powiedział Kruger i ugryzł kawałek pączka ociekającego lukrem. Przeżuł, upił trochę kawy, wytarł usta i kontynuował: – Ciało już tam leży. Pojedziemy do Gostynia, zainstalujemy się w tamtejszym hotelu i wieczorem brykniemy na cmentarz.

Spojrzał na swoich rozmówców.

– Kto wie? Może najdzie go ochota, żeby włamać się do kaplicy i...

– Złożyć pani Januszek ostatni pocałunek. – Dagmara pokręciła głową. Nagle przypomniała się jej matka, która parę lat temu, kiedy grała z wielkim zacięciem w kilku sztukach Henryka Ibsena, zaczytywała się we *Wstępie do psychoanalizy*. –

Co by powiedział na to Freud? Miałby niezły materiał do swoich badań.

– Nie wiem, czy będzie chciał zbeczcześcić jej ciało, ale może zapragnie... – chrząknął – spędzić z nią trochę czasu na osobności, jeśli była dla niego taka ważna. Ciągłe za mało o nim wiemy, żeby przesądzać o czymkolwiek. To na razie jedyny trop, musimy nim podążyć. Koniec kropka.

Dopalili papierosy, dopili kawy i pomaszerowali do komendy, by zameldować naczelnikowi, co planują.

– Jedźcie, jedźcie, ja poinformuję tamtejszego komendanta, że wkroczycie na jego teren, i poproszę go o wsparcie – powiedział major Bielski i życzył swoim podwładnym szczęścia. Po ich wyjściu zadzwonił do swojego szefa.

– No kurwa – burknął nadinspektor Kamiński do słuchawki. – Mam nadzieję, że tego nie spierdolą.

Bielski zagotował się wewnątrz, ale zignorował chamską odzywkę komendanta. Przekazał jeszcze parę najistotniejszych informacji, rozłączył się i sięgnął po flaszkę wódki. Na pohybel wszystkim szefom – pomyślał, krzywiąc się. Wszystkim poza mną, ma się rozumieć.

Pół godziny później Dagmara, Harry i Kruger palili u siebie ostatniego papierosa przed wyjazdem. Byli bardzo podekscytowani. I zadowoleni, że wyczerpujące poszukiwania niebawem mogą się zakończyć. Cała komenda miała już tego dosyć. Wszyscy chcieli w końcu odsapnąć, napić się w spokoju gorzały i zapaść w długi sen.

Zadzwonił telefon. Kruger podniósł słuchawkę i po chwili podał ją Dagmarze, szepcząc „była teściowa”.

Dagmara zmarszczyła brwi i przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Cześć, Haniu, co się dzieje? – zapytała lekko spłoszona, słysząc płaczliwy głos kobiety, którą знаła jako bardzo twardą babkę.

Koledzy spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Dagmara zdusiła szybkim gestem papierosa w zakrętce po słoiku i wyprostowała się na krześle.

– Kiedy? Jak się ma? Jakie są rokowania? Co wiadomo? – blednąc coraz bardziej, wystrzeliwała z siebie kolejne nerwowe pytania. – W którym szpitalu? Dobrze, zaraz

tam będę.

Odłożyła z trzaskiem słuchawkę. Zaciśnęła szczęki i położyła rękę na piersiach, jakby chciała uspokoić tłukące się w środku serce.

– Co się stało? – zagadnął nieśmiało Harry.

– Witek...

– Co z nim?

– Chciał popełnić samobójstwo.

Zapadła cisza. Dagmara zapaliła kolejnego papierosa.

– Jedźcie sami do Gostynia, ja muszę być przy Witku, jestem mu to winna. Czołem – powiedziała po chwili milczenia i wyszła z pokoju.

Harry i Kruger spojrzeli po sobie.

– Witek kiepsko zniósł ich rozwód, do którego doszło jakieś dwa lata temu – wyjaśniał koledze Kruger, który całkiem nieźle się orientował w sprawach rodzinnych Dagmary. – To poeta, typ pesymisty. Czytałem kiedyś jego wiersze w jakimś piśmie literackim. Strasznie depresyjne. Podobno od zawsze miał ciągoty autodestrukcyjne. – Porucznik zamyślił się na chwilę, zaciągając się parę razy papierosem. – Zbój kiedyś przy wódce opowiadała mi, że na początku ich znajomości całkiem ją to kręciło. Po ślubie jednak przestało. Parę tygodni po rozwodzie nałykała się jakichś tabletek. Odratowano go, ale... Ale od tamtej pory jest w coraz gorszej formie, co, oczywiście, wywołuje u niej wyrzuty sumienia. To chyba już trzecia próba samobójcza.

Harry westchnął, sięgnął po piersiówkę i opróżnił ją paroma haustami.

– Bez komentarza.

Kruger zgasił w milczeniu papierosa, podszedł do pancernejszej szafki, wyjął z niej broń i włożył do kabury.

– Zbieramy się – oznajmił.

Wyszędłszy ze szpitala, w którym spędziła kilkanaście godzin, głównie siedząc na niewygodnym krzeselku przy łóżku Witka, pogrążonego w niespokojnym śnie, Dagmara oparła się o samochód i zapaliła papierosa. Spaliwszy go pośpiesznie, zapaliła jeszcze jednego, a potem kolejnego. Dzięki temu udało się jej uspokoić oddech, ciało i myśli.

Żołądek miała ściśnięty jak pięść, więc nie czuła większego głodu. Wsiadła do auta, zawiązała włosy w kitkę i uruchomiła silnik. Pojechała do domu, gdzie wzięła szybki prysznic, przebrała się i z rozsądku zjadła kanapkę. Parę minut po dziewiątej przekroczyła próg komendy. Musiała się czymś zająć. Musiała za wszelką cenę odciągnąć uwagę od tego nieszczęsnego Witka, który od początku ich znajomości nie skąpił jej krańcowych emocji.

Wizyta w szpitalu niemal ją rozłożyła psychicznie. Wściekłość na niego i czułość do niego bezustannie się ze sobą gryzły. Nie wspominając już o wyrzutach sumienia. Po poprzednich próbach samobójczych powiedział jej prosto w oczy, że to „tylko i wyłącznie jej jebana wina”. „Zniszczyłaś mnie – warczał. – Wiedz to”. Niemal w to wówczas uwierzyła. Gdy byli razem, bywał przecież szczęśliwy jak nigdy przedtem i czasami dawał temu wyraz.

Witek na moment się obudził, tuż przed północą. Gdy ją zobaczył, odwrócił głowę i nic nie powiedział. Ani jednego słowa. No cóż, facet umie grać na emocjach. Pieprzony poeta! Ale oczywiście, gdyby się nie pojawiła, wpadłby w prawdziwą histerię.

Wszędłszy do budynku firmy, zajrzała najpierw do dyżurnego.

– Był meldunek z Gostynia?

– Tak, Kruger dzwonił. Mówiła, że klient się nie pojawił. Zaraz jadą na pogrzeb.

– Dzięki.

Gdy znalazła się w pokoju, naląła sobie trochę wódki do kubka i wypła ją jednym haustem. Potem sięgnęła po paczkę papierosów, ale kiedy zorientowała się, że jest pusta, zmięła ją i wyrzuciła do kosza.

– Spadaj.

Chwyciła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do Wydziału Kryminalistyki.

– Zrobiliście oględziny strychu? – zapytała, kiedy usłyszała głos Harnasia, jednego z techników.

– Ano.

– Macie coś fajnego?

– Przyjdź do nas.

– A jest po co? – zapytała, kładąc nogi na biurku.

– Myślę, że tak.

– Będę za dziesięć minut.

– Bądź za pięć minut – powiedział Harnaś. – Miałem właśnie wychodzić.

Zarechotała.

– Będę za trzy.

– Elegancko.

Schowała butelkę do biurka, włożyła do ust miętówkę i poszła na czwarte piętro, na którym mieściły się dwa wydziały: Wydział Kryminalistyki oraz Wydział Techniki Operacyjnej. Stanąwszy przed drzwiami, do których ktoś przytwierdził tabliczkę „Mistrzowie świata”, zapukała, a potem nacisnęła klamkę i weszła do środka.

– Serwus, Harnaś!

Harnaś, czyli niski i chudy mężczyzna o sumiastym wąsie, skinął głową na przywitanie i ugryzł łapczywie bułkę. Do nozdrzy Dagmary doszedł intensywny zapach kiełbasy.

– Czołem, Zbóju – odezwał się Harnaś, gdy przełknął ostatni kęs bułki.

Rzucił na biurko teczkę z dokumentami.

– Krótko i na temat – powiedział, zakładając kurtkę. – Po pierwsze, w tej jego dziupli, która jest jednym wielkim pierdolnikiem, strasznie śmierdzi. Jakby trupami. Być może właśnie tam zabawia się z wyciętymi kawałkami. Po drugie, znaleźliśmy lalkę własnej roboty. Taką dla dorosłych, mocno poplamioną. Też śmierdzi.

Technik otworzył teczkę, wyciągnął z niego protokół i otworzył na stronie zawierającej kilka zdjęć. Jedno z nich przedstawiało coś w rodzaju manekina, uszytego niezbyt wprawną ręką, za namalowanymi flamastrem atrybutami kobiecości.

Dagmara przyłożyła rękę do nosa, poczuwszy woń skonsumowanej przez Harnasia kielbasy. Ten mówił dalej:

– Po trzecie, w kartoniku, który był schowany w klatce na króliki, znaleźliśmy listy.

– Jakie listy?

Harnaś przekartkował teczkę i po chwili wydobyl z niej kopertę zawierającą plik kartek zapisanych odręcznym pismem. Podał je koleżance.

– To jest korespondencja pomiędzy nim a Karoliną Zawilską. Niezbyt obszerna. Wszystkiego jest z dziesięć sztuk. Wśród nich znajdziesz kilka listów jego autorstwa, których chyba do niej nie wysłał. Nie dziwię się zresztą.

Harnaś pokiwał głową, cmokając przy tym z dezaprobatą.

– Dlaczego?

– To są po prostu grafomańskie poematy pornograficzne.

Dagmara uśmiechnęła się.

– Nasz mały zboczulek – rzuciła, przeglądając listy. – Co to za kobieta?

– Koleżanka z podstawówki. Podkochał się w niej.

– Gdzie mieszka?

– W Koninie. – Harnaś wyjął jej z dłoni postrzępioną i poplamioną atramentem kartkę. – To jest bardzo ciekawe. Powinno cię zainteresować.

– Bo?

– Ma dość dosadną treść.

– Jaka?

– „Nie przyjeżdżaj, proszę. To była dawno i nieprawda. Z pozdrowieniami, Karolina”.

Dagmara była zaintrygowana.

– Ciekawe, ciekawe.

– Jeszcze jedna rzecz. Może ważna, a może nie, nie wiem. Dla późniejszych biegłych od psyche.

– Tak?

– List z opisem seksu w kaplicy jest najświeższy.

– Z opisem seksu w kaplicy?

– Uhm.

– Inne fantazje zostały napisane wcześniej. – Harnaś sięgnął po kubek z kawą. Upił parę łyków. – Tak wynika z pobieżnego przyjrzenia się papierowi, na którym zostały napisane te pojebane bazgroły. Zresztą sama zobaczysz.

– To wszystko?

– Na razie. Jak przejrzysz, to przynieś. Będziemy badać dalej.

Podziękowała, wzięła dokumenty i wróciła do siebie. Skupiła się na lekturze listów. Pięć było autorstwa Karoliny. Ich treść sprowadzała się do banalnych opisów dnia czternastolatki. Były datowane na 1964 rok, wysłano je z Poznania, z ulicy Konarskiego. Szósty został wysłany miesiąc temu z Konina.

– „Nie przyjeżdżaj, proszę. To była dawno i nieprawda. Z pozdrowieniami, Karolina” – przeczytała Dagmara na głos, zapalając papierosa.

Cztery były autorstwa „twojego Franciszka” i rzeczywiście najprawdopodobniej nie zostały nigdy wysłane. Były pozbawione daty. Harnaś miał rację, te teksty można było zaklasyfikować jako „poematy pornograficzne”. Stanowiły zapis fantazji seksualnych, które przypominały sceny ze zwyczajnych amerykańskich czy niemieckich pornosów. Poza jednym, którego akcja działa się w kaplicy, pomiędzy

trumnam i – w pewnym momencie – w trumnie.

Ciekawe, ciekawe. Dagmara zamyśliła się. Znowu przyszedł jej do głowy Freud. A może on się zajął martwymi dziewczynami, bo te, które żyły, odrzucała jego względy?

Przyjrzała się papierowi. Ten, na którym Gołębiewski zamieścił „normalne” porno, był mocno pozółkły. Porno w kaplicy było naskrobane na białym papierze. Zaciągnęła się łapczywie. Dlaczego się do niej odezwał po latach? – zaczęła się zastanawiać. Co takiego się stało? Może nastąpił w jego życiu jakiś przełom, jakiś punkt krytyczny. A może zobaczył ją gdzieś przypadkowo, wspomnienia odżyły i zaczął o niej marzyć?

Skrzywiła się, stwierdzając, że to tylko domorośla psychologia. Ja mam go złapać, a nie analizować jego durny czerep. Odłożyła listy na bok. Przypomniała sobie siostrę Gołębiewskiego, Monikę Pacułę, która mieszka gdzieś na ulicy Kościuszki.

Pogadam z nią – postanowiła. Może coś wie, może coś podpowie?

Spaliła papierosa, próbując sobie przypomnieć dokładny adres siostry Gołębiewskiego. Nie była w stanie. Zadzwoiła więc do znajomego z urzędu miasta, z którego wydobyła interesujące ją dane.

Godzinę później siedziała w eleganckiej kuchni trzydziestoparoletniej zadbanej kobiety, która właśnie malowała sobie paznokcie. Rozmowa była krótka i konkretna. Pacuła nie miała większej ochoty rozmawiać na temat swojego brata, którego uważała „za mocno szurniętego”. Nie chciała wyjaśnić, co dokładnie miała na myśli, używając takich słów.

– Nie utrzymuję z nim bliższych kontaktów – oznajmiła, dmuchając na paznokcie, które powlekła czerwonym lakierem. – Żyjemy w dwóch różnych światach. I tyle. Nic o nim nie wiem. I nie chcę wiedzieć.

– Nic?

– Nic.

– O jego małżeństwie też nic pani nie wie? – wypaliła Dagmara, nie do końca wiedząc dlaczego. Może intuicja?

Pacūła uniosła w zdziwieniu brwi.

– Dlaczego pani pyta o małżeństwo? – zapytała, odchylając się lekko do tyłu. – Mówiła pani, że chodzi tylko o to, aby porozmawiać z nim jako świadkiem w jakiejś sprawie.

Punkt dla ciebie – pomyślała Dagmara.

– Podejrzewacie go o coś?

– Nie. Po prostu musimy go jak najszybciej znaleźć. Być może jest kluczowym świadkiem i posiada rozstrzygającą informację.

Pacūła patrzyła na nią podejrzliwie.

– Co to za sprawa?

– Nie mogę jeszcze o tym mówić.

– No dobrze. – Pacūła podniosła dłonie i przyjrzała się uważnie swoim krwistym paznokciom.

– Ładne – pochwaliła Dagmara.

Pacūła uśmiechnęła się.

– A dziękuję, też mi się podobają. Co do jego małżeństwa...

– Tak?

– On się ożenił, żeby zapomnieć o Karolinie, w której się podkochiwał w podstawówce, a potem w zawodówce – mówiła Pacūła, cały czas podziwiając swoje paznokcie. – Byli nawet razem jakiś czas, ale ona go szybko rzuciła. Nie mógł się z tym pogodzić, stale ją nachodził. W końcu jej nowy chłopak wkurzył się i postraszył go milicją, a może nawet esbecją. – Pacūła spojrzała na milicjantkę. – Wtedy ten nasz głupi Franek dał sobie z nią spokój – wydeła usta. – No i po jakimś przygruchał sobie kościstą Iwonkę. Prawdziwy polski serial obyczajowy – dodała, uśmiechając się cynicznie.

Nic tu po mnie – pomyślała Dagmara. Podziękowała za rozmowę i z poczuciem straconego czasu wyszła na ulicę. Spacerem wróciła do komendy.

– Są wieści z Gostynia? – zapytała dyżurnego.

– Podobno klient nie pojawił się na pogrzebie.

– Wracają?

– Nie. Zaczają się wieczorem przy grobie tej zmarłej pani.

– Aha.

Do wieczora Dagmara nie mogła znaleźć sobie sensownego zajęcia. Przedzierając się rozpaczliwie przez notatki służbowe, protokoły i innego rodzaju dokumenty, myślała trochę o Gołębiewskim, trochę o Witku. Doszła do wniosku, że faceci są nienormalni. Nawet ci, którzy pozornie są normalni. Wypowiedziawszy w myślach to ostatnie zdanie, stwierdziła, że powinna wrócić do domu i odpocząć. Pada mi na mózg od tego wszystkiego – skonstatowała.

Gdy minęła dwudziesta, postanowiła, że jednak nie odpocznie i zamiast tego pojedzie do Konina do tej całej Karoliny i utnie sobie z nią pogawędkę. Co mi szkodzi? – zadawszy sobie to retoryczne pytanie, ubrała się i opuściła komendę.

– Która jest godzina? – zapytał szeptem Kruger.

Harry oświetlił dyskretnie zapalniczką zegarek.

– Zbliża się dwudziesta trzecia – odparł.

– Mam już tego dosyć. Mam już w ogóle dosyć tej sprawy.

– Ja też.

– Tych pieprzonych trupów.

– No...

Minęły ze dwie godziny, od kiedy zainstalowali się na gostyńskim cmentarzu, na którym panowały względna ciemność, cisza oraz bezruch. Ukrywszy się wśród gałęzi rozłożystej wierzby, wpatrywali się coraz bardziej znudzeni w bramę wejściową, którą oświetlały anemicznie przydrożne lampy. Obserwację urozmaicały im sporadyczne pohukiwania sowy, szmery w zaroślach oraz odgłosy dziecięcia.

– Jeszcze dwie godziny i fajrant – odezwał się Harry i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki piersiówkę.

Upił parę łyków whisky, przypominając sobie zabawną akcję sprzed paru lat. Jego ówczesny przełożony polecił grupie kryminalnych zacząć się w nocy na terenie poznańskiej szkoły, do której ktoś się notorycznie włamywał i kradł różne drobiazgi. Po godzinie czuwania znudziła się im ta robota. Zorganizowali alkohol i zaczęli rżnąć w karty, ostro przy tym popijając. Obudzili się nazajutrz w południe na ciężkim kacu i z przerażeniem stwierdzili, że ktoś ukradł z gabinetu dyrektora telewizor, na nieszczęście amerykańskiej marki, podobno bardzo drogi. Gdy dowiedział się o tym naczelnik, wpadł w szal i wywalił z roboty paru największych

pijaków, którzy już dawno mu podpadli. Harry'emu się upiekło.

Chorąży uśmiechnął się do tego barwnego wspomnienia i podał piersiówkę koledze.

– Dzięki.

Nagle rozległo się skrzypnięcie. Śledczy drgnęli. Zmrużyli oczy i nadstawili uszu. Usłyszeli odgłos zatraskiwanej bramy. Po chwili ujrzeli jakąś niewysoką postać, która wsiadła na rower i zaczęła powoli jechać wzdłuż ścieżki w stronę kaplicy. Przywarli do drzewa i zerknęli na siebie. Mijając ich, postać chrząknęła parę razy. To był męski głos.

Ruszyli za jadącym, kryjąc się wśród krzewów i drzew. Mężczyzna miał przewieszony przez plecy worek. Pogwizdywał nieśmiało. Przejechawszy jakieś sto pięćdziesiąt metrów, zatrzymał się. To była kwatera zawierająca przede wszystkim świeże groby. Oparł rower o drzewo, a worek położył na ławce. Rozejrzał się wokoło i zapalił papierosa. Zaciągnął się parę razy i rzucił go na ziemię. Splunął i podszedł do grobu, na którym stały tłące się jeszcze znicze.

Śledczy podeszli parę kroków bliżej i schowali się za dużym grobowcem. Byli oddaleni od niego zaledwie o parę metrów. Po chwili uzmysłowili sobie, że tajemniczy mężczyzna pochyla się nad grobem Barbary Januszek. To on – pomyślał Kruger. Mamy ptaszka – ucieszył się Harry. W końcu.

Próbowała słuchać radia, ale cały czas myślała o Witku. O tym, jak bardzo męczy ją ta relacja i że nie ma siły ostatecznie jej zerwać. Facet mnie po prostu emocjonalnie szantażuje – myślała z irytacją. W pewnym momencie stwierdziła, że życie to pułapka albo raczej matnia. Tak, życie to matnia.

Ten wniosek zepsuł jej humor jeszcze bardziej. Nacisnęła pedał i przyspieszyła. Zmieniła stację. Nie cierpiała wiadomości, tej propagandowej gadaniny. Odnalazłszy częstotliwość, na której serwowano rocka z lat sześćdziesiątych, uśmiechnęła się. Gdy usłyszała *Put a Spell on You*, zaczęła bębnić palcami i podśpiewywać.

Po kwadransie wjechała do Konina. Ziewnęła i spojrzała na mapę. Musiała się dostać na Tuwima. Zabrało jej to kilka minut. Znała dobrze to miasto, w czasie studiów miała chłopaka stąd. Gdy zaparkowała pod blokiem fiata i zgasiła silnik, poczuła nagle, że jej przyjazd tutaj to czysty absurd. Oparła głowę o zagłówek, przymknęła na chwilę oczy. Była zmęczona i głodna.

Wyłączyła zniecierpliwionym gestem radio. Miała już dosyć informacji o „polsko-radzieckim porozumieniu w sprawie budowy gazociągu i dostawy gazu”. Zerknęła na zegarek, było porę minut po dwudziestej trzeciej. Późna godzina – pomyślała. Za późno na łażenie po ludziach. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się. Co mi do łba strzeliło, żeby przyjeżdżać tu o tej porze? I to jeszcze w pojedynkę?!

Postanowiła, że dokończy palić i wróci do Poznania, a potem rzuci się do łóżka i spróbuje jakoś zasnąć. Przynajmniej się przejechałam i przewietrzyłam.

Sięgnęła po torbę z pączkami, wyciągnęła ostatniego i zaczęła łapczywie go gryźć. Żując suche niesmaczne ciasto, przypomniała sobie babkę piaskową, którą

poczęstowała ich Gołębowska. Pokręciła głową, krzywiąc się.

– Gdzie ty jesteś, psycholu?

Wytarła dłonie i położyła je na kierownicy.

Nie tego się spodziewał. Owszem, napisała mu, żeby nie przyjeżdżał, ale wszyscy wiedzą, jak to jest z kobietami. Mówią jedno, a myślą drugie. Poza tym był pewny, że kiedy ujrzy go w progę, uśmiechnie się, przypomni sobie stare dobre czasy. Poczucie to, co kiedyś przecież czuła. Zaprosi go do środka, poczęstuje kawą, potem winem, zaczną rozmawiać, a potem, potem pozwoli mu dotykać swoje ciało, piersi, które zawsze mu się podobały, i znowu będzie cudownie.

Zupełnie przypadkowo dowiedział się od wspólnego znajomego, że jej mąż, który jest marynarzem, wypłynął w rejs i wróci dopiero za miesiąc albo dwa. To go ośmieliło i utwierdziło w przekonaniu, że warto ją odwiedzić i spróbować cofnąć czas.

Tylko dzięki Karolinie mógł zapomnieć o martwych ciałach. O wycinaniu. O swojej lalce, z którą się bawił na strychu w tajemnicy przed wszystkimi. Tylko dzięki niej mógł zerwać z grzechem.

Kiedy pukał do jej mieszkania, postanowił, że rozwiedzie się z Iwoną i spróbuje namówić Karolinę, żeby znowu się z nim związała. Ale ona ujrawszy go, skrzywiła się. Nie chciała go wpuścić.

Jakoś ją ubłagał. Zaprosiła go do środka. Zaparzyła kawę, postawiła na stole ciasteczka. Zaczęli rozmawiać. W pewnym momencie zrobiło się nawet sympatycznie. W końcu nabrał pewności, że wszystko zmierza ku dobremu. A gdy dotknęła ręką jego ramienia i zaśmiała się z jakiegoś żartu, poczuł, że przechodzi go dreszcz.

W pewnym momencie łyżeczka od cukru upadła na ziemię, Karolina pochyliła

się, a on zobaczył jej bujny biust ubrany w zbyt ciasny biustonosz. Zakotłowało się w nim. Coś piknęło w jego sercu. Zadrżał, zagryzł usta i nagłym ruchem usiadł obok niej na tapczanie. Poczł jej zapach i wiedział, że musi ją mieć.

Ona podniosła głowę i spojrzła na niego zaskoczona. Dotknęła go znowu ręką. Dopiero po chwili doszło do niego, że ona go odpycha.

– Przestań, przestań, przestać! – mówiła coraz głośniej.

Ale było już za późno. Przygniótł ją swoim ciężarem, przywarł do jej ciepłego ciała i zaczął całować, gryźć, ścisnąć. Gdy wrzasnęła, przeraził się i zaczął ją dusić. Serce waliło mu jak oszalałe, gdy próbował utrzymać pod kontrolą jej wyginające się ciało. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch.

W progu drzwi stanęła mała dziewczynka. Przerażony puścił Karolinę. Dziewczynka krzyknęła piskliwie.

Dagmara przekręciła kluczyk w stacyjce, wcisnęła sprzęgło i po chwili je puściła. Zgasiła silnik. Skoro już tu się pofatygowałam – pomyślała – to odwiedzę babkę. Najwyżej mnie pogoni. Trzeba być jednak racjonalnym. Bycie poznaniakiem zobowiązuje.

Wyszła z samochodu, trzasnęła drzwiami, zamknęła je i ruszyła w stronę klatki schodowej z numerem trzy. Wspięła się po schodach na drugie piętro. Stała przed drzwiami mieszkania Karoliny Zawilskiej. Podniosła rękę, żeby zapukać, gdy usłyszała nagle krzyk dziewczynki wydobywający się ze środka.

– Mamusiu!

Zdrętwiała. Zaraz potem rozległ się rozpaczliwy wrzask dorosłej kobiety.

– Uciekaj! Uciekaj!

Dagmara poczuła mrowienia na skórze. Błyskawicznym ruchem sięgnęła po broń.

Drzwi mieszkania się otworzyły. W progu ujrzała przerażoną dziewczynkę.

– Nie bój się – rzuciła do niej przyjaźnie, po czym załadowała broń i wbiegła do pokoju. Na podłodze kotłowały się dwa ciała.

– Milicja! – ryknęła. – Zostaw ją, złamasie.

Ciała znieruchomiały. Podeszła do nich, wyciągnęła kajdanki i sprawnym ruchem założyła je na ręce Gołębiowskiego.

– Mam cię, gnido – wycedziła triumfalnie..

Gołębiowski spojrzał na nią zdumiony. Był blady jak śmierć. Zaczął dygotać.

– Nie rób mi krzywdy – powiedział nagle, wprawiając milicjantkę w osłupienie.

Ku zdziwieniu śledczych mężczyzna poprzestał na schowaniu kwiatów leżących na grobie do worka. Spojrzeli po sobie. O co chodzi? Trwali w bezruchu, czekając, co będzie działo się dalej. Ustawiona nieopodal latarnia całkiem nieźle oświetlała okolicę. Mężczyzna znowu coś zanucił i zrobił kilkanaście kroków. Przystanął przed grobowcem zaprojektowanym z dużym przepychem. Popatrzył na niego przez chwilę i zaczął plądrować go z kwiatów.

Harry uśmiechnął i spojrzał na zafrasowanego Krugera.

– To nie jest nasz klient – szepnął, po czym wyciągnął broń i chrząknął głośno.

Mężczyzna obrócił się gwałtownie. Śledczy wyszli z za drzewa.

– Co ty robisz, gościu? – zapytał Harry, celując w niego pistoletem.

Mężczyzna westchnął przeciągle. Miał jakieś pięćdziesiąt lat, ubrany był w czarną znoszoną odzież. Wyglądał na człowieka poważnie zmęczonego życiem. Rzucił worek na ziemię, poprawił czapkę i odezwał się poirytowanym głosem:

– A co mam, kurwa, robić? Kradnę kwiaty. Zarabiam na chleb. – Wbił w nich wzrok. – A wy co tutaj robicie, tej? – zapytał z charakterystyczną śpiewającą intonacją.

– Poznaniak? – odezwał się Kruger.

– Ano tak. Jestem na gościnnych występach. – Patrzył na nich ponuro.

– Kim jesteście? Szkieły?

Śledczy zaśmiali się. Mężczyzna splunął i usiadł na ziemi.

CZEŚĆ

CZWARTA

Najpierw przesłuchiwał go przystojny wąsaty blondyn. Był spokojny, można by powiedzieć, że całkiem miły. Zaczął od pytań o jego imię, nazwisko, adres zamieszkania. Potem zagadnął o życie rodzinne, pracę, hobby i inne dziwne rzeczy.

Franciszek zastanawiał się, czemu to wszystko ma służyć. Odpowiadał niechętnie, półgębkiem, raz po raz pocierając zmęczone oczy. Po wczorajszych wydarzeniach był potwornie zmęczony. W celi nie zmrużył oczu. Serce biło mu jak szalone. W głowie kotłowały się myśli. Prawdę mówiąc, nie do końca widział, co właściwie się stało. Miał wrażenie, że wybudzono go z jakiegoś koszmaru.

Pamiętał jak przez mgłę, że wyszedł późnym popołudniem z motelu, w którym lubił czasami skryć się przed światem, wsiadł do autobusu i pojechał do Konina. Potem poszedł do Karoliny i... został napadnięty przez jakąś dziką kobietę, która go zakuła w kajdanki. Jeszcze później przewieziono go do Poznania, zaprowadzono do aresztu i osadzono w pojedynczej celi. Nikt wtedy o nic go nie pytał.

Nie wiedział, co ma o tym myśleć. W gardle czuł przykry ucisk. Cały czas się trząsał. Nazajutrz przyprowadzono go tutaj, do tego pokoju, który kojarzył mu się z polskimi filmami kryminalnymi. Ten wąsaty blondyn, porucznik jakiś tam, przedstawił się, zaproponował kawę i zaczął z nim rozmawiać. Czasami nawet się uśmiechał. W końcu po jakiejś godzinie złożył ręce, położył je na biurku i spojrzał na niego uważnie.

– Panie Franku – powiedział – musimy teraz przejść do rzeczy. – Westchnął. – Do złych rzeczy. Do bardzo złych rzeczy. Wie pan, o czym mówię?

Franciszek pokręcił głową.

– Do bardzo złych rzeczy, których pan jest sprawcą.

Porucznik wyciągnął z szuflady jakąś teczkę, wydobyl z niej zdjęcia, położył powoli na blacie biurka i podsunął mu je pod nos. Franciszek zobaczył okaleczone kobiece ciało.

– To pana dzieło.

Zrobiło mu się słabo. Milicjant miał rację, to on je wyciął.

– Niestety, tu nie chodzi tylko o kradzież zwłok i bezczeszczenie ich – powiedział to tak poważnym głosem, że Franciszkiem wstrząsnął dreszcz. – Panie Franciszku, dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku w piątkowy wieczór zabił pan przy naramowickim cmentarzu dziecko. Martynkę. W dniu jej dwunastych urodzin. Dokonał pan jej zabójstwa!

Usłyszawszy tę nieprawdę, Franciszek spojrział na porucznika i krzyknął:

– To kłamstwo! Ja jej nie zabiłem! Ja ją tylko... – zaszlochał. – Ja ją tylko wyciąłem. Ja ją tylko wyciąłem. Tylko wyciąłem.

Zaczął płakać. Gdy przestał, zgiął się wpół i położył głowę kolanach. Milczał przez kolejne pół godziny. Przez głowę przewijały mu się migawki z tamtego wieczoru.

Raz jeszcze znalazł się w tym ciemnym lasku, w którym natknął się niespodziewanie na zwłoki dziewczyny. Wyglądała na czternaście albo piętnaście lat. Na pewno nie miała dwunastu lat, na pewno nie! Zaskoczenie zamieniło się wkrótce w podniecenie.

Po paru minutach uporczywego wpatrywania się w nią oblizwał usta i zaczął ją rozbierać. Pieścił ją przez jakiś czas, czując, że za chwilę eksploduje. Była tak piękna, zimna, nieruchoma, posłuszna. Potem wyciągnął nóż, swoją Osełkę, i zaczął ciąć, wyobrażając sobie, że przyszywa odcięte kawałki do swojej lalki ukrytej na strychu.

Drgnął.

Milicjant uderzył pięścią w stół.

– Jeśli się nie przyznasz – warknął – sąd skarże cię na karę śmierci, rozumiesz to? Twój jedyny ratunek to prawda. Przyznaj się, jak było, i jakoś to będzie. Przeżyjesz!

– Ale ja jej nie zabiłem! To jest prawda!

Godzinę później do pokoju wszedł inny milicjant. Brunet, o zmęczonej twarzy i oddechu zalatującym wódką. Był bardzo nieprzyjemny. Krzyczał, groził bronią. W pewnym momencie złapał go za twarz i mocno ją ścisnął.

– Będziesz wisiał, jak nie powiesz prawdy, rozumiesz to, chuju zamazany?!

Ale Franciszek zapadł się w sobie i kiwając się na krześle, powtarzał tylko:

– Ja jej nie zabiłem, a tylko wyciąłem. Mówię prawdę. Ja jej nie zabiłem. Ja nigdy nikogo nie zabiłem. Ja tylko wycinam.

– Mogę ci przerwać na chwilę, Freddy?

Kruger podniósł głowę znad akt i spojrzał zmęczonym wzrokiem na kapitana Robińskiego, który uchylił nieśmiało drzwi do pokoju.

– Jasne – powiedział, trąc prawe oko. – O co chodzi?

Robiński uśmiechnął się, wszedł do środka i usiadł w fotelu ustawionym po drugiej stronie biurka. Przejechał dłonią po lekko pogniecionym czarnym krawacie. W lewej ręce trzymał szarą teczkę.

– Ciekawa sprawa – zagadnął, kładąc teczkę na kolanach. – Nie wiem, co o tym myśleć.

Kruger zmarszczył brwi i spojrzał uważniej na kolegę.

– O czym tym mówisz?

– Pamiętasz tego chłopca, którego chcieliście przesłuchać w sprawie zabójstwa Martynki i który zginął w wypadku samochodowym?

– Pamiętam. Miał na imię Janek.

– Janek Świtalski – pokiwał głową Robiński. – Zgadza się.

– Co z nim?

– A czy przypominasz sobie, z jakiego dokładnie powodu chcieliście z nim porozmawiać?

Kruger zamyślił się na moment. Sięgnął po zeszyt, który leżał na stosie papierzysk. Przekartkował go i odczytał coś, drapiąc się po wąsach.

– Tak – odpowiedział. – Podobno widział na terenie Żurawińca księdza, który...

– chrząknął, zakrywając dłonią usta – ...który zabawiał się z jakąś dziewczynką. Niestety, jego śmierć zablokowała ten wątek. Nikt z przesłuchiwanym mieszkańców Naramowic nie wspominał o podejrzanym księdzu włóczącym się z dziewczynką czy samotnie po tamtym terenie. – Kruger zamknął zeszyt i upił parę łyków kawy. – W czym rzecz? – zapytał.

– Znasz rysopis tego księdza?

– Nie. Chcieliśmy go uzyskać od Janka... świętej pamięci. – Kruger zerknął na Robińskiego i zrobił ręką zachęcający gest. – Do czego zmierzasz, stary?

Robiński poruszył się na krześle.

– Dostałem wczoraj jego zeszyt z rysunkami.

– Zeszyt z rysunkami?

– Tak.

– Skąd?

– Okazuje się, że siostra mojej żony jest przyjaciółką brata matki Jasia – powiedział Robiński, na co Kruger zamrugał parę razy oczami jak na slapstickowej komedii. – Załapałeś?

Kruger uśmiechnął się.

– Tak – przytaknął.

– Jak pamiętasz, matka przeżyła wypadek. Ale po tej tragedii, w której straciła męża oraz syna, postanowiła zamienić mieszkanie na mniejsze. Jej brat się zajmuje logistyczną stroną tego przedsięwzięcia. W czasie porządków znalazł zeszyt. Przekartkował go i zorientował się, że w zeszycie są rysunki Janka.

Kruger patrzył uważnie na kolegę z Wydziału Dochodzeniowego.

– W pewnym momencie znalazł rysunek, którego podpis nawiązuje do waszej sprawy. – Robiński wyjął zeszyt, otworzył go na odpowiedniej stronie i podał Krugerowi.

Porucznik przesunął stertę akt na bok i położył przed sobą zeszyt Janka. Wbił wzrok w postać rosłego mężczyzny z koloratką, którego cechą charakterystyczną była siwa grzywa włosów. Gdy zobaczył podpis pod rysunkiem „Żurawiniec. 29

listopada 1982 roku. Ksiądz, który pieprzył dziewczynkę”, poczuł, że zalewa go fala ciepła.

– O kurwa – szepnął i spojrzał zaaferowany na Robińskiego. Zabębnił palcami o blat biurka. – O kurwa!

Kapitan pokiwał głową i znowu przejechał ręką po swoim kiepsko zawiązanym krawacie.

– No właśnie, stary, no właśnie.

Kruger zaczął gorączkowo kartkować zeszyt.

– Szukasz innych rysunków tego klienta?

– Uhm.

– Nie ma. Sprawdzalem.

Porucznik, nie zważając na słowa kolegi, kartkował zeszyt dalej. Gdy skończył, cmoknął przeciągle.

– Gdzie go ten facet znalazł? – zapytał, będąc myślami ewidentnie gdzie indziej.

– Janek zrobił skrytkę w swojej szafie w postaci podwójnego dna. Był tam ten zeszyt, parę świerszczyków, kilka dolarów i paczka marlboro. Brat matki Janka skojarzył ten rysunek z zabójstwem na Naramowicach i postanowił go przekazać policji. Wiedział, że jego serdeczna przyjaciółka jest siostrą żony milicjanta, więc zeszyt dostał się wczoraj wieczorem w moje ręce.

Kruger skinął głową i zaczął nerwowo zacierać ręce. W pewnym momencie wydobył ze stosu dokumentów plik protokołów przesłuchań świadków. Śliniąc palec, przeglądał je pospiesznie. W końcu zatrzymał wzrok na gęsto zapisanej kartce.

– Mam – szepnął.

Robin spojrzał na niego, unosząc brwi.

– Co masz?

– Jeden ze świadków zeznał, że widział siwowłosego rosłego mężczyznę przy cmentarzu. Około siedemnastej trzydzieści. Użył słów „przy cmentarzu”, nie wspominał, że klient szedł od strony Żurawińca, nikt inny o nim nie mówił, więc

szybko zniknął z naszych radarów... Tymczasem...

Kruger zamyślił się.

– Klient mógł iść od strony Żurawińca... A to oznacza...

Jego policzki zaczerwieniły się, oczy nabrały blasku.

– A to oznacza, że ten rysunek może wywrócić do góry nogami nasze ustalenia – powiedział, ledwie panując nad podnieceniem. – Skoro nieopodal miejsca zbrodni dziewczynki przebywał człowiek, który parę miesięcy wcześniej molestował dziewczynkę, to...

Mężczyźni wymienili się spojrzeniami. Robiński chrząknął.

– To mamy dwóch podejrzanych – rzucił.

– Co ciekawe, jeden z nich przyznaje się do nekrofilii – mówił Kruger, jednocześnie wstając od biurka – ale uparcie zaprzecza, że zabił Martynkę. Może więc wcale nie kłamie? Może...

– Freddy – wyszczerzył zęby. – To jeszcze nie wszystko.

– Tak?

– Pokazałem wizerunek tego mężczyzny Kasperskiemu, który, jak pewnie pamiętasz, natknął się latem na księdza z nastolatką.

– I?

– Powiedział, że to ten sam klient.

Nie dokończył zdania. Nagle otworzyły się drzwi i w progu stanęli Dagmara i Harry. Gdy zobaczyli podnieconą minę Freddy'ego, spojrzeli pytająco na Robina.

– Macie niezły zwrot akcji – rzucił kapitan, drapiąc się po głowie. – Aż wam, cholera jasna, zazdroścę. Tego jeszcze nie grali w naszym kinie.

Gdy proboszcz Książ ujrzał Harry'ego wysiadającego z samochodu, a potem idącego sprężystym krokiem w stronę wejścia do budynku plebani, westchnął głęboko. Przeżegnał się, poprawił włosy i wyszedł na zewnątrz.

– Z jaką złą wieścią tym razem przychodzi pan chorąży? – zapytał lekko spłoszony.

Chorąży wzruszył ramionami i odruchowo wsunął do ust papierosa.

– Chciałem o coś zapytać.

Proboszcz zszedł ze schodków.

– Słucham.

Harry wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kartkę, na której widniał skserowany i pozbawiony podpisów rysunek przedstawiający rosnącego mężczyznę z grzywą siwych włosów. Rozłożył ją i podał księdzu.

– Kojarzy go ksiądz? – zagadnął, przypalając sobie papierosa.

Proboszcza wlepił wzrok w naszkicowaną sprawną kreską postać. Zamlaskał.

– A dlaczego pan chorąży o niego pyta?

– Tak czy nie?

– Tak.

Harry spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Naprawdę? Kto to jest?

– Ksiądz Arkadiusz.

Śledczy uśmiechnął się. I bingo – pomyślał.

– Gdzie go znajde? – zapytal, po czym zaciagnal sie mocno.

– Juz nigdzie.

Harry uniosl brwi.

– Jak to nigdzie?

– Nie zyje.

– Nie zyje?

– Uhm.

Harry zwichrzył dłonią włosy. Takiej informacji się nie spodziewał.

– Co się stało?

Proboszcz wbił wzrok w swoje wypastowane buty.

– Nie wiadomo. Znaleziono go w mieszkaniu na plebani w Plewiskach. Chyba przedawkował leki. Cierpiał na bezsenność. Miał kłopoty z sercem.

– Samobójstwo?

Proboszcz westchnął.

– Wszyscy wierzymy, że nie. Że to była jakaś pomyłka. Że... – zrobił znak krzyża. – Pokój jego duszy – wymamrotał.

– Kiedy to się stało?

– W połowie listopada w zeszłym roku. Ja odprawiałem pogrzeb.

Harry spojrzal na duchownego. W połowie zeszłego roku, czyli po zabójstwie Martynki.

– Tutaj został pochowany?

– Tak.

– Dlaczego?

– Tutaj leżą jego rodzice. Tuż obok dziadka tej dziewczynki, która została zamordowana.

Harry przymrużył oczy. Ciekawe, ciekawe.

– Czyli bywał w okolicy?

– Siłą rzeczy. Wpadał do mnie niekiedy na kawę albo herbatę. Razem zastanawialiśmy się, co zrobić, żeby dzieci chętnie chodziły na lekcje religii, bo

z tym jest coraz większy problem.

– Siłą rzeczy – powtórzył po chwili Harry, odbierając rysunek. – Siłą rzeczy.

– Niech pan powie, o co chodzi – poprosił proboszcz.

Harry pokręcił głową.

– Przyjdzie na to czas – odparł łagodnie. Spojrzał na księdza i zapytał: – Jaki to był człowiek?

Chwila zastanowienia.

– To dobre pytanie. Jak tak sobie teraz o nim myślę, to stwierdzam, że był smutnym człowiekiem – proboszcz pokiwał w zadumie głową. – Od jakiegoś czasu ten smutek w nim się pogłębiał. Arek – proboszcz uśmiechnął się nieśmiało – pozwolę sobie tak o nim powiedzieć, bo dla mnie był też kolegą, dobrym, serdecznym kolegą, Arkiem właśnie, więc Arek w ostatnich latach robił się coraz bardziej małomówny. Coraz bardziej zmęczony przez bezsenność, o której wspomniałem.

– Rozumiem Dziękuję bardzo za rozmowę, czas już na mnie.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Szczęść boże, panie chorąży.

– Uszanowanie, księżu proboszczu.

Harry wbił ręce w kieszenie i ruszył w stronę samochodu. Gdy otworzył drzwi i już wsiadał do środka, usłyszał za plecami krótkie „proszę poczekać”. Odwrócił się.

– Byłbym zapomniał – powiedział proboszcz.

– O czym?

– Przestali za mną chodzić. Dziękuję za pomoc. Jestem bardzo wdzięczny.

– To drobiazg. – Harry skinął głową, po czym usiadł za kierownicą. Zapiął pas i spojrzał na proboszcza. – A skoro mówimy o przyjacielskich przysługach...

– Tak?

– Pozbądźcie się z parafii księdza Edmunda.

Proboszcz otworzył szeroko oczy.

– Dlaczego?

– Widziałem pewne fotografie, z których wynika, że jest on... niewłaściwym człowiekiem. Co – dodał z naciskiem, kładąc ręce na kierownicy – zostało zauważone przez odpowiednie służby. I nie chodzi mi o politykę. Tylko o...

Harry chciał użyć słowa „moralność”, ale nie przeszło mu przez gardło. Skrzywił się, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył gwałtownie z miejsca, zostawiając proboszcza w stanie osłupienia.

Późnym wieczorem „zabójcza trójka” siedziała w gabinecie naczelnika przy ławie zastawionej butelką wódki, kieliszkami oraz kubkami z parującą kawą. Major Bielski czynił honory domu, rozlewając alkohol. Potem usiadł w fotelu, poprawił krawat, okulary i dał sygnał, że można się napić.

Gdy to zrobili, naczelnik założył ręce na brzuchu.

– Mów, Freddy – polecił.

Kruger zerknął do swojego zeszytu, chrząknął i zaczął krótki wywód:

– Taka jest teraz nasza główna wersja śledcza. Pewne szczegóły oczywiście mogą ulec mniejszej lub większej korekcie. Chodzi mi o główny zarys. Ksiądz Arkadiusz spotykał się z jakąś nastolatką na terenie Żurawińca. Nie wiemy, kim ona jest. Może jakaś młodociana kurewka, ale niekoniecznie. Był tam z nią dwudziestego dziewiątego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku – około siedemnastej. Prawdopodobnie uprawiali seks. A może się ostro kłócili o coś? Nie wiemy, ale pomiędzy nimi musiało się dziać coś, co stawiałoby go w złym albo bardzo złym świetle. W tym samym czasie spacerowała w pobliżu Martynka. Chciała narwać trawy dla swojego królika, którego dostała na urodziny. Według nas natknęła się na nich. Zobaczyła ich w intymnej sytuacji. Ksiądz się wystraszył...

Kruger sięgnął po kubek z kawą. Upił parę łyków. Patrzyli na niego z narastającą uwagą. Jego niski przyjemny głos wprowadził ich niemal w trans. Odstawił kubek.

– Prawdopodobnie znali się – podjął. – Mogli się widzieć na cmentarzu, groby ich bliskich sąsiadują ze sobą. Załóżmy, że się znali, że on ją kojarzył. No i to sprawiło, że wpadł w panikę. Przestraszył się, że jego... – przez chwilę szukał odpowiednich

słów – ...grzeszna tajemnica wyjdzie na jaw. Tamta dziewczynka uciekła. Zostali więc sami. Pamiętajmy, że księża żyją ostatnio pod dużą presją, esbecy cały czas szukają na nich haków, pikantnych materiałów do szantażu. Nawiasem mówiąc, dziadek tej dziewczynki był ubekiem, a jeden z jej wujków pracuje w SB.

Kruger spojrział na naczelnika, który zagryzł usta. Harry wyciągnął papierosa z paczki marlboro, a Dagmara oglądała swoje pomalowane na czerwono paznokcie.

– Doszło do przepychanki – kontynuował Kruger. – Ksiądz złapał ją za szyję i zaczął dusić. Załóżmy, że był w amoku. Dziewczynka upadła nieprzytomna. Martwa. Czy wiedział, że ją zabił? Nie wiem. Pewnie mógł to podejrzewać. Tak czy owak pospiesznie opuścił Żurawiniec, minął cmentarz, gdzie widział go świadek, a potem ruszył... gdzieś przed siebie. Z tego, co wiemy, popadł później w depresję i – być może – popełnił samobójstwo, przedawkowując leki. Co też jest wymownym dla nas faktem. – Kruger cmoknął. – Koniec.

Bielski przejechał dłonią po zafrasowanej poblądłej twarzy.

– I co my z tym teraz zrobimy? – zapytał.

Harry schylił się po butelkę i rozlał wódkę do kieliszków.

– Najpierw się napijemy – oznajmił.

Bielski zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. Nie cierpiał poszlak, lubił jednoznaczne, konkretne dowody. Komendant zje mnie żywcem – pomyślał, wbijając wzrok w swój napełniony wódką kieliszek.

– Franciszku, muszę cię skazać na wieczne męki piekielne!

Głos spływał na niego z ambony ukrytej gdzieś wysoko w ciemnościach. Był surowy, wręcz wrogi.

– Robiłeś rzeczy straszne, ohydne, haniebne!

Franciszek zadrżał i spojrzął na swoje nagie brudne stopy.

– Będziesz potępiony na wieki wieków! Amen.

Zapłakał. Zaczęło mu się kręcić w głowie, poczuł, że nogi mu miękły. Ukląkł. Chciał się przeżegnać, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa i zwisał bezwładnie.

– Zabrać go do celi, a potem wrzucić do ognia piekielnego! Niech się smaży!

Rozszlochał się na dobre i upadł w końcu na kamienną, zimną posadzkę. Zamknął oczy, czekając na najgorsze. Chwycono go pod ramiona i zaczęto wlec. Po paru minutach wrzucono do celi. Brutalnie, jak worek ziemniaków.

Gdy zgrzytnął zamek, otworzył oczy.

– Zamknij mu ryja! – usłyszał chrapliwy szept.

Nagle zobaczył jakieś ludzkie sylwetki nad sobą. Chciał krzyknąć, ale poczuł, że ktoś mu wkłada do ust materiał nasączony jakąś dziwną nieprzyjemną substancją. Serce załomotało jak oszalałe. Wierzgnął rozpaczliwie nogami.

– Przyduś go, młotku!

W tym samym momencie przyblokowano mu brzuch oraz nogi. Nagle poczuł ukłucie w pięcie. Zrobiło mu się zimno. Plecy pokryły się potem. Dlaczego? Co się dzieje? – krzyczał w myślach, ale coraz słabiej, ciszej, rozpaczliwiej. Za jakie

grzechy? Za co?

– Jest, udało się!

– Wbiłeś?

– Tak jest.

– No to git, spierdalamy.

Franciszek zamknął oczy i kilka sekund później odpłynął w niebyt.

Siedzieli w kawiarni Crystal, w której pobrzmiwała cicho *Mała Lady Punk*, popijali zimną kawę i dopalali papierosy.

– „Zabójcza trójka” w komplecie!

Przy ich stoliku stanął redaktor „Dziennika Wielkopolskiego”, Adam Król. Niewysoki, szczupły mężczyzna, o bystrych zimnych oczach i nieodłącznym ironicznym uśmiechu. Przywitał się z nimi, zamówił sobie kawę, usiadł i spojrzał na śledczych.

– Macie nietęgę miny – zauważył, wytrząsając papierosa z pogniecionej paczki klubowych. – Co się dzieje? Mówcie, przecież wiecie, że nie napiszę niczego, czego byście nie chcieli – powiedział, rozkładając ręce.

Uśmiechnęli się, nic nie mówiąc. Kelnerka przyniosła kawę.

– Dziękuję – zamieszał, spróbował, skrzywił się i zapalił papierosa.

– Wykryliście sprawcę, nie cieszy się? – zagadnął, wypuszczając dym.

– Sytuacja uległa komplikacji – bąknęła Dagmara.

– Jak to? No mówcie, pracujemy razem od kilku ładnych lat! Nigdy was nie zawiodłem, za to wiele razy pomogłem, zdradzając wam różne brudne tajemnice naszego miasta.

To była prawda, Król był świetnym informatorem. Parę razy udało się wykryć sprawcę takiego czy innego przestępstwa dzięki jego informacjom, najczęściej bardzo dobrej próby. Poza tym rzeczywiście zawsze pisał tylko to, na co miał zgodę. Od nich.

Harry wbił w niego wzrok i pogroził palcem, uśmiechając się przy tym

zawadiacko.

– To zostaje tylko między nami, chłopie.

– Oczywiście, słowa harcerza! – Dziennikarz podniósł dwa palce prawej ręki w górę.

Po krótkiej ciszy Kruger się odezwał:

– Wychodzi na to, że były dwa rodzaje czynów i dwóch sprawców. Przy czym obydwaj nie żyją.

– Ale jak to?

Dagmara wytłumaczyła mu w paru słowach, w czym rzecz. Dziennikarz otworzył szeroko oczy.

– O kurwa! – mruknął, drapiąc się za uchem. – To brzmi jak szkic scenariusza jakiegoś kryminału.

– Może – rzucił nieprzekonany Kruger.

– I co teraz?

– Nic – odparł Harry, wzruszając ramionami.

– Jak to nic?

– Komendant zakazał nam ruszać wątek księdza – oznajmiła Dagmara.

– Dlaczego?

Śledczy zignorowali to pytanie, spoglądając po sobie wymownie.

– Ja myślałem, że to będzie niezła gratka dla tak ateistycznej instytucji, jak MO – powiedział dziennikarz, masując się po podbródku. – Ksiądz zabójca! Przecież to można świetnie propagandowo wykorzystać. Kościół jako wylęgarnia zła.

– Adaś, nie mieszaj nas w politykę – rzucił Kruger, sięgając po filiżankę.

– Po prostu się dziwię, że...

– Nie dziw się tak, przyjacielu – przerwał mu Harry. – Po prostu zapomnij o tym wątku, podejmowanie go jest nielegalne, jak mówi nasz SzeF Wszystkich SzeFów. Rozumiesz?

Dziennikarz wzruszył ramionami.

– A co z Gołębskim? Wierzycie w samobójca?

– Kto go tam wie? – odparła Dagmara i zaciągnęła się papierosem.

– Źle się stało, że sekcji nie będzie robił Broniek Kulej. To geniusz, wywęszyłby każdą podejrzaną pierdołkę.

– A kto będzie kroił nekrofila?

– Sajkiewicz.

Misiński uniósł brwi.

– Alojzy Sajkiewicz? Ja myślałem, że dziadzia jest już na emeryturze. On chyba ma ze sto lat, jak nie więcej.

– W tym roku odchodzi na emeryturę – powiedział Kruger. – Zasłużoną emeryturę.

– Ale dlaczego jemu akurat przydzielono trupa? Przecież wszyscy wiedzą, że lata świetności ma już dawno za sobą i że w związku z tym może coś istotnego przegapić.

– Co zresztą raz po raz mu się przydarza – przytaknął Kruger. – Jakiś miesiąc temu z samobójstwa zrobił zabójstwo. Na szczęście Broniek wszystko odkręcił.

– No właśnie! Więc pytam, dlaczego nie zlecili tego Bronkowi?!

– Tak ustaliła wierchuszka i tyle – burknął Harry. – Ktoś od nas do ciebie zadzwoni i powie, co możesz napisać.

– No dobra.

Kruger spojrział na zegarek. Była siedemnasta z minutami.

– Na nas już czas – rzucił do Dagmary, która w odpowiedzi skinęła głową i zaczęła zakładać ramoneskę.

Gdy opuścili kawiarnię, Król spojrział na chorążego.

– Wypijemy pół literka? – zagadnął, uśmiechając się wymownie.

Harry przypomniał sobie, że parę dni temu złożył obietnicę żonie w sprawie wódki. Westchnął.

– Ale tylko jedną sztukę – powiedział.

– Oczywiście.

Po kilkunastu sekundach na stole wylądowała butelka żytniej, dwie pięćdziesiątki

i dwa śledziki. Król rozlał alkohol i wzniósł toast za „sukcesy śledcze służby kryminalnej”.

– W listopadzie robiliście wielokrotne zabójstwo – zagadnął dziennikarz, odstawiając pustą pięćdziesiątkę. – Rodzinne. Możesz mi zdradzić szczegóły?

Harry ugryzł kawałek śledzika.

– To Freddy robił – odpowiedział. – Prosta sprawa. – Wskazał butelkę. – Polej, Adaś.

Dziennikarz skwapliwie wypełnił polecenie. Stuknęli się i wzięli po hańście.

– Na komendę przyjechał klient, pod czterdziestkę, cielak taki, Jędryszka się nazywa. Powiedział, że zabił tatusia, mamusię i brata. Wydzwonili Krugera. Ten wziął go na przesłuchanie. No i facet opowiada, że tatuś za dużo pił. Pewnego razu ten Jędryszka mówi do tatusia, który przyszedł znowu narąbany: „Tatuś, jak jeszcze raz przyjdiesz pijany, to cię zabiję”. Dwa dni później tatuś przyszedł pijany. Jędryszka się wkurwił, wziął młotek i przywalił tatusiowi. Godzinę później przyszła mamusia. Wchodzi do pokoju, patrzy, a tam jej mąż leży na podłodze w kałuży krwi. „Co się stało?” – mówi do syna. „Zabiłem tatusia”. Mamusia się przeżegnała. „Dzwonię po milicję” – mówi. Wtedy Jędryszka znowu chwyta młotek i zabija...

– Harry, ty sobie jaja ze mnie robisz – zawołał Król.

Chorąży pokręcił głową.

– Mówię prawdę, pod bogiem – zapewnił go i rozlał następną kolejkę. Wypili i zagryźli śledzikiem.

Dziennikarz wyjął z wewnętrznej kieszeni długopis i notes.

– Mów dalej, będę notował.

– Tylko nie puszczaj tego w gazecie.

– Nie bój się, zrobię z tego opowiadanie w stylu Marka Nowakowskiego.

– No więc – podjął Harry – chwycił młotek i zabił mamusię. Dwie godziny później do domu przyszedł z pracy jego brat.

– Normalnie nie wierzę, kurwa! – Dziennikarzowi zabłysły z podniecenia oczy. – Mów, mów. To jest piękne!

Pół godziny później Dagmara i Kruger szli w milczeniu posepnym korytarzem Zakładu Medycy Sądowej, omijając wzrokiem eksponaty anatomiczne pochodzące z ciekawszych sekcji zwłok. Byli świeżo po śniadaniu, woleli więc nie drażnić swoich żołądków.

W końcu dotarli do celu. Otworzyli nieśmiało drzwi prosektorium i zobaczyli charakterystyczną dla tego miejsca scenę. Na środku tkwił stół sekcyjny, na którym leżały nagie blade zwłoki jakiegoś otyłego mężczyzny. U wezgowia stał profesor Alojzy Sajkiewicz otoczony grupką skupionych studentek i studentów. Był to starszy łysy, krępy mężczyzna. W dłoni trzymał wskaźnik. Spojrzał na milicjantów, mrugnął do nich okiem, po czym zamachał wskaźnikiem. Był ewidentnie w znakomitym humorze.

– Czy widzą państwo tu coś, co nie wygląda naturalnie? – zagadnął.

Studenci zamyślili się, marszcząc brwi.

– Może czegoś brakuje? – odpowiedział profesor, uśmiechając się figlarnie.

Zapadła cisza.

Dagmara i Kruger ominęli dwa inne stoły sekcyjne z przykrytymi prześcieradłami trupami, stanęli za studentami i przyglądali się z rosnącym zaciekawieniem nieboszczykowi.

Nagle jedna z dziewcząt odezwała się niepewnie:

– Ten pan nie ma... – zawahała się na moment – ...nie ma... przyrodzenia?

– Bingo! – zawołał Sajkiewicz i dotknął wskaźnikiem podbrzusza, w które momentalnie wszyscy wbili wzrok.

Rzeczywiście, w miejscu, gdzie powinien być penis, widniały tylko jakieś blizny. Nieco wyżej uczestnicy sekcji dostrzegli napis: „Tylko dla dziewczynek”.

Dagmara uśmiechnęła się i trąciła Krugera, ten jednak nie był skory do żartów.

– Ten pan został przejechany przez samochód – podjął profesor.

– A co się stało z jego penisem? – zapytał kudłaty student w okularach.

– Obcięliśmy go.

Studenci otworzyli szeroko oczy.

– Dlaczego? – zapytała studentka, która jako pierwsza dostrzegła brak przyrodzenia.

– No cóż, był tak malutki, że postanowiliśmy go odciąć i włożyć do słoika z formaliną. Znajdziecie go państwo na korytarzu wśród innych eksponatów.

Studenci byli wstrząśnięci tym wyjaśnieniem. Sajkiewicz chrząknął, złożył wskaźnik i oznajmił:

– Na dzisiaj to koniec, do zobaczenia za tydzień.

Śledczy uścisnęli mu dłonie i gdy studenci rozeszli się, żywo dyskutując między sobą, zostali wprowadzeni do gabinetu.

Usiedli na krzesłach ustawionych przy stole pełnym papierów i spojrzeli wyczekująco na medyka, który wyciągnął z szafki butelkę wódki oraz trzy pięćdziesiątki. Rozlał alkohol i przysunął w ich stronę kieliszki. Dał znak. Nie mieli ochoty na wódkę, ale wiedzieli, że każdą rozmowę służbową z Alojzym trzeba zacząć od kielicha.

– I co? – zagadnął Kruger, odkładając pięćdziesiątkę.

– I nic – odpowiedział Sajkiewicz.

– Nie znalazłeś niczego podejrzanego? Żadnej ranki, plamki czy innego dziadostwa, które wskazywałoby na udział osób trzecich?

– Niczego takiego nie znalazłem.

– Naprawdę?

– Naprawdę. To był samobój. Na sto procent, możecie mi wierzyć. Choć tu wiara nie ma nic do rzeczy.

Profesor cmoknął i sięgnął po flaszkę, żeby rozlać jeszcze jedną kolejkę. Kruger wstał.

– Musimy lecieć, Alojzy – powiedział, podając dłoń medykowi. – Czas na nas.

– Ano trudno.

Dagmara dźwignęła się z krzesła i poklepała profesora po ramieniu. Wyszli w milczeniu na korytarz. Idąc w stronę wyjścia, Dagmara tym razem przyglądała się eksponatom ustawionym po obu stronach korytarza. W końcu wypatrzyła szklane naczynie zawierające małego penisa zanurzonego w formalinie. Dagmara pokręciła głową z niedowierzaniem. Zerknęła na Freddy'go, chcąc zażartować, ale gdy zobaczyła jego zaciętą minę, zrezygnowała. Kapitan Żbik jest zły na Sajkiewicza – pomyślała. Niby z przekąsem, ale tak naprawdę bardzo ceniła go za to, że jako jeden z niewielu dochowuje wierności etosowi uczciwego śledczego.

Parę minut później siedzieli w samochodzie, paląc papierosy. Gdy skończyli, Kruger odezwał się ponuro:

– No to skończyliśmy sprawę „Chirurga”.

– Na to wygląda – oparła Dagmara, przyglądając się budynkowi Zakładu Medycyny Sądowej, w którym tym razem nie znaleźli niestety dowodowego wsparcia dla swoich domysłów.

– Bronek by coś znalazł.

– Daj spokój.

Zamilkli ponownie. Zza chmur wyszło słońce. Zapowiadał się pogodny, choć chłodny dzień. Porucznik zapalił samochód i po chwili ruszył z piskiem opon. W jego czarnych oczach Dagmara dostrzegła złość. Sięgnęła po gazetę, która leżała pod jej nogami. To był wczorajszy „Express Poznański”. Przewertowała go bez większego zainteresowania. Gdy znalazła kolumnę z klepsydrami, zatrzymała na niej wzrok. Zmarszczyła brwi. Zalała ją fala gorąca. Wyobraźnia podsunęła jej scenę sprzed lat, w której dyrektor Męczyński przygląda się grupce uczennic i zaprasza je do swojego gabinetu na „bardzo poważną rozmowę”. „Zgwałcił mnie, zgwałcił” – znów usłyszała głos nieżyjącej już od tyłu lat Zuzi.

– Uciekłeś mi, kutasie – szepnęła pod nosem, wściekła, że nigdy już nie będzie

mogła stanąć przed tym draniem i wykrzyzczyć mu prosto w pysk swojego niesłabnącego bólu.

Kruger spojrział na nią zdziwiony.

– Co powiedziałaś? – zapytał, włączając radio i ustawiając je na częstotliwości, na której ktoś prezentował stare rockandrollowe piosenki.

– Nic – odburknęła, zgniatając w dłoniach gazetę.

Kruger uniósł zdziwiony brwi, ale nie skomentował jej zachowania.

– A teraz mój ulubiony kawałek – z samochodowych głośników wydobył się głos podekscytowanego prezentera. – Oto tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy rok, bardzo pamiętny rok. Moi drodzy, oto Creedence Clearwater Revival i ich kapitalny song: *I Put a Spell on You*.

Gdy zabrzmiała perkusja, a potem rozległ się krzyk Johna Fogerty'ego, Dagmara przywarła do siedzenia i zamknęła gazetę.

Parę minut później pędzili ulicami Poznania, wykrzykując z całych sił *I Put a Spell on You*.

Poznań/Witowo, kwiecień – wrzesień 2019 roku

OD AUTORA

Lata osiemdziesiąte to była bardzo mroczna dekada. Pokręcona, perwersyjna, przerażająca...

Mam nadzieję, że udało mi się oddać to przejmujące wrażenie w „Chirurgu”. Jeden z biegłych sądowych powiedział kiedyś w wywiadzie prasowym, że dotkliwe kryzysy społeczne odbijają się w psychice tłumów i jednostek, a szczególnie w psychice osobników agresywnych, skłonnych do przemocy. Może to jest klucz do tamtych czasów?

Fabula dobiegła końca, korzystając zatem z okazji, chciałbym zgodnie ze starym literackim zwyczajem złożyć teraz podziękowania.

W pierwszym rzędzie – kłaniam się nisko Joli Świetlikowskiej, szefowej Oficynki, wydawnictwa, która wyraziło zainteresowanie moją twórczością. Pozdrów ode mnie Kazia!

Dalej. Ściskam dłonie moim znajomym policjantom, którzy cały czas przybliżają mi kryminalny klimat schyłku XX wieku. Dziękuję i proszę o więcej, Panowie!

Specjalne podziękowania przesyłam Ewie, która opisała mi swoją „przygodę” ze szpitalnym nekrofilem, a także Joannie, która podzieliła się ze mną barwnymi wspomnieniami z praktyk studenckich w prosektorium. Wasze narracje znakomicie wpasowały się w klimat „Chirurga”.

Oczywiście, dziękuję Wszystkim Czytelniczkom, Czytelnikom, Słuchaczkom i Słuchaczkom – za wiadomości, komentarze, wsparcie, uwagę, pomoc itd. To Wasza pozytywna energia cały czas mnie motywuje do pracy. Bez Was to nie miałyby sensu.

Na końcu przytulam i całuję Ritkę, moją ukochaną Żonę, która czuwa nad wszystkim i w odpowiednim momencie koryguje, podpowiada, inspiruje. Zawsze z doskonałym wdziękiem i kapitalnym wyczuciem. Dziękuję!

Z zabójczymi pozdrowieniami

Michał Larek

Poznań, 16.12.2019 roku

Copyright © Oficynka & Michał Larek, Gdańsk 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2020

Opracowanie redakcyjne: zespół

Korekta: Anna Grzeca

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

Zdjęcia na okładce: © Rafael Ben-Ari | stock.adobe.com

ISBN 978-83-65891-89-1



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek